HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM II

WYDAWNICTWO «W DRODZE»
JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM II

WYDAWNICTWO «W DRODZE»
Jerozolima

Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd., Jerusalem
July, 1943

ROZDZIAŁ I.

Pan Zagłoba mocno już miał w głowie, gdy po trzykroć rzucił strasznemu hetmanowi w oczy słowo: „zdrajca!“. Owóż w godzinę później, gdy wino wyparowało mu z łysiny i gdy znalazł się wraz z oboma Skrzetuskimi i panem Michałem w kiejdańskiem zamkowem podziemiu, poznał poniewczasie, na jaki hazard wystawił szyję własną i towarzyszów i zafrasował się wielce.

— A co teraz będzie? — pytał, poglądając osowiałym wzrokiem na małego rycerza, w którym szczególniejszą w ciężkich razach pokładał ufność.

— Niech djabli porwą życie! Wszystko mi jedno! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Dożyjemy takich czasów i takiej hańby, jakiej świat i ta korona dotąd nie widziała! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Żebyśmy aby dożyli, — odpowiedział Zagłoba, — moglibyśmy dobrym przykładem cnotę w innych restaurować... Ale czy dożyjemy? To grunt...

— Straszna rzecz, wiarę przechodząca! — mówił Stanisław Skrzetuski. — Gdzie się coś podobnego działo? Ratujcie mnie, mości panowie, bo czuję, że mi się w głowie miesza... Dwie wojny, trzecia kozacka... a do tego zdrada, jak zaraza: Radziejowski, Opaliński, Grudziński, Radziwiłł! Nie może być inaczej, koniec świata nastaje i dzień sądu! Niechże się ziemia rozstąpi pod naszemi nogami. Jak mi Bóg miły, zmysły tracę!

I założywszy ręce na tył głowy, począł chodzić wzdłuż i wszerz piwnicy, jako dziki zwierz po klatce.

— Zacznijmy pacierze, czy co? — rzekł wreszcie. — Boże miłosierny, ratuj!

— Uspokój się waćpan! — rzekł Zagłoba — tu nie czas desperować!

Pan Stanisław nagle zęby ścisnął, wściekłość go porwała.

— Bodaj cię zabito! — krzyknął na Zagłobę — twój to pomysł: jazda do tego zdrajcy! Bodaj was obu pomsta dosięgła!

— Opamiętaj się Stanisławie — rzekł surowo Jan. — Tego, co się stało, nikt nie mógł przewidzieć... Cierp, bo nie ty jeden cierpisz, a to wiedz, że nasze miejsce tu, a nie gdzie indziej!... Boże miłosierny! zmiłuj się nie nad nami, ale nad tą ojczyzną nieszczęsną!

Stanisław nic nie odpowiedział, jeno dłonie łamał, aż w stawach trzeszczało.

Umilkli. Jeno pan Michał gwizdał po desperacku przez zęby i zdawał się być obojętny na wszystko, co się koło niego działo, choć w gruncie rzeczy cierpiał podwójnie. Bo najprzód nad nieszczęściem ojczyzny, a po wtóre, iż hetmanowi posłuszeństwo złamał. Dla tego żołnierza do szpiku kości była to okropna rzecz. Wolałby zginąć tysiąc razy.

— Nie gwiżdż, panie Michale! — rzekł do niego Zagłoba.

— Wszystko mi jedno!

— Jakżeto? Żaden z was nie pomyśli, czy niema jakowego środka ratunku? A przecie warto nad tem dowcip wysilić! Zali mamy gnić w tej piwnicy, gdy każda ręka ojczyźnie potrzebna? Gdy jeden cnotliwy musi za dziesięciu zdrajców wystarczyć?!

— Ojciec ma słuszność! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Ty jeden nie ogłupiałeś od boleści. Jak suponujesz? Co ten zdrajca myśli z nami uczynić? Na gardle nas przecie nie ukarze?

Pan Wołodyjowski wybuchnął nagle desperackim śmiechem.

— A to dlaczego? ciekawym!... Zali nie przy nim inkwizycja? Zali nie przy nim miecz? Chyba nie znacie Radziwiłła?

— Co tam prawisz! Jakież tu mu prawo przysługuje?...

Nade mną — hetmańskie, a nad wami — gwałt!

— Za który musiałby odpowiadać...

— Przed kim? Przed królem szwedzkim?

— A to pięknie mnie pocieszasz! Niema co mówić?

— Ja też nie myślę waści pocieszać.

Umilkli i przez jakiś czas słychać było tylko miarowe kroki piechurów szkockich za drzwiami piwnicy.

— Niema co! — rzekł Zagłoba — tu trzeba fortelu zażyć.

Nikt mu nie odpowiedział, więc po niejakim czasie znów mówić zaczął:

— Nie chce się w to wierzyć, abyśmy mieli być na gardle skazani. Żeby za każde słowo w prędkości i po pijanemu wymówione szyję ucinać, tedyby ani jeden szlachcic w tej Rzeczypospolitej z głową nie chodził. A neminem captivabimus? Czy to furda?

— Masz waść przykład na sobie i na nas! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bo to się stało z prędkości, ale wierzę w to mocno, że się książę zreflektuje. My obcy ludzie, żadnym sposobem pod jego jurysdykcję nie podchodzimy. Musi na opinję zważać i od gwałtów nie może poczynać, aby sobie szlachty nie narażać. Jako żywo! za wielka nas kupa, aby wszystkim głowy postrącać. Nad oficyjerami ma prawo, temu nie mogę negować, ale tak myślę, że się na wojsko będzie oglądał, które pewnie o swoich nie omieszka się upomnieć... A gdzie twoja chorągiew, panie Michale?

— W Upicie!

— Powiedz mi jeno jestżeś pewny, że twoi ludzie wiernie przy tobie staną?

— Skąd mam wiedzieć? Miłują mnie dosyć, ale wiedzą, że hetman nade mną.

Zagłoba zamyślił się na chwilę.

— Dajże mnie do nich ordynans, aby mnie we wszystkiem słuchali, jako ciebie samego, jeśli się wśród nich ukażę.

— Waćpanu się zdaje, żeś już wolny!

— Nie wadzi nic. Bywało się w gorszych opałach i Bóg ratował. Daj ordynans dla mnie i dla obydwóch panów Skrzetuskich. Kto pierwszy się wymknie, ten zaraz do chorągwi ruszy i innym ją na ratunek przyprowadzi.

— Co waść bredzisz! Szkoda czasu na gadanie! Kto tu się wymknie! Na czem zresztą dam rozkaz? Masz waść papier, inkaust, pióra? Waść głowę tracisz.

— Desperacja! — rzekł Zagłoba. — Dajże mnie choć swój pierścień.

— Masz waćpan i daj mnie spokój! — rzekł pan Michał.

Pan Zagłoba wziął pierścień, wsadził go na mały palec i począł chodzić w zamyśleniu.

Tymczasem dymny kaganek zagasł i ogarnęła ich ciemność zupełna; tylko przez kraty wysokiego okna widać było parę gwiazd migających na pogodnem niebie. Oczy Zagłoby nie schodziły z tej kraty.

— Gdyby nieboszczyk Podbipięta żył i był z nami, — mruknął stary, — byłby wyszarpnął kratę i w godzinę obaczylibyśmy się za Kiejdanami.

— A podsadzisz mnie do okna? — rzekł nagle Jan Skrzetuski.

Zagłoba z panem Stanisławem ustawili się pod ścianą, po chwili Jan stał na ich ramionach.

Trzeszczy! jak mi Bóg miły, trzeszczy! — zawołał Zagłoba.

— Co ojciec mówisz! — odpowiedział Jan — jeszczem nie zaczął ciągnąć.

— Wleźcie we dwóch z bratankiem, już was tam jakoś udźwignę... Nieraz żałowałem pana Michała, że taki misterny, a teraz żałuję, że jeszcze nie misterniejszy, bo mógłby się jako serpens prześliznąć.

Lecz Jan zeskoczył z ramion.

— Szkoci stoją z tamtej strony! — rzekł.

— Bodaj się w słupy soli zmienili, jako żona Lotowa. Ciemno tu choć w pysk daj. Niedługo świtać pocznie. Myślę, że nam jakoweś alimenta przyniosą, bo tego i lutrzy nie czynią, żeby jeńców mieli głodem morzyć. Może też Bóg zeszle na hetmana upamiętanie. W nocy nieraz sumienie się w człeku budzi i djabli grzeszników inkomodują. Zali to może być, aby do tej piwnicy jedno było wejście? Po dniu obejrzym. Głowa mi jakoś cięży i żadnego fortelu wymyślić nie mogę — jutro Bóg dowcipowi pomoże, a teraz pocznijmy pacierze, mości panowie, i polećmy się Najświętszej Pannie w tem heretyckiem więzieniu.

Jakoż po chwili poczęli odmawiać pacierze i litanję do Matki Boskiej, poczem obaj Skrzetuscy i Wołodyjowski umilkli, mając pełne piersi nieszczęścia, Zagłoba zaś pomrukiwał zcicha:

— Nie może inaczej być, — mruczał, — tylko jutro pewnie powiedzą nam: aut, aut! — bądźcie z Radziwiłłem, a przebaczę wam wszystko. Jeno zobaczymy, kto kogo oszuka. To do więzienia szlachtę pakujecie, na wiek i na zasługi nie macie względu? — dobrze! Komu szkoda, temu płacz! Głupi będzie pod spodem, a mądry na wierzchu. Przyrzeknę, co chcecie, ale tego, czego wam dotrzymam, na załatanie butów nie starczy. Jeśli wy ojczyźnie wiary nie dotrzymujecie, to cnotliwy ten, kto wam nie dotrzyma. Ale to pewna, że przychodzi ostatnia zguba na Rzeczpospolitą, skoro najprzedniejsi jej dygnitarze z nieprzyjacielem się łączą... Tego w świecie jeszcze nie bywało i pewnie, że mentem można stracić. Zali jest w piekle dosyć mąk na

takowych zdrajców? Czego takiemu Radziwiłłowi brakło? Małoż mu ta ojczyzna wyświadczyła, że ją jako Judasz zaprzedał i to właśnie w czasie największych klęsk, w czasie trzech wojen?... Słuszny, słuszny gniew Twój, Boże, daj jeno karę najprędzej. Niechże tak będzie! Amen! Byle się stąd jak najprędzej na wolność wydostać — narobię ja ci partyzantów, mości hetmanie! Poznasz, jako to fructa zdrady smakują. Będziesz ty mnie jeszcze za przyjaciela uważał, ale jeśli lepszych przyjaciół nie znajdziesz, to nie poluj nigdy na niedźwiedzia, chyba ci skóra niemiła...

Tak to rozprawiał ze sobą pan Zagłoba. Tymczasem upłynęła jedna i druga godzina, a wkońcu poczęło świtać. Szare blaski wpadające przez kratę, rozpraszały zwolna ciemność panującą w piwnicy i wydobyły z niej posępne postacie rycerskie, siedzące pod ścianami. Wołodyjowski i dwaj Skrzetuscy drzemali ze znużenia, ale gdy rozwidniło się lepiej, z podwórca zamkowego doleciały odgłosy kroków żołnierskich, chrzęst broni, tętent kopyt i dźwięki trąb przy bramie. Rycerze zerwali się na równe nogi.

— Poczyna nam się dzień niezbyt pomyślnie! — rzekł Jan.

— Daj Boże, żeby się skończył pomyślniej — odpowiedział Zagłoba. — Wiecie waćpanowie, com w nocy obmyślił? Oto pewnie poczęstują nas darowaniem żywota, jeżeli służbę u Radziwiłła przyjąć i jeszcze w zdradzie pomagać zechcemy; my zaś powinniśmy się na to zgodzić, aby z wolności skorzystać i za ojczyznę stanąć.

— Niechże mnie Bóg broni, abym miał zdradę podpisywać,—odparł Jan,—bo choćbym potem zdrajcy odstąpił, jużby moje nazwisko na hańbę moim dzieciom między zdrajcami pozostało. Nie uczynię ja tego, wolę umrzeć.

— Ani ja! — rzekł Stanisław.

— A ja zgóry was uprzedzam, że uczynię. Na fortel, fortel, a potem będzie, co Bóg da. Nikt nie pomyśli, żem to z dobrej woli, albo szczerze uczynił. Niech tego smoka

Radziwiłła djabli wezmą. Zobaczymy jeszcze, czyje będzie na wierzchu.

Dalszą rozmowę przerwały krzyki dochodzące z podwórza. Słychać w nich było złowrogie akcenty gniewu i wzburzenia. Jednocześnie rozlegały się pojedyńcze głosy komendy i echa kroków całych tłumów i ciężki hurkot, jakoby przetaczanych dział.

— Co tam się dzieje? — pytał Zagłoba. — Dalibóg, może to jakaś pomoc dla nas?

— Pewnie, że niezwyczajne to hałasy — odrzekł Wołodyjowski. — A podsadźcie-no mnie do okna, bo ja najprędzej rozeznam, co to jest...

Jan Skrzetuski wziął go pod boki i podniósł jak dziecko do góry, pan Michał chwycił się kraty i począł pilnie wyglądać na podwórzec.

— Jest coś! jest! — rzekł nagle żywo — widzę węgierską nadworną chorągiew piechoty, którą Oskierka dowodził. Okrutnie go miłowali, a on także pod aresztem; pewnie się o niego dcpominają. Dalibóg! stoją w szyku bojowym. Porucznik Stachowicz jest z nimi, to przyjaciel Oskierki.

W tej chwili krzyki jeszcze się wzmogły.

— Ganchof przed nich przyjechał... Mówi coś ze Stachowiczem... A jaki krzyk!... Widzę, mości panowie, Stachowicz z dwoma oficerami odchodzą od chorągwi. Idą pewnie do hetmana w deputacji. Jak mi Bóg miły, bunt szerzy się w wojsku. Armaty naprzeciw Węgrom zatoczone i regiment szkocki także w szyku bojowym. Towarzystwo z pod polskich chorągwi zbiera się przy Węgrach. Bez nich nie mieliby tej śmiałości, bo w piechocie dyscyplina okrutna.

— Na Boga! — krzyknął Zagłoba. — W tem nasze zbawienie!... Panie Michale, a siła też polskich chorągwi?... Bo, że te się zbuntują, to zbuntują.

— Husarska Stankiewicza i pancerna Mirskiego stoją o dwa dni drogi od Kiejdan — odpowiedział Wołodyjow-

ski. — Gdyby tu były, nie śmianoby ich aresztować. Czekajże waść... Jest dragonja Charłampa, jeden regiment, Mieleszki drugi; te stoją przy księciu... Niewiarowski opowiedział się także przy księciu, ale jego pułk daleko... Dwa regimenty szkockie...

— To cztery przy księciu.

— I artylerja pod panem Korfem: dwa regimenty.

— Oj! coś dużo!

— I Kmicicowa chorągiew, okrutnie okryta... sześćset ludzi.

— A Kmicic po której stronie?

— Nie wiem.

— Nie widzieliście go? Rzucił wczoraj buławę, czy nie rzucił?

— Nie wiemy.

— Kto tedy przeciw księciu? jakie chorągwie?

— Najprzód widocznie ci Węgrzyni. Ludzi dwieście. Potem kupa luźnego towarzystwa z pod buławy Mirskiego i Stankiewicza. Szlachty trochę... i Kmicic, ale ten niepewny.

— Bodaj go!... Na miłość Boską... Mało!... Mało!...

— Ci Węgrzyni za dwa pułki staną. Stary żołnierz i wyćwiczony! Czekajcie-no... Lonty zapalają u armat, na bitwę się zanosi...

Skrzetuscy milczeli. Zagłoba kręcił się jak w gorączce.

— Bijże zdrajców! Bij psubratów! Ej, Kmicic! Kmicic! Wszystko od niego zależy. Śmiałyż to żołnierz?

— Jak djabeł... Gotów na wszystko.

— Nie może być inaczej, tylko on po naszej stronie stanie.

— Bunt w wojsku! Ot, do czego hetman doprowadził!... — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Kto tu buntownik? Wojsko, czy hetman, który się przeciwko własnemu panu zbuntował? — pytał Zagłoba.

— Bóg to osądzi. Czekajcie. Znowu tam jakiś ruch. Część dragonji Charłampowej staje przy Węgrach. Sama

dobra szlachta w tym regimencie służy. Słyszycie jak krzyczą?

— Pułkowników! Pułkowników!—wołały groźne głosy z podwórca.

— Panie Michale! na rany boskie, krzyknij im, żeby posłali po twoją chorągiew i po towarzystwo pancerne i husarskie.

— Cicho waść!

Zagłoba sam począł krzyczeć.

— A poszlijcie po resztę polskich chorągwi i w pień zdrajców!

— Cicho waść!

Nagle, nie na podwórzu, ale na tyłach zamku, zabrzmiała krótka, urwana salwa muszkietów...

— Jezus Marja! — krzyknął Wołodyjowski

— Panie Michale, co to jest?

— Rozstrzelali niezawodnie Stachowicza i dwóch oficerów, którzy poszli w deputacji! — mówił gorączkowo Wołodyjowski. — Nie może inaczej być!

— Męko Pana naszego! Tedy żadnej klemencji nie można się spodziewać.

Huk wystrzałów zagłuszył dalszą rozmowę. Pan Michał chwycił konwulsyjnie za kratę i przycisnął do niej czoło, ale przez chwilę nic nie mógł dojrzeć, prócz nóg szkockich piechurów, ustawionych tuż za oknem. Salwy muszkietów stały się coraz gęstsze, nakoniec ozwały się i armaty. Suche uderzenia kul o ścianę nad piwnicą słychać było doskonale, jakby uderzenia gradu. Zamek trząsł się w posadach.

— Michale, zeskocz, zginiesz tam! — zawołał Jan.

— Za nic. Kule idą wyżej, a z armat właśnie w przeciwną stronę. Za nic nie zejdę.

I pan Wołodyjowski, chwyciwszy jeszcze silniej za kratę, wciągnął się cały we wgłębienie okna, gdzie już nie potrzebował ramion Skrzetuskiego do podpory. W piwnicy uczyniło się wprawdzie ciemno, bo okienko było małe i pan Michał, choć szczupły, przesłonił je całkowicie, ale nato-

miast towarzysze pozostali na dole mieli każdej minuty świeże wiadomości z pola bitwy.

— Widzę teraz! — krzyknął pan Michał. — Węgrzyni o ścianę się wsparli, stamtąd strzelają... Ha! bałem się, żeby się w kąt nie zatłoczyli, bo armatyby ich w mig zniszczyły. Sprawny żołnierz! Jak mi Bóg miły! Bez oficerów wie, co trzeba. Dym znowu! Nie widzę nic...

Strzały poczęły słabnąć.

— Boże miłosierny! nie odkładaj kary! — wołał Zagłoba.

— A co Michale? — pytał Skrzetuski.

— Szkoci idą do ataku.

— Pioruny siarczyste, że musimy tu siedzieć! — zakrzyknął Stanisław.

— Już są! Halabardnicy! Węgrzyni na szable ich biorą! Ach! Boże! że nie możecie widzieć! Co za żołnierze!

— I ze sobą się biją, zamiast z nieprzyjacielem.

— Węgrzyni górą! Szkoci od lewego cofają się. Jak Boga kocham! Dragoni Mieleszki przechodzą na ich stronę!... Szkoci we dwóch ogniach. Korf nie może z dział razić, bo i Szkotówby psował. Widzę już i Ganchofowe mundury między Węgrzynami. Idą do ataku na bramę. Chcą się wydostać stąd. Idą jak burza! Wszystko łamią!

— Hę? Jakto? Wolałbym, żeby zamek zdobyli — krzyknął Zagłoba.

— Nic to! Jutro powrócą z chorągwiami Mirskiego i Stankiewicza... Hej! Charłamp zginął!... Nie! Wstaje, ranny... Już, już są przy bramie... Co to jest? Chyba i szkocka straż w bramie przechodzi do Węgrów, bo otwierają wrzeciądze... Kurz się kłębi z tamtej strony. Kmicica widzę! Kmicic! Kmicic z jazdą wali przez bramę!

— Po czyjej stronie? Po czyjej stronie? — krzyczał Zagłoba.

Przez chwilkę pan Michał nie dał odpowiedzi, ale przez małą chwilkę; zgiełk, szczęk broni i krzyki rozległy się tymczasem ze zdwojoną siłą.

— Już po nich! — krzyknął przeraźliwie Wołodyjowski.

— Po kim? Po kim?

— Po Węgrach! Jazda rozbiła ich, tratuje, siecze! Banderja w Kmicicowych ręku!... Koniec, koniec!

To rzekłszy, pan Michał zesunął się z framugi okienka i wpadł w ramiona Jana Skrzetuskiego.

— Bijcieże mnie! — wołał — bijcie, bo ja tego człowieka miałem pod szablą i żywym go puściłem; ja odwiozłem mu list zapowiedni! Przeze mnie zaciągnął tę chorągiew, z którą teraz przeciwko ojczyźnie będzie walczył. Wiedział, kogo zaciągał: psubratów, wisielców, zbójców, rakarzy, takich, jak i sam. Bodajem go raz jeszcze z szablą spotkał... Boże! przedłuż mi życie na pohybel tego zdrajcy, bo przysięgam, że więcej z rąk moich nie wyjdzie...

Tymczasem krzyki, tętent kopyt i salwy wystrzałów brzmiały jeszcze z całą siłą; ale stopniowo poczęły słabnąć i w godzinę później cisza zapanowała na kiejdańskim zamku, przerywana tylko miarowemi krokami patrolów szkockich i odgłosami komendy.

— Panie Michale! Wyjrzyj-no jeszcze, co się stało — błagał Zagłoba.

— Poco? — odpowiedział mały rycerz. — Kto wojskowy, ten zgadnie, co się stało. Zresztą widziałem ich rozbitych... Kmicic tu triumfuje!

— Bodaj go końmi szarpano, warchoła, piekielnika! — Bodaj mu przyszło haremu u Tatarów pilnować!

ROZDZIAŁ II.

Pan Michał miał słuszność! Kmicic triumfował. Węgrzy i część dragonów Mieleszki oraz Charłampa, która połączyła się z nimi, zalegli gęstym trupem kiejdańskie dziedzińce. Zaledwie kilkudziesięciu wymknęło się i rozproszyło w okolicach zamku i miasta, gdzie ich ścigała

jazda. Wyłowiono jeszcze wielu, inni nie oparli się zapewne aż w obozie Pawła Sapiehy, wojewody witebskiego, któremu pierwsi musieli przynieść straszną wieść o zdradzie hetmana wielkiego, o przejściu jego do Szwedów, o uwięzieniu pułkowników i o oporze chorągwi polskich.

Tymczasem Kmicic, cały okryty krwią i kurzawą, stawił się z węgierską banderją w ręku przed Radziwiłłem, który przyjął go z otwartemi rękoma. Ale pana Andrzeja nie upoiło zwycięstwo. Owszem chmurny był i zły, jakby przeciw sercu postąpił

— Wasza ks. mość, — rzekł, — nie chcę słuchać pochwał i wolałbym sto razy z nieprzyjacielem ojczyzny walczyć, niż z żołnierzami, którzyby się jej przydać mogli. Człeku się zdaje, że sam sobie krwi upuścił.

— A czyjaż wina, jeśli nie tych buntowników? — odparł książę. — Wolałbym i ja ich pod Wilno poprowadzić i tak miałem uczynić... Oni zaś woleli przeciw zwierzchności się porwać. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba było i trzeba będzie dać przykład.

— Co wasza książęca mość myślisz robić z jeńcami?

— Co dziesiątemu kula w łeb. Resztę pomieszać z innymi pułkami. Pojedziesz dziś do chorągwi Mirskiego i Stankiewicza, zawieziesz im rozkaz mój, by do pochodu byli gotowi. Czynię cię regimentarzem nad temi dwiema chorągwiami i nad trzecią Wołodyjowskiego. Namiestnicy mają ci podlegać i we wszystkiem słuchać. Chciałem do tej chorągwi Charłampa najprzód posłać, ale on do niczego... Rozmyśliłem się.

— A w razie oporu? Bo to u Wołodyjowskiego laudańscy ludzie, którzy okrutnie mnie nienawidzą.

— Ogłosisz, że Mirski, Stankiewicz i Wołodyjowski natychmiast będą rozstrzelani.

— Tedy oni mogą pójść zbrojno na Kiejdany, aby ich odbić. U Mirskiego wszystko znaczna szlachta służy.

— Weźmiesz ze sobą regiment piechoty szkockiej i re-

giment niemieckiej. Najprzód otoczysz ich, potem ogłosisz rozkaz.

— Jak wola waszej ks. mości!

Radziwiłł wsparł dłonie na kolanach i zamyślił się.

— Mirskiego i Stankiewicza rozstrzelałbym chętnie, gdyby nie to, że oni nietylko w swoich chorągwiach, ale w całem wojsku, ba, w całym kraju mir mają... Boję się wrzawy i otwartego buntu, którego przykład mieliśmy już przed oczyma... Szczęściem, dzięki tobie, dobrą dostali naukę i dwa razy pomyśli każda chorągiew, nim się na nas porwie. Trzeba tylko szybko działać, ażeby oporni nie przeszli do pana wojewody witebskiego.

— Wasza ks. mość mówiłeś tylko o Mirskim i Stankiewiczu, a nie wspomniałeś o Wołodyjowskim i Oskierce.

— Oskierkę muszę także oszczędzić, bo to człek znaczny i szeroko spokrewniony; ale Wołodyjowski z Rusi pochodzi i nie ma tu relacyj. Dzielny to żołnierz, prawda! Liczyłem też na niego... Temci gorzej, żem się zawiódł. Gdyby djabeł nie był przyniósł tych przybłędów, jego przyjaciół, może inaczejby postąpił; ale po tem, co się stało, czeka go kula w łeb, jak również dwóch Skrzetuskich i tego trzeciego byka, który pierwszy zaczął ryczeć: „Zdrajca, zdrajca!“

Pan Andrzej zerwał się, jakby go żelazem przypieczono.

— Wasza książęca mość! Żołnierze mówią, że Wołodyjowski życie waszej ks. mości pod Cybichowem uratował.

— Spełnił swoją powinność i za to Dydkiemie mu w dożywocie chciałem puścić... Teraz mię zdradził i za to każę go rozstrzelać.

Oczy Kmicica zaiskrzyły się, a nozdrza poczęły latać.

— Wasza ks. mość! Nie może to być!

— Jakto, nie może być? — spytał Radziwiłł, marszcząc brwi.

— Błagam waszą ks. mość! — mówił z uniesieniem Kmicic — aby Wołodyjowskiemu włos z głowy nie spadł. Wasza ks. mość mi przebaczy... błagam!... Wołodyjowski

mógł mi nie oddać zapowiedniego listu, boś go wasza ks. mość na jego ręce przysłał i do woli mu zostawił. A oddał!... Wyrwał mnie z toni... Przez to przeszedłem pod w. ks. mości inkwizycję... Nie wahał się mnie ratować, chociaż o tę samą pannę tentował... Winieniem mu wdzięczność i zaprzysiągłem sobie, że mu się wypłacę!... Wasza ks. mość uczyni to dla mnie, aby ni jego, ni jego przyjaciół żadna kara nie dosięgła. Włos im nie ma spaść z głowy i, na Boga! nie spadnie, pókim ja żyw!... Błagam waszą książęcą mość!

Pan Andrzej prosił i ręce składał, ale w słowach jego brzmiały mimowoli akcenty gniewu i groźby i oburzenia. Niepohamowana natura brała górę. I stanął nad Radziwiłłem z twarzą podobną do głowy rozdrażnionego, drapieżnego ptaka, z roziskrzonemi oczami. Hetman zaś miał również burzę w obliczu. Przed jego żelazną wolą i despotyzmem gięło się dotychczas wszystko na Litwie i Rusi — nikt nigdy nie śmiał mu się sprzeciwić, nikt prosić o łaskę dla raz skazanych, a teraz Kmicic prosił tylko pozornie — w rzeczywistości żądał. I położenie było takie, że prawie niepodobna było mu odmówić.

Despota, zaraz na początku zawodu zdrajcy poczuł, że nieraz przyjdzie mu ulegać despotyzmowi ludzi i okoliczności, że będzie zależnym od własnych stronników, daleko mniejszego znaczenia, że ten Kmicic, którego chciał zmienić w wiernego psa, będzie raczej chowanym wilkiem, który rozdrażniony gotów chwycić zębami za rękę pana.

Wszystko to wzburzyło dumną krew radziwiłłowską. Postanowił się opierać, bo i wrodzona straszna mściwość pchała go do oporu.

— Wołodyjowski i tamci trzej muszą dać gardła! — rzekł podniesionym głosem.

Lecz było to dorzucić prochu do ognia.

— Gdybym był Węgrów nie rozbił, nie oni daliby gardła! — zakrzyknął Kmicic.

— Jakżeto? Już mi wymawiasz swoje usługi? — pytał groźnie hetman.

— Wasza ks. mość! — rzekł porywczym głosem pan Andrzej — nie wymawiam... Proszę... Błagam... Ale to się nie stanie. Ci ludzie na całą Polskę sławni... Nie może być! Nie może być!... Nie będę Judaszem dla Wołodyjowskiego. Pójdę za waszą ks. mość w ogień, ale nie odmawiaj mi tej łaski...

— A jeśli odmówię?

— Tedy mnie każ w. ks. mość rozstrzelać!... Nie chcę żyć!... Niech mnie pioruny zatrzasną!... Niech mnie djabli żywcem do piekła wezmą!

— Opamiętaj się, nieszczęsny, przed kim to mówisz?

— Wasza ks. mość nie przyprowadzaj mnie do desperacji!

— Do prośby mogłem nakłonić ucha, na groźby nie będę zważał.

— Ja proszę... Błagam!...

Tu pan Andrzej rzucił się na kolana.

— Pozwól mi wasza ks. mość sercem, nie z musu sobie służyć, bo inaczej zwarjuję!

Radziwiłł nie odrzekł nic. Kmicic klęczał, bladość i rumieńce przelatywały mu jak błyskawice przez twarz. Widocznem było, że jeszcze chwila, a wybuchnie w straszliwy sposób.

— Wstań! — rzekł Radziwiłł.

Pan Andrzej wstał.

— Umiesz bronić przyjaciół: — rzekł książę — mam próbę, że i mnie będziesz umiał bronić i nie odstąpisz nigdy. Jeno Bóg cię stworzył z saletry, nie z mięsa i bacz, abyś nie spłonął. Nie mogę ci niczego odmówić. Słuchajże mnie: Stankiewicza, Mirskiego i Oskierkę chcę Szwedom do Birż odesłać; niechże Skrzetuscy dwaj i Wołodyjowski idą z nimi. Głów im tam nie pourywają, a że czas wojny w spokoju posiedzą, to lepiej.

— Dziękuję waszej ks. mości, ojcu mojemu! — zakrzyknął pan Andrzej.

— Powoli... — rzekł książę. — Uszanowałem twoją przysięgę, aż nadto, teraz ty uszanuj moją... Temu staremu szlachcicowi... zapomniałem jak mu na przezwisko... temu ryczącemu djabłu, który tu ze Skrzetuskimi przybył, zapisałem śmierć w duszy. On to pierwszy nazwał mnie zdrajcą, on o wzięcie korupcyj posądził, on podniecił innych, bo może nie przyszłoby do tego oporu, gdyby nie jego zuchwalstwo (Tu książę uderzył pięścią w stół.) Pierwiej śmierci, pierwiej końca światabym się spodziewał, niż żeby kto mnie, Radziwiłłowi, śmiał do oczu zakrzyknąć: „Zdrajca!“ Do oczu, wobec ludzi! Niema takiej śmierci, niema takich mąk, którychby dość było za taką zbrodnię. Nie proś mnie o niego, bo to nanic.

Ale pan Andrzej niełatwo się zrażał, gdy sobie coś przedsięwziął. Jeno nie gniewał się już, ani wybuchał. Owszem, chwyciwszy na nowo rękę hetmańską, począł okrywać ją pocałunkami i prosić tak serdecznie, jak tylko sam umiał.

— Żadnym powrozem ani łańcuchem nie przywiązałbyś wasza ks. mość tak serca mego, jak tą łaską. Ale nie czyń jej w połowie, ni w części, jeno całą... Wasza ks. mość! Co ten szlachcic wczoraj mówił, to myśleli wszyscy. Ja sam to samo myślałem, pókiś mi w. ks. mość oczu nie otworzył... Niech mnie ogień spali, jeślim tego nie myślał... Człek temu nie winien, że głupi. Ten szlachcic był do tego pijany i co miał na sercu, to i zakrzyknął. Myślał, że w obronie ojczyzny występuje, a trudnoż kogo karać za sentyment dla ojczyzny. Wiedział, że gardło naraża, a dlatego zakrzyknął, co miał w gębie i na sercu. Ni on mnie grzeje, ni ziębi, ale to panu Wołodyjowskiemu jako brat, albo zgoła ojciec. Jużby też desperował po nim bez miary, a ja tego nie chcę. Taka już we mnie natura, że jak komu dobra życzę, to duszębym za niego oddał. Żeby mnie kto oszczędził, a przyjaciela mi zabił, niechby go djabeł za taką łaskę porwał. Wasza

ks. mość! Ojcze mój, dobrodzieju, łaskawco, uczyńże całą łaskę, daruj mi tego szlachcica, a ja ci krew moją wszystką daruję. choćby jutro, dziś, zaraz!

Radziwiłł zagryzł wąsy.

— Zapisałem mu wczoraj śmierć w duszy.

— Co hetman i wojewoda wileński zapisał, to w. książę litewski. a daj Boże. w przyszłości, król polski, jako łaskawy monarcha, przekreślić może...

Pan Andrzej mówił szczerze, co czuł i myślał, ale gdyby był najzręczniejszym dworakiem, nie mógłby potężniejszego argumentu na obronę swych przyjaciół znaleźć. Dumna twarz magnata rozjaśniła się — i oczy przymknął, jakby lubując się dźwiękiem tych tytułów, których jeszcze nie posiadał. Po chwili rzekł:

— Takeś mnie zagadał, że niczego nie mogę ci odmówić. Pójdą wszyscy do Birż. Niechże tam odpokutują u Szwedów za winy, a potem, gdy się to stanie, coś rzekł, żądaj nowej dla nich łaski.

— Jako żywo, że zażądam, daj Boże najprędzej! — odrzekł Kmicic.

— Idźże teraz, zanieś im dobrą nowinę!

— Nowina dobra dla mnie, nie dla nich, bo oni pewnie nie przyjmą jej z wdzięcznością. zwłaszcza, że się nie spodziewali tego. co im groziło. Nie pójdę w. ks. mość, bo to takby wyglądało, jakbym się im chciał zaraz z moją instancją chwalić.

— Czyńże jak chcesz. Ale kiedy tak. to czasu nie trać i ruszaj po chorągwie Mirskiego i Stankiewicza, bo zaraz potem czeka cię inna ekspedycja, od której pewnie nie będziesz się wybiegał.

— Jaka, w. ks. mość?

— Pojedziesz zaprosić ode mnie pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, aby razem z krewniaczką do mnie, do Kiejdan, przyjechał i tu na czas wojny osiadł. Rozumiesz?

Kmicic zmieszał się.

— On tego uczynić nie zechce... Z wielką furją Kiejdany opuścił.

— Spodziewam się, że go furja już opuściła; w każdym razie weźmiesz ludzi ze sobą i jeżeli nie zechcą po dobrej woli tu przybyć, to ich wsadzisz w kolaskę, otoczysz dragonami i przywieziesz. Szlachcic miękki był jak wosk; gdym z nim gadał, płonił się jak panna i kłaniał do ziemi; ale i on zląkł się imienia szwedzkiego, jak djabeł święconej wody i odjechał. Potrzebuję go tu mieć i dla siebie i dla ciebie. Mam nadzieję, że jeszcze ulepię z tego wosku taką świecę, jaką zechcę i komu zechcę ją zapalę. Tem lepiej będzie, jeśli się tak stanie... A jeśli nie, tedy będę miał zakładnika. Billewicze dużo mogą na Żmudzi, bo prawie ze wszystką szlachtą spokrewnieni. Gdy jednego i to najstarszego dostanę w ręce, inni dwa razy pomyślą, nim coś przeciw mnie przedsięwezmą. A przecie to za nimi i za twoją dziewczyną stoi całe mrowie laudańskie, które, gdyby poszło do obozu pana wojewody witebskiego, pewnieby ich z otwartemi rękoma przyjął... Ważna to jest rzecz, tak ważna, że się namyślam, czy nie od Billewiczów poczynać.

— W chorągwi Wołodyjowskiego sami laudańscy ludzie.

— Opiekunowie twojej dziewki. Kiedy tak, pocznijże od tego, by ją tu sprowadzić. Tylkoże słuchał: ja podejmuję się pana miecznika na naszą wiarę nawrócić, ale dziewkę to sobie już ty sam kaptuj, jak umiesz. Gdy ja miecznika nawrócę, on ci pomoże dziewkę nawracać. Zgodzi się, to wyprawię wam, nie mieszkając, wesele... Nie zgodzi się, bierz ją i tak. Jak będzie po harapie, to będzie po wszystkiem... Z niewiastami najlepszy to sposób. Popłacze, podesperuje, gdy ją do ołtarza powloką, ale na drugi dzień pomyśli, że nie taki djabeł straszny, jak go malują, a trzeciego będzie rada. Jakżeście się wczoraj rozstali?

— Jakoby mi w pysk dała!

— Cóż rzekła?

— Nazwała mnie zdrajcą... Mało mnie paraliż nie trzasł.

— Takaż to zaciekła? Jak będziesz jej mężem, powiedzże jej, że niewiastom kądziel lepiej przystoi, niż sprawy publiczne i trzymaj ją krótko.

— Wasza ks. mość jej nie zna. U niej wszystko zaraz: cnota albo niecnota i wedle tego sądzi; a rozumu niejeden mąż mógłby jej pozazdrościć. Nim się człowiek obejrzy, ona już w sedno utrafi.

— Utrafiła ci też w serce... Staraj się także ją utrafić.

— Bógby to dał, w. ks. mość. Raz już brałem ją zbrojną ręką, alem sobie potem przyrzekł, że więcej tego nie uczynię... I co mi wasza ks. mość mówi, żeby ją choćby gwałtem do ołtarza prowadzić, to mi nie idzie po sercu, bom sobie i jej przyrzekł, że gwałtu więcej nie użyję... Cała nadzieja, że w. k. mosć wyperswaduje panu miecznikowi, iż nietylko zdrajcami nie jesteśmy, ale zbawienia ojczyzny chcemy... Gdy on się przekona, to i ją przekona, a wtenczas inaczej będzie na mnie patrzyła. Teraz do Billewicza pojadę i sprowadzę ich tu oboje, bo mi strach, żeby się ona do zakonu gdzie nie schroniła... Ale powiem w. ks. mości szczerą prawdę. że choć wielkie to szczęście dla mnie patrzeć na tę dziewczynę, wolałbym na całą potęgę szwedzką uderzyć, niż przed nią teraz stanąć, bo ona nie zna moich cnotliwych chęci i za zdrajcę mnie poczytuje.

— Jeżeli chcesz, to tam kogo innego wyszlę, Charłampa albo Mieleszkę.

— Nie! Pojadę lepiej sam... Charłamp zresztą ranny.

— To i lepiej... Charłampa chciałem wczoraj wysłać do chorągwi Wołodyjowskiego, by nad nimi komendę objął, a w potrzebie do posłuszeństwa zmusił; ale to człek niezgrabny i pokazało się, że własnych ludzi nie umie utrzymać. Nic mi po nim. Jedźże najprzód po miecznika i dziewczynę, a potem do tamtych chorągwi. W ostatnim razie nie szczędź krwi, bo trzeba pokazać Szwedom, że mamy siłę i nie ulękniemy się buntu... Pułkowników zaraz pod eskortą

odeszlę; spodziewam się, że Paulus de la Gardie poczyta to za dowód szczerości mojej... Mieleszko ich odprowadzi. Ciężko z początku idzie! Ciężko! Już widzę, że z pół Litwy stanie przeciw mnie.

— Nic to, wasza ks. mość! Kto ma czyste sumienie, ten się nikogo nie ulęknie.

— Myślałem, że przynajmniej Radziwiłłowie staną wszyscy po mojej stronie, tymczasem patrz, co mi pisze książę krajczy z Nieświeża.

Tu hetman podał Kmicicowi list Kazimierza Michała.

Kmicic przebiegł oczyma pismo.

— Żebym nie znał intencyj waszej ks. mości, myślałbym, że ma rację i że najcnotliwszy to w świecie pan. Boże, daj mu wszystko dobre!... Mówię, co myślę.

— Jedź już! — rzekł z pewną niecierpliwością hetman.

ROZDZIAŁ III.

Kmicic jednak nie wyruszył ani tego dnia, ani następnego, bo groźne wieści poczęły nadchodzić zewsząd do Kiejdan. Oto pod wieczór przybiegł goniec z doniesieniem, że chorągwie Mirskiego i Stankiewicza same ruszają ku rezydencji hetmańskiej, gotowe zbrojną ręką upominać się o swych pułkowników; że wzburzenie panuje między niemi straszne i że towarzystwo wysłało deputacje do wszystkich chorągwi, stojących w pobliżu Kiejdan i dalej, aż na Podlasie do Zabłudowa, z doniesieniem o zdradzie hetmańskiej i wezwaniem, by się łączyły w kupę dla obrony ojczyzny. Łatwo było przytem przewidzieć, że mnóstwo szlachty zleci się do zbuntowanych chorągwi i wytworzy poważną siłę, przeciw której trudno się będzie opierać w nieobronnych Kiejdanach, zwłaszcza, że nie na wszystkie pułki, które Radziwiłł miał pod ręką, można było liczyć z pewnością.

Zmieniło to wyrachowania i wszystkie plany hetmańskie, ale zamiast osłabić w nim ducha, zdawało się go jeszcze podniecać. Postanowił sam na czele wiernych szkockich re-

gimentów, rajtarji i artylerji wyruszyć przeciw buntownikom i zdeptać ogień w zarodku. Wiedział, że żołnierze bez pułkowników są tylko tłuszczą niesforną, która rozproszy się przed grozą samego imienia hetmańskiego.

Postanowił też nie szczędzić krwi i przerazić przykładem całe wojsko, wszystką szlachtę, ba! całą Litwę, aby nie śmiała drgnąć nawet pod żelazną jego ręką. Miało się spełnić wszystko, co zamierzył i spełnić się własnemi jego siłami.

Tegoż dnia jeszcze wyjechało kilku oficerów cudzoziemskich do Prus czynić tam nowe zaciągi, a Kiejdany wrzały zbrojnym ludem. Regimenty szkockie, rajtarja cudzoziemska, dragoni Mieleszki i Charłampa i „lud ognisty“, pana Korfa, gotowały się do wyprawy. Hajducy książęcy, czeladź, mieszczanie z Kiejdan, mieli wzmocnić siły książęce, a nakoniec postanowiono przyśpieszyć wysłanie uwięzionych pułkowników do Birż, gdzie bezpieczniej było ich trzymać, niżeli w otwartych Kiejdanach. Książę spodziewał się słusznie, że wysłanie ich do tej odległej fortecy, w której wedle układu musiała już stać załoga szwedzka, zniweczy nadzieję uwolnienia ich w umysłach zbuntowanych żołnierzy i pozbawi sam bunt wszelkiej podstawy.

Pan Zagłoba, Skrzetuscy i Wołodyjowski mieli dzielić losy innych.

Wieczór już był, gdy do piwnicy, w której siedzieli, wszedł oficer z latarnią w ręku i rzekł:

— Zbierajcie się waszmościowie iść ze mną.

— Dokąd? — pytał niespokojnym głosem pan Zagłoba.

— To się pokaże... Prędzej! prędzej!

— Idziemy.

Wyszli. Na korytarzu otoczyli ich żołnierze szkoccy, zbrojni w muszkiety. Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

— Przecie na śmierćby nas nie prowadzili bez księdza, bez spowiedzi? — szepnął do ucha Wołodyjowskiego.

Poczem zwrócił się do oficera:

— Jakże godność, proszę?

— A waści co do mojej godności?

— Bo mam wielu krewnych na Litwie i miło wiedzieć, z kim się ma do czyniena.

— Nie pora sobie świadczyć, ale kiep ten, kto się swego nazwiska wstydzi... Jestem Roch Rowalski, jeśli waćpan chcesz wiedzieć.

— Zacna to rodzina! Mężowie dobrzy żołnierze, niewiasty cnotliwe. Moja babka była Kowalska, ale osierociła mnie, nimem na świat przyszedł... A waćpan z Wieruszów czyli z Korabiów Kowalskich?

— Co mnie tu waść będziesz po nocy indagował.

— Boś mi pewno krewniak, gdyż i struktura w nas jednaka. Grube masz waćpan kości i bary zupełnie jak moje, a ja właśnie po babce urodę odziedziczyłem.

— No, to się w drodze wywiedziemy... Mamy czas!

— W drodze? — rzekł Zagłoba.

I wielki ciężar spadł mu z piersi. Odsapnął, jak miech i zaraz nabrał fantazji.

— Panie Michale, — szepnął, — nie mówiłżem ci, że nam szyi nie utną?

Tymczasem wyszli na dziedziniec zamkowy. Noc już zapadła zupełna. Tu i owdzie tylko płonęły czerwone pochodnie lub migotały latarki, rzucając niepewne blaski na grupy żołnierzy konnych i pieszych rozmaitej broni. Cały dziedziniec zatłoczony był wojskiem. Gotowano się widocznie do pochodu, bo wszędy znać było ruch wielki. Tu i owdzie w ciemnościach majaczyły włócznie i rury muszkietów, kopyta końskie szczękały po bruku; pojedyńczy jeźdźcy przebiegali pomiędzy chorągwiami; zapewne byli to oficerowie rozwożący rozkazy.

Kowalski zatrzymał konwój i więźniów przed ogromnym wozem drabiniastym, zaprzężonym we cztery konie.

— Siadajcie waszmościowie! — rzekł.

— Tu już ktoś siedzi — rzekł, gramoląc się Zagłoba. — A nasze łuby?

— Łuby są pod słomą, — odrzekł Kowalski, — prędzej! prędzej!

— A kto tu siedzi? — pytał Zagłoba, wpatrując się w ciemne postacie, wyciągnięte na słomie.

— Mirski. Stankiewicz, Oskierka! — ozwały się głosy.

— Wołodyjowski, Jan Skrzetuski, Stanisław Skrzetuski, Zagłoba! — odpowiedzieli nasi rycerze.

— Czołem! czołem!

— Czołem! W zacnej kompanji pojedziem. A gdzie nas wiozą, nie wiecie waszmościowie?

— Jedziecie waszmościowie do Birż! — rzekł Kowalski.

To powiedziawszy, dał rozkaz. Konwój pięćdziesięciu dragonów otoczył wóz i ruszyli.

Więźniowie poczęli rozmawiać zcicha:

— Szwedom nas wydadzą! — rzekł Mirski. — Tegom się spodziewał.

— Wolę siedzieć między nieprzyjaciołmi, niż między zdrajcami! — odpowiedział Stankiewicz.

— A jabym wolał kulą w łeb! — zawołał Wołodyjowski — niż siedzieć z założonemi rękami w czasie takiej wojny nieszczęsnej.

— Nie bluźń panie Michale,—odpowiedział Zagłoba,— bo z woza, byle pora sposobna przyszła, możesz dać nura, z Birż także, a z kulą we łbie ciężko uciekać. Ale ja wiedziałem zgóry, że się na to ten zdrajca nie ośmieli.

— Radziwiłłby się nie miał na co ośmielić! — rzekł Mirski. — Widać, żeś waść zdaleka przyjechał i że jego nie znasz. Komu on zemstę poprzysięże, ten jakoby był już w grobie, a nie pamiętam przykładu, żeby komu najmniejszą winę odpuścił.

— A taki nie śmiał na mnie podnieść ręki! — odpowiedział Zagłoba. — Kto wie, czy nie mnie i waszmościowie szyje zawdzięczacie.

— A to jakim sposobem?

— Bo mnie chan krymski okrutnie miłuje, za to, żem spisek na jego szyję odkrył, gdym w niewoli w Krymie siedział. A i nasz miłościwy Johannes Casimirus także się we mnie kocha.. Nie chciał taki syn, Radziwiłł, z dwoma potentatami zadzierać, gdyż i na Litwie mogliby go dosięgnąć.

— I! Co waćpan gadasz! Nienawidzi on króla, jak djabeł święconej wody i jeszczeby był na waści zawziętszy, gdyby wiedział, żeś królowi konfident — odpowiedział Stankiewicz.

— A ja tak myślę, — rzekł Oskierka, — nie chciał hetman sam naszą krwią się mazać, żeby odium na siebie nie ściągnąć, ale przysiągłbym. że ten oficer wiezie rozkaz do Szwedów w Birżach, żeby nas natychmiast rozstrzelali.

— Oj! — rzekł Zagłoba.

Umilkli na chwilę; tymczasem wóz wtoczył się już na rynek kiejdański. Miasto spało, w oknach nie było świateł, jeno psy przed domami ujadały zapalczywie na przeciągający orszak.

— Wszystko jedno — rzekł Zagłoba. — Zawsześmy zyskali na czasie, może i przypadek nam posłużyć, a może i fortel jaki przyjść do głowy.

Tu zwrócił się do starych pułkowników:

— Waszmościowie mało mnie znacie, ale spytajcie się moich towarzyszów, w jakich bywałem opałach, dlategom się zawdy wydostał na pole. Powiedźcie-no mnie, co to za oficer, któren nad konwojem ma komendę? Zaliby mu można wyperswadować. żeby się zdrajcy nie trzymał, jeno przy ojczyźnie stanął i z nami się połączył?

— To Roch Kowalski z Korabiów Kowalskich — odrzekł Oskierka. — Ja go znam. Tak samo mógłbyś waszmość jego koniowi perswadować, bo dalibóg, nie wiem, który głupszy.

— A że to zrobili go oficerem?

— On u Mieleszki w dragonach chorągiew nosi, do czego nie potrzęba rozumu. A zrobili go oficerem, bo się

księciu z pięści podobał, gdyż podkowy łamie i z chowanemi niedźwiedziami wpół się bierze, a takiego jeszcze nie znalazł, któregoby nie rozciągnął.

— Takiż to z niego osiłek?

— Że osiłek, to osiłek, a przytem, żeby mu zwierzchnik powiedział: rozwal łbem ścianę — to bez chwili namysłu zacząłby zaraz w nią trykać. Przykazano mu, by nas do Birż odwiózł, to i odwiezie, choćby się ziemia zapaść miała.

— Proszę! — rzekł Zagłoba, który z wielką uwagą słuchał tej rozmowy — rezolutny to jednak chłop.

— Bo u niego rezolutność z głupotą jedno stanowi. Zresztą, jak ma czas, a nie je, to śpi. Zadziwiająca rzecz, którejbyście waćpanowie nie uwierzyli; przecie on raz czterdzieści ośm godzin w cekhauzie przespał i ziewał jeszcze, gdy go z tapczanu ściągnęli.

— Okrutnie mi się ten oficer podoba, — rzekł Zagłoba, — bo zawsze lubię wiedzieć, z kim mam sprawę.

To rzekłszy, zwrócił się do Kowalskiego.

— Przybliż-no się waćpan! — zawołał protekcjonalnym tonem.

— Czego? — pytał Kowalski, zwracając konia.

— Nie masz-no gorzałki?

— Mam.

— Dawaj!

— Jakto: dawaj?

— Bo widzisz, mości Kowalski, żeby to było nie wolno, tobyś miał rozkaz nie dawać, a że nie masz rozkazu, więc dawaj.

— Hę? — rzekł zdumiony pan Roch — jako żywo! a cóżto mi mus?

— Mus nie mus, ale ci wolno, a godzi się krewnego wspomóc i starszego, który, gdyby się był z waściną matką ożenił, mógłby jak nic być twoim ojcem.

— Jakiś mi tam waćpan krewny!

— Bo są podwójni Kowalscy. Jedni się Wieruszową pieczętują, na której kozieł w tarczy jest wyimaginowany,

z podniesioną zadnią nogą, a drudzy Kowalscy mają za klejnot Korab, na którym przodek ich Kowalski z Anglji przez morze do Polski przyjechał i ci są moi krewni, a to przez babkę i dlatego, że ja także Korabiem się pieczętuję.

— Dlaboga! toś waść naprawdę mój krewniak!

— Alboś Korab?

— Korab.

— Moja krew, jak mi Bóg miły! — zawołał Zagłoba. — Dobrze, żeśmy się spotkali, bo ja tu w rzeczy samej na Litwę do Kowalskich przyjechałem, a chociażem w opresji, a ty na koniu i na wolności, chętniebym cię wziął w ramiona, bo co swój, to swój.

— Cóż ja waćpanu poradzę? Kazali cię odwieźć do Birż, to odwiozę... Krew, krwią, a służba, służbą.

— Mów mi: wuju! — rzekł Zagłoba.

— Masz wuj gorzałki! — rzekł pan Roch. — To mi wolno.

Zagłoba przyjął chętnie manierkę i napił się dowoli. Po chwili miłe ciepło poczęło mu się rozlewać po wszystkich członkach, w głowie uczyniło mu się jasno, a i umysł stał się jasny.

— Zleź-no z konia — rzekł do pana Rocha — i przysiądź się trochę na woz, pogawędzimy, bo chciałbym, żebyś mi co o rodzinie opowiedział. Szanuję ja służbę, ale to ci przecie wolno.

Kowalski przez chwilę nie odpowiadał.

— Nie było zakazu — rzekł wreszcie.

I wkrótce potem siedział już na wozie koło pana Zagłoby, a raczej rozciągnął się na słomie, którą wóz był wyładowany.

Pan Zagłoba uściskał go serdecznie.

— Jakże się miewa twój stary?... bodajże cię!... zapomniałem, jak mu na imię.

— Też Roch.

— I słusznie, i słusznie. Roch spłodził Rocha... To jest wedle przykazania. Powinieneś swego syna także

Rochem nazwać, aby każdy dudek miał swój czubek. A żonaty jesteś?

— Pewnie, że żonaty! Ja jestem Kowalski, a to jest pani Kowalska, innej nie chcę.

To rzekłszy, młody oficer podniósł do oczu panu Zagłobie głownię ciężkiej dragońskiej szabli i powtórzył:

— Innej nie chcę!

— Słusznie! — rzekł Zagłoba. — Okrutnie mi się podobasz Rochu. synu Rocha. Żołnierz najlepiej akomodowany, gdy nie ma innej żony, jak taka; i to ci jeszcze powiem, że prędzej ona po tobie, niż ty po niej owdowiejesz. Szkoda jeno, że młodych Rochów mieć z nią nie będziesz, bo widzę. żeś bystry kawaler i szkodaby było, gdyby taki ród miał zaginąć.

— O wa! — rzekł Kowalski. — Jest nas sześciu braci.

— I wszystko Rochy?

— Jakbyś wuj wiedział. że każdy, jeśli nie na pierwsze, to na drugie ma Roch, bo to nasz szczególniejszy patron.

— A napijmy się no jeszcze!

— A dobrze.

Zagłoba znów przechylił manierkę, ale nie wypił całej, jeno oddał ją oficerowi i rzekł:

— Do dna. do dna!

— Szkoda. że cię nie mogę widzieć! — mówił dalej. — Noc tak ciemna. choć w pysk daj. Własnych palcówbyś nie poznał. Słuchaj-no, mości Rochu, a gdzie to wojsko miało wychodzić z Kiejdan. gdyśmy wyjeżdżali?

— A na buntowników.

— Bóg najwyższy wie. kto tu buntownik: czy ty, czy oni?

— Ja buntownik? Jakżeto? Co mnie mój hetman każe, to czynię.

— Ale hetman nie czyni tego, co mu król jegomość każe. bo pewnie mu nie kazał ze Szwedami się łączyć. Nie wolałżebyś to Szwedów bić, niż mnie. krewnego, w ręce im wydawać?

— Możebym i wolał, ale co rozkaz, to słuch!

— I pani Kowalska wolałaby. Znam ja ją. Między nami mówiąc: hetman się przeciw królowi i ojczyźnie zbuntował. Nie powtarzaj tego nikomu, ale tak jest. I wy, co mu służycie, także się buntujecie.

— Tego mnie się słuchać nie godzi. Hetman ma swoją zwierzchność, a ja mam swoją, właśnie hetmańską i Bógby mnie skarał, gdybym się jej przeciwił. Niesłychana to rzecz!

— Zacnie mówisz... Ale uważ-no Rochu: gdybyś tak wpadł w ręce onych buntowników, to i jabym był wolny i nie twojaby była wina, bo nec Hercules contra plures!... Nie wiem, gdzie się tam te chorągwie znajdują, ale ty musisz wiedzieć... i widzisz, moglibyśmy trochę ku nim nawrócić.

— Jakżeto?

— A żebyś tak umyślnie ku nim zjechał? Nie byłoby twojej winy, jeśliby nas odbili. Nie miałbyś mnie na sumieniu... a mieć krewniaka na sumieniu, wierzaj mi, straszny to ciężar.

— At, co wuj gadasz? Dalibóg, zlezę z woza i na konia siędę. Nie ja będę miał wuja na sumieniu, jeno pan hetman. Pókim żyw, nie będzie z tego nic!

— Nic, to nic! — rzekł Zagłoba. — Wolę to, że szczerze mówisz, chociaż pierwiej byłem twym wujem, niż Radziwiłł twoim hetmanem. A czy ty wiesz, Rochu, co to jest wuj?

— Wuj to wuj.

— Bardzoś to roztropnie wykalkulował, ale przecie, gdzie ojca niema, tam, pismo mówi, wuja słuchać będziesz. Jest to jakby rodzicielska władza, której, Rochu, grzech się sprzeciwić... Bo nawet i to zauważ, że kto się ożeni, ten snadnie ojcem być może; ale w wuju płynie ta sama krew, co w matce. Nie jestem ci wprawdzie bratem twojem matki, ale moja babka musiała być ciotką twojej babki; więc poznaj to, że powaga kilku pokoleń we mnie spoczywa, bo jako wszyscy na tym świecie jesteśmy śmiertelni, tedy władza

z jednych na drugich przechodzi i ani hetmańska, ani królewska nie może jej negować, ani nikogo zmuszać, żeby się oponował. Co prawda, to święte! Ma-li hetman wielki, czy też, dajmy na to, polny prawo nakazać, nie już szlachcicowi i towarzyszowi, ale lada jakiemu ciurze, żeby się na ojca, matkę, na dziada, albo na starą, ociemniałą babkę porywał? Odpowiedz na to Rochu! Ma-li prawo?

— Hę? — spytał sennym głosem Kowalski.

— Na starą, ociemniałą babkę! — powtórzył pan Zagłoba. — Ktoby się wonczas chciał żenić i dzieci płodzić, albo się wnuków doczekać?... Odpowiedz i na to Rochu!

— Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska — mówił coraz sennej oficer.

— Kiedy chcesz, niech i tak będzie! — odpowiedział Zagłoba. — Lepiej to nawet, że nie będziesz miał dzieci, bo mniej kpów będzie po świecie grasowało. Nieprawda, Rochu?

Zagłoba nadstawił ucho, ale nie usłyszał już żadnej odpowiedzi.

— Rochu! Rochu! — zawołał zcicha.

Pan Roch spał, jak zabity.

— Śpisz?... — mruknął Zagłoba. — Czekajże... zdejmę ci ten żelazny garnek z głowy, bo ci nie wygodnie. Opończa dusi cię pod szyją, jeszczeby cię krew zalała. Cobym był za krewniak, żebym cię nie miał ratować.

Tu ręce pana Zagłoby poczęły poruszać się zlekka koło głowy i szyi Kowalskiego. Na wozie spali wszyscy głębokim snem; żołnierze kiwali się także na kulbakach, inni jadący w przedzie podśpiewywali zcicha, wypatrując zarazem pilno drogi, bo noc, choć niedżdżysta, była bardzo ciemna.

Jednakże, po niejakim czasie, żołnierz, prowadzący tuż za wozem konia, ujrzał w ciemnościach opończę i jasny hełm swego oficera. Kowalski nie zatrzymując wozu, zsunął się i kiwnął, by mu podano rumaka.

Po chwili siedział już na nim.

— Panie komendancie, a gdzie staniemy na popas? — pytał wachmistrz, zbliżywszy się ku niemu.

Pan Roch nie odpowiedział ani słowa i ruszył naprzód, minął zwolna jadących na przedzie i znikł w ciemnościach.

Nagle do uszu dragonów doszedł tętent szybkiego biegu konia.

— Skokiem komendant ruszył! — mówili pomiędzy sobą. — Pewnie chce obaczyć, czy jakiej karczmy niema blisko. Czasby już koniom popasać, czas!

Tymczasem upłynęło pół godziny, godzina, dwie, a pan Kowalski ciągle widać jechał naprzód, bo go nie było jakoś widać. Konie znużyły się bardzo, zwłaszcza przy wozie i poczęły się wlec wolno. Gwiazdy schodziły z nieba.

— Skocz-no który do komendanta, — rzekł wachmistrz, — powiedz mu, że szkapy ledwie nogi ciągną, a wozowe ustały.

Jeden z żołnierzy wyruszył naprzód, ale po godzinie wrócił sam.

— Komendanta ani śladu, ani popiołu — rzekł. — Musiał z milę naprzód wyjechać.

Żołnierze poczęli mruczeć z nieukontentowaniem.

— Dobrze mu, bo się przez dzień wyspał i teraz na wozie, a ty się człeku kołacz po nocy ostatnim tchem końskim i swoim.

— Toć tu karczma o dwie staje, — mówił ten sam żołnierz, który jeździł naprzód, — myślałem, że go tam znajdę, ale gdzie tam!... Słuchałem, czy konia nie usłyszę... Nic nie słychać. Djabli wiedzą, gdzie zajechał.

— Staniem tam i tak! — rzekł wachmistrz. — Trzeba szkapom wytchnąć.

Jakoż zatrzymali wóz przed karczemką. Żołnierze pozłazili z koni i jedni poszli kołatać do drzwi, drudzy odpasywali wiązki siana, wiszące za kulbakami, aby konie choć z rąk pokarmić.

Jeńcy na wozie rozbudzili się, gdy ruch wozu ustał.

— A gdzie to jedziemy? — pytał stary pan Stankiewicz.

— Po nocy nie mogę rozeznać, — odparł Wołodyjowski, — zwłaszcza, że nie na Upitę jedziemy.

— Wszakże to do Birż na Upitę z Kiejdan się jedzie? — spytał Jan Skrzetuski.

— Tak jest. Ale w Upicie stoi moja chorągiew, o którą książę widać obawiał się, by nie oponowała, więc kazał inną drogą jechać. Zaraz za Kiejdanami wykręciliśmy do Dalnowa i Kroków, stamtąd pojedziemy pewnie na Bejsagołę i Szawle. Trochę to z drogi, ale przez to Upita i Poniewież zostaną na prawo. Po drodze niema tam żadnych chorągwi, bo wszystkie, co były, ściągnięto ku Kiejdanom, aby je mieć pod ręką.

— A pan Zagłoba — rzekł Stanisław Skrzetuski — śpi smaczno i chrapie, zamiast o fortelach myśleć, jak to sobie obiecywał.

— Niech śpi... Zmorzyła go widać rozmowa z tym głupim komendantem, do którego krewieństwa się przyznawał. Widać chciał go sobie skaptować, ale to nanic. Kto dla ojczyzny Radziwiłła nie opuścił, ten go pewnie dla dalekiego krewnego nie opuści.

— Zali oni naprawdę są krewni? — zapytał Oskierka.

— Oni? Tacy oni krewni, jak ja z waćpanem, — odpowiedział Wołodyjowski, — gdyż co pan Zagłoba mówił o wspólności klejnotu to i to nieprawda, bo ja wiem dobrze, że jego klejnot woła się Wczele.

— A gdzie to pan Kowalski?

— Musi być przy ludziach, albo w karczmie.

— Chciałbym go prosić, by mi pozwolił na konia którego żołnierskiego siąść, — mówił Mirski, — bo mi kości zdrętwiały.

— Na to się pewnie nie zgodzi, — odparł Stankiewicz, — bo noc ciemna: łatwoby szkapie ostrogi dać i czmychnąć. Ktoby tam i dogonił!

— Dam mu kawalerski parol, że nie będę ucieczki tentował, zresztą już i świtać zapewne zacznie.

— Żołnierzu! a gdzie to komendant? — pytał Woło-

dyjowski stojącego w pobliżu dragona.

— A kto jego wie?

— Jakto: kto jego wie? Kiedy ci mówię, żebyś go zawołał, to go zawołaj.

— Kiedy my sami nie wiemy, panie pułkowniku, gdzie on jest — odrzekł dragon. — Jak zlazł z wozu i ruszył naprzód. tak do tej pory nie wrócił.

— Powiedzże mu, jak wróci, że chcemy z nim mówić.

— Wedle woli pana pułkownika! — odrzekł żołnierz.

Jeńcy umilkli.

Od czasu do czasu tylko głośne poziewanie rozlegało się na wozie; obok konie chrupotały siano. Żołnierze koło wozu, wsparci na kulbakach, drzemali. Inni gwarzyli zcicha lub posilali się, czem kto miał. bo pokazało się, że karczemka była opuszczona i że nikt w niej nie mieszkał.

Już też i noc poczęła blednąć. Na wschodniej stronie ciemne tło nieba poszarzało nieco, gwiazdy gasły zwolna i świeciły migotliwem, niepewnem światłem. A zatem i dach karczemki posiwiał, drzewa przy niej rosnące jęły się bramować srebrem. Konie i ludzie zdawali się wynurzać z cienia. Po chwili już i twarze można było rozeznać i żółtą barwę opończy. Hełmy poczęły odbijać blask poranny.

Pan Wołodyjowski roztworzył ręce i przeciągnął się, ziewając przytem od ucha do ucha, przyczem spojrzał na uśpionego pana Zagłobę; nagle rzucił się wtył i zakrzyknął:

— Niechże go kule biją! Na Boga! mości panowie! patrzcie!

— Co się stało? — pytali pułkownicy, otwierając oczy.

— Patrzcie! patrzcie! — wołał Wołodyjowski, ukazując palcem uśpioną postać.

Jeńcy zwrócili wzrok we wskazanym kierunku i zdumienie odbiło się na wszystkich twarzach: pod burką i w czapce pana Zagłoby spał snem sprawiedliwego pan Roch Kowalski, Zagłoby zaś nie było na wozie.

— Umknął, jak mi Bóg miły! — mówił zdumiony

Mirski, oglądając się na wszystkie strony, jakby oczom własnym jeszcze nie wierzył.

— To kuty frant! Niech go kaduk! — zakrzyknął Stankiewicz.

— Zdjął hełm i żółtą opończę z tego kpa i umknął na jego własnym koniu!

— Jako w wodę wpadł!

— A zapowiedział, że się fortelem wydostanie.

— Tyle go będą widzieli!

— Mości panowie! — mówił z uniesieniem Wołodyjowski — nie znacie jeszcze tego człeka, a ja już wam dziś przysięgnę, że on i nas jeszcze wydostanie. Nie wiem, jak, kiedy, jakim sposobem, ale przysięgnę!

— Dalibóg! oczom się wierzyć nie chce — mówił Stanisław Skrzetuski.

Wtem żołnierze spostrzegli, co się stało. Uczynił się między nimi gwar. Jedni przez drugich biegli do wozu i wybałuszali oczy na widok swego komendanta, przybranego w wielbłądzią burkę,w rysi kołpaczek i uśpionego głęboko.

Wachmistrz począł go szarpać bez ceremonji:

— Panie komendancie! panie komendancie!

— Ja jestem Kowalski... a to pani Kowalska — mruczał pan Roch.

— Panie komendancie, więzień uciekł!

Kowalski siadł na wozie i otworzył oczy.

— Czego?...

— Więzień uciekł, ten gruby szlachcic, który z panem komendantem rozmawiał!

Oficer oprzytomniał.

— Nie może być! — zakrzyknął przerażonym głosem. — Jakto?! Co się stało? Jakim sposobem uciekł?

— W hełmie i w opończy pana komendanta; żołnierze go nie poznali, noc była ciemna.

— Gdzie mój koń? — krzyknął Kowalski.

— Niema konia. Ów szlachcic właśnie na nim uciekł.

— Na moim koniu?

— Tak jest!

Kowalski wziął się za głowę.

— Jezusie Nazareński! Królu żydowski!...

Po chwili krzyknął:

— Dawajcie tego psiawiarę, tego takiego syna, który mu konia podał!

— Panie komendancie! żołnierz nic nie winien. Noc była ciemna, choć w pysk daj, a on zdjął waszej mości hełm i opończę. Przejeżdżał tuż koło mnie i jam nie poznał. Żeby wasza mość nie była siadała na wóz, nie mógłby on tego dokazać.

— Bijże mnie! bijże mnie! — wołał nieszczęśliwy oficer.

— Co czynić, wasza mość?

— Bij go! łapaj!

— To się na nic nie zdało. On na koniu waszej mości, a to najlepszy koń. Nasze zdrożone okrutnie, on zaś o pierwszych kurach umknął. Nie zgonim!

— Szukaj wiatru w polu! — rzekł Stankiewicz.

Kowalski zwrócił się ku więźniom z wściekłością:

— Waszmościowie pomogliście mu do ucieczki! Ja waściom!...

Tu złożył olbrzymie pięście i począł zbliżać się ku nim.

Wtem Mirski rzekł groźnie:

— Nie krzycz waść i bacz, że do starszych od siebie mówisz!

Pan Roch drgnął i mimowoli wyprostował się, bo rzeczywiście jego powaga, wobec takiego Mirskiego była żadna i wszyscy owi jeńcy przenosili go o głowę godnością i znaczeniem.

Stankiewicz dodał:

Gdzie aspanu kazali nas wieźć, to wieź, ale głosu nie podnoś, bo jutro możesz iść pod komendę każdego z nas.

Pan Roch wytrzeszczył oczy i milczał.

— Niema co, panie Rochu, podrwiłeś głową — rzekł Oskierka. — To, co mówisz, żeśmy mu pomogli, to głupstwo,

bo najprzód spaliśmy, jako i ty, a po wtóre, każdyby pierwiej sobie pomógł, niż innemu. Ale aspan podrwiłeś głową! Niczyjej tu winy niema, jeno twoja. Pierwszy kazałbym cię rozstrzelać za to, bo żeby oficer rozsypiał się jako borsuk, a więźniowi pozwolił uciec w swoim własnym hełmie i opończy, ba, na swoim własnym koniu, toż to niesłychana rzecz, która się od początku świata nie zdarzyła!

— Stary lis wyprowadził młodego w pole! — rzekł Mirski.

— Jezus, Marja, toć ja i szabli nie mam! — krzyknął Kowalski.

— Albo się jemu szabla nie przyda? — mówił uśmiechając się Stankiewicz. — Słusznie pan Oskierka mówi: podrwiłeś głową kawalerze. Pistoleciska też musiałeś mieć w olstrach?

— A były... — rzekł, jak nieprzytomny, Kowalski.

Nagle porwał się obu rękoma za głowę:

— I list księcia pana do komendanta birżańskiego! Co ja nieszczęsny teraz uczynię?!... Zginąłem na wieki!... Bogdaj mi kula w łeb!...

— To cię nie minie! — rzekł poważnie Mirski. — Jakże to nas będziesz teraz do Birż wiózł?... Co się stanie, jeśli ty powiesz, że nas jako więźniów przywozisz, a my, starsi godnością. powiemy, że to ty masz być do lochu wrzucon! Komu, myślisz, dadzą wiarę?... Zali mniemasz, że komendant szwedzki zatrzyma nas, dlatego tylko, że go pan Kowalski o to będzie prosił? Prędzej nam zawierzy i ciebie w podziemiu zamknie.

— Zginąłem! zginąłem! — jęczał Kowalski.

— Głupstwo! — rzekł Wołodyjowski.

— Co robić, panie komendancie? — pytał wachmistrz.

— Ruszaj do wszystkich djabłów! — krzyknął Kowalski. — Zali ja wiem, co robić?... gdzie jechać? Bodaj cię pioruny zabiły!

— Jedź, jedź do Birż!... obaczysz — rzekł Mirski.

— Zawracaj do Kiejdan!... — krzyknął Kowalski.

— Jeśli cię tam pod murem nie postawią i nie rozstrzelają, to niech mnie szczecina pokryje! — rzekł Oskierka. — Jakże to przed obliczem hetmańskiem staniesz? Tfu! Hańba cię czeka i kula w łeb, nic więcej!

— Bom nic więcej nie wart! — zakrzyknął nieszczęśliwy młodzian.

— Głupstwo, panie Rochu! My jedni możem cię ratować — mówił Oskierka. — Znasz, żeśmy z hetmanem gotowi byli iść na kraniec świata i zginąć. Więcej mieliśmy zasług, większą szarżę od ciebie. Wylewaliśmy nieraz krew za ojczyznę i zawsze chętnie ją wylejem; ale hetman zdradził ojczyznę, wydał ten kraj w ręce nieprzyjaciół, sprzymierzył się z nimi przeciw miłościwemu panu naszemu, któremuśmy wierność zaprzysięgli. Żali to myślisz, że żołnierzom, jak my, łatwo przyszło wypowiedzieć obedjencję zwierzchności, postąpić przeciw dyscyplinie, hetmanowi własnemu się oponować? Ale kto dziś z hetmanem, ten przeciw ojczyźnie! Kto dziś z hetmanem, ten przeciw majestatowi! Kto dziś z hetmanem, ten zdrajca króla i Rzeczypospolitej!... Dlatego to rzuciliśmy buławy pod nogi hetmańskie, bo cnota i obowiązek i wiara i honor tak nakazywały. I któż to uczynił, zali ja jeden? Nie! i pan Mirski i pan Stankiewicz, najlepsi żołnierze, najcnotliwsi ludzie!... Kto przy nim został?... warchoły!... A ty czemu nie idziesz śladem lepszych od ciebie i mądrzejszych i starszych? Chcesz hańbę ściągnąć na własne imię? zdrajcą być ogłoszony?... Wejdź w siebie, zapytaj sumienia, co ci czynić należy: czy przy Radziwille zdrajcy — zdrajcą zostać, czyli iść z nami, którzy ostatni dech chcemy za ojczyznę puścić, ostatnią kroplę krwi za nią wylać?... Bodajby ziemia nas pożarła, nimeśmy hetmanowi obedjencję wypowiedzieli... Ale bogdajby dusze nasze z piekła nie wyjrzały, jeżelibyśmy króla i ojczyznę dla prywaty Radziwiłła mieli zdradzić!...

Mowa ta wielkie na panu Rochu zdawała się czynić wrażenie. Oczy wytrzeszczył, usta otworzył i po chwili rzekł:

— Czego waszmościowie ode mnie chcecie?

— Byś z nami razem poszedł do wojewody witebskiego, który przy ojczyźnie będzie się oponował.

— Ba! kiedy ja mam rozkaz do Birż waszmościów odwieźć.

— Gadajże z nim! — rzekł Mirski.

— To też chcemy, byś nie usłuchał rozkazu!... byś hetmana opuścił i z nami poszedł, zrozumże! — rzekł zniecierpliwiony Osierka.

— Mówcie sobie wasze moście, co chcecie, a z tego nie będzie nic... Ja żołnierz! coby ja był wart, gdybym hetmana opuścił. Nie mój rozum, tylko jego; nie moja wola, tylko jego. Jak on zgrzeszy, to on będzie i za mnie i za siebie odpowiadał, a moja psia powinność jego słuchać!... Ja tam prosty człowiek, czego ręką nie zrobię, tego i głową... Ale to wiem, żem słuchać powinien i kwita.

— Róbże co chcesz! — zakrzyknął Mirski.

— Już to mój grzech, — mówił dalej pan Roch, — że ja do Kiejdan kazał zawracać, bo mnie kazali do Birż jechać... Jeno, żem zgłupiał przez tego szlachcica, który choć krewny, a taką rzecz mi uczynił, którejby i obcy nie uczynił... Żeby to nie krewny, ale krewny! Boga on w sercu nie miał, że i szkapinę mi zabrał i łaski książęcej mnie pozbawił i karę na szyję sprowadził... Taki to krewny! A waszmościowie do Birż pojedziecie, niech potem będzie co chce!

— Szkoda czasu, panie Oskierka — rzekł Wołodyjowski.

— A zawracać do Birż, kondle! — krzyknął na dragonów Kowalski.

I zawrócili znów do Birż. Pan Roch kazał jednemu z dragonów siąść na wóz, sam zaś usadowił się na jego koniu i jechał tuż przy więźniach, powtarzając jeszcze przez pewien czas:

— Krewny i żeby taką rzecz uczynić!

Więźniowie, słysząc to, chociaż niepewni swego losu

i zmartwieni ciężko, nie mogli przecie wstrzymać śmiechu, aż nakoniec pan Wołodyjowski rzekł:

— Pocieszże się waćpan, mości Kowalski, bo nie takich jak ty, na hak ów mąż prowadził... Samego Chmielnickiego on chytrością przewyższył i już co do fortelów, nikt nie może iść z nim w paragon.

Kowalski nie odrzekł nic, jeno odjechał trochę od wozu, bojąc się szyderstw. Wstydził się zresztą i więźniów i własnych żołnierzy i tak był strapiony, że aż żal było na niego patrzeć.

Tymczasem pułkownicy rozmawiali o panu Zagłobie i jego cudownej ucieczce.

— Zadziwiająca to jest rzecz w istocie, — mówił pan Wołodyjowski, — że niemasz w świecie takowych terminów, z którychby ten człowiek nie potrafił się salwować. Gdzie męstwem i siłą nie poradzi, tam się fortelem wykręci. Inni tracą fantazję, gdy im śmierć nad szyją zawiśnie, albo polecają się Bogu, czekając, co się stanie; a on zaraz poczyna głową pracować i zawsze coś wymyśli. Mężny on w potrzebie bywa, jako Achilles, ale woli Ulissesa iść śladem.

— Nie chciałbym ja jego pilnować, choćby go łańcuchami spętano, — rzekł Stankiewicz, — bo to nic, że ucieknie, ale jeszcze na śmiech i na konfuzję człeka narazi.

— A jakże! — rzekł pan Michał. — Będzie on teraz Kowalskiego do końca życia wyśmiewał, a niech Bóg broni dostać się na jego język, bo ostrzejszego w całej Rzeczypospolitej niema... A gdy jeszcze zacznie, jako ma zwyczaj, koloryzować rzecz swoją, tedy od śmiechu ludzie pękają...

— Ale w potrzebie, mówisz waćpan, że i szablą potrafi się zastawić? — pytał Stankiewicz.

— Jakże! Toż on na oczach całego wojska usiekł pod Zbarażem Burłaja.

— Nie! dalibóg! — zakrzyknął Stankiewicz — takiego jeszcze nie widziałem!

— Wielką on już nam przysługę oddał swoją ucieczką, — mówił Oskierka, — bo listy hetmańskie zabrał,

a kto wie, co tam w nich było przeciw nam napisano... Nie wierzę ja w to, iżby komendant szwedzki w Birżach miał dać ucho nam, nie Kowalskiemu. Tego nie będzie, gdyż my przyjedziem jako więźniowie, a on jako dowodzący konwojem... Ale że tam nie będą wiedzieli, co z nami czynić, to rzecz pewna. W każdym razie głów nam nie poucinają, a to grunt.

— Ja też tak tylko mówiłem, — odpowiedział Mirski, — aby Kowalskiego doreszty skonfundować... Ale co waszmość mówisz, że nam głów nie poucinają, to dalibóg, niewielka pociecha. Wszystko się tak składa, że lepiej nie żyć, bo to już pewno, że teraz jeszcze jedna wojna i to domowa wybuchnie, a to już będzie ostatnia zguba. Poco ja stary mam na te rzeczy patrzyć?

— Albo ja, który inne czasy pamiętam! — rzekł Stankiewicz.

— Tegoście waszmościowie nie powinni mówić, bo miłosierdzie boskie większe od ludzkiej złości, a Jego ręka wszechmocna może nas z toni wyrwać właśnie wtedy, kiedy się najmniej będziem spodziewali.

— Święte słowa waćpana — rzekł Jan Skrzetuski. — I nam, ludziom z pod chorągwi księcia nieboszczyka Jeremiego. ciężko żyć teraz, bośmy do zwycięstw przywykli, a przecie chce się jeszcze ojczyźnie posłużyć, byle Pan Bóg dał wreszcie wodza nie zdrajcę, ale takiego, któremuby człowiek mógł całem sercem i całą duszą zaufać.

— Oj, prawda, prawda! — rzekł pan Wołodyjowski. — Człekby się bił dzień i noc.

— A to ja waściom powiem, iż to największa desperacja. — rzekł Mirski, — bo przez to każdy jakoby w ciemności brodzi i sam siebie pyta, co czynić... i niepewność go dusi, jako zmora. Nie wiem, jak tam waszmościów, ale mnie i duszny niepokój targa... I gdy pomyślę, że to ja buławę hetmanowi pod nogi rzuciłem, żem do oporu i buntu był przyczyną, to mi resztki siwizny na łbie ze strachu stają. Tak jest!... Ale co czynić wobec jawnej zdrady? Szczęśliwi,

którzy podobnych pytań nie potrzebowali sobie zadawać i responsu w duszy szukać!

— Wodza, wodza, daj nam Panie miłosierny! — mówił Stankiewicz, wznosząc oczy ku niebu.

— Mówią, że wojewoda witebski okrutnie zacny pan? — pytał Stanisław Skrzetuski.

— Tak jest! — odparł Mirski. — Ale on buławy ni wielkiej, ni polnej nie ma i zanim go król jegomość godnością hetmańską nie przyozdobi, może tylko na własną rękę poczynać. Nie pójdzie on do Szwedów, ani gdzie indziej, to pewna!

— Pan Gosiewski, hetman polny, w niewoli u Radziwiłła.

— Bo on też zacny człowiek — odrzekł Oskierka. — Jak mnie wieść o tem doszła, ażem zmartwiał i zaraz przeczuwałem coś złego.

Pan Michał zamyślił się i po chwili rzekł:

— Byłem raz w Warszawie i poszedłem na królewskie pokoje, a pan nasz miłościwy, jako się w żołnierzach kocha i że to chwalił mnie po potrzebie beresteckiej, tak tedy poznał mnie odrazu i kazał przyjść na obiad. Na onym obiedzie widziałem także pana Czarnieckiego, bo właściwie dla niego była uczta. Podochocił tedy sobie król jegomość i począł pana Czarnieckiego za głowę ściskać, a wkońcu rzekł: „Choćby takie czasy przyszły, żeby mnie wszyscy opuścili, ty mi wiary dochowasz!“ Na własne uszy to słyszałem, jakoby proroczym duchem wymówione. Pan Czarniecki od afektu prawie mówić nie mógł, jeno powtarzał: „Do ostatniego tchu! do ostatniego tchu!“ A wonczas król jegomość zapłakał...

— Kto wie, czy nie prorocze to były słowa, bo czasy klęski już nadeszły! — rzekł Mirski.

— Pan Czarniecki wielki żołnierz! — odparł Stankiewicz. — Niemasz już takiej gęby w Rzeczypospolitej, któraby jego imienia nie powtarzała.

— Powiadają, — mówił Skrzetuski, — że Tatarowie,

którzy pana Rewerę Potockiego przeciw Chmielnickiemu posiłkują, tak się w panu Czarnieckim kochają, iż nie chcą iść tam, gdzie jego niema.

— Szczera to prawda — rzekł Oskierka. — Słyszałem, jak to w Kiejdanach przy księciu hetmanie powiadano; wszyscyśmy wówczas pana Czarnieckiego okrutnie sławili, a księciu było to nie w smak, bo się zmarszczył i rzekł: „Jest oboźnym koronnym, ale tak samo mógłby być u mnie w Tykocinie podstarościm".

— Invidia widać go już kąsała.

— Wiadoma to rzecz, że występek znieść światła cnoty nie może.

Tak to rozmawiali uwięzieni pułkownicy; poczem znów rozmowa zwróciła się na pana Zagłobę. Pan Michał Wołodyjowski zaręczał, że mogą się od niego pomocy spodziewać, bo to nie taki człowiek, żeby miał przyjaciół w nieszczęściu opuszczać.

— Pewien jestem, — rzekł, — że on do Upity uciekł, gdzie moich ludzi znajdzie, jeśli ich jeszcze nie rozbito lub do Kiejdan przemocą nie ściągnięto. Z nimi na ratunek sam wyruszy, chybaby nie chcieli iść, czego się po nich nie spodziewam, bo w chorągwi laudańskich ludzi najwięcej, a ci mnie miłują.

— Ale to i radziwiłłowscy dawni klienci? — zauważył Mirski.

— Prawda, wszelako jak się o wydaniu Litwy Szwedom dowiedzą, o uwięzieniu pana hetmana polnego, pana kawalera Judyckiego, waszmościów i mnie, okrutnie to ich serca od Radziwiłła odwróci. To uczciwa szlachta, a już tam pan Zagłoba niczego nie zaniedba, aby sadzami hetmana odmalować i lepiej to potrafi, niż każdy z nas.

— Ba! — rzekł Stanisław Skrzetuski — a my tymczasem w Birżach staniemy.

— To nie może być, bo my kołujem, by Upitę ominąć, a z Upity prosta droga, jakoby kto sierpem cisnął. Choćby ruszyli dniem później, dwoma nawet, to jeszczeby mogli

być w Birżach przed nami i drogę nam zastąpić. Toż my do Szawlów teraz dopiero jedziem i stamtąd będziem do Birż prostować, a trzeba waćpanu wiedzieć, iż z Upity do Birż bliżej, niż z Szawlów.

— Jako żywo, że bliżej droga lepsza, bo gościniec! — rzekł Mirski.

— Ot, macie. A my jeszcze nie w Szawlach.

Jakoż dopiero pod wieczór ujrzeli górę, zwaną Sałtuwes-Kałnas, pod którą wznoszą się Szawle. Po drodze zauważyli, że już niepokój panował we wszystkich wsiach i miasteczkach, które przyszło im przejeżdżać. Widocznie wieść o przejściu hetmana do Szwedów rozbiegła się już po całej Żmudzi. Gdzie niegdzie wypytywano żołnierzy, czy prawda, że kraj ma być przez Szwedów zajęty; gdzie niegdzie widziano masy chłopstwa, opuszczającego wsie z żonami, dziećmi i dobytkiem i dążącego w głębie lasów, któremi cały kraj obficie był pokryty. Miejscami postawa chłopstwa była groźna, widocznie bowiem brano dragonów za Szwedów. Po zaściankach szlacheckich wypytywano ich wprost. kto są i gdzie jadą, a gdy Kowalski zamiast odpowiadać, kazał ustępować z drogi, przychodziło do hałasów i odgróżek, tak dalece, że zaledwie nastawione do strzału muszkiety mogły otworzyć przejście.

Wielka droga, idąca z Kowna na Szawle do Mitawy, pokryta była wozami i kolaskami, w których jechały żony i dzieci szlacheckie, pragnące schronić się przed wojną w posiadłościach kurlandzkich. W samych Szawlach, które stanowiły ekonomję królewską, nie było żadnych chorągwi hetmańskich prywatnych, ani komputowych; tu natomiast uwięzieni pułkownicy ujrzeli po raz pierwszy oddział szwedzki, złożony z dwudziestu pięciu rajtarów. który jako podjazd z Birż wyjechał. Tłumy Żydów i mieszczaństwa gapiły się w rynku na nieznanych ludzi, a i pułkownicy poglądali na nich z ciekawością, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który nigdy dotąd Szwedów nie widział; obejmował

więc ich chciwie łakomemi oczyma, jakiemi wilk patrzy na stado owiec i wąsikami przytem ruszał.

Pan Kowalski porozumiał się z oficerem, oznajmił się kto jest, dokąd jedzie, kogo prowadzi i zażądał, by oficer przyłączył swoich ludzi do jego dragonów dla większego bezpieczeństwa w podróży. Ale oficer odpowiedział, że ma rozkaz jak najdalej w głąb kraju dotrzeć, aby się o jego stanie przekonać, że przeto nie może do Birż wracać: natomiast upewnił, iż droga wszędy bezpieczna, bo małe oddziały wysłane z Birż przebiegają kraj we wszystkich kierunkach, niektóre zaś aż do Kiejdan są ekspedjowane. Wypocząwszy tedy dobrze aż do północy i konie, wielce zdrożone, popasłszy, ruszył pan Roch wraz z swymi więźniami w dalszą drogę, skręcając z Szawel na wschód przez Johawiszkiele i Poswót ku Birżom, aby dostać się na prosty gościniec, idący z Upity i Poniewieża.

— Jeśli pan Zagłoba przyjdzie nam na ratunek, — rzekł o świtaniu Wołodyjowski, — to na tym gościńcu najłacniej mu będzie drogę zastąpić, bo z Upity już mógł nadążyć.

— Może on tam gdzie czyha! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Miałem nadzieję, pókim Szwedów nie zobaczył, — odpowiedział Stankiewicz, — ale teraz już mi się wydaje, że niemasz dla nas rady...

— Głowa Zagłoby w tem, żeby ich ominąć albo okpić, a on to potrafi.

— Jeno, że kraju nie zna.

— Ale ludzie laudańscy znają, bo pieńkę i wańczos i smołę aż do Rygi wożą, a w mojej chorągwi takich nie brak.

— Muszą już Szwedzi koło Birż wszystkie miasteczka zajmować.

— Piękni żołnierze, ci którycheśmy w Szawlach widzieli, trzeba przyznać: — mówił mały rycerz — chłop w chłopa naschwał!... Uważaliście przytem, jakie konie mają spasłe?

— To inflanckie konie, nader silne — rzekł Mirski. — I nasze towarzystwo husarskie i pancerne w Inflanciech szuka koni, bo to u nas szkapiny drobne.

— Gadaj mi waść o szwedzkiej piechocie! — wtrącił Stankiewicz. — Jazda, choć wspaniałą czyni postać, mniej cnotliwa. Bywało, że jak nasza chorągiew, a zwłaszcza z poważnego znaku, runie na tych rajtarów, to i dwóch pacierzy nie wytrzymają.

— Waszmościowie jużeście ich kosztowali za dawnych czasów, — odrzekł mały rycerz, — a ja jeno muszę ślinę łykać. To mówię waćpaństwu, gdym ich teraz w Szawlach ujrzał i te ich żółte brody, jako kądziele, aż mi mrówki zaczęły po palcach chodzić. Ej, radażby dusza do raju, a tu siedź na wozie i zdychaj!...

Pułkownicy umilkli, ale widocznie nie sam tylko pan Wołodyjowski płonął tak przyjaznemi dla Szwedów uczuciami, bo wkrótce uszu więźniów doszła następująca rozmowa dragonów, otaczających wóz:

— Widzieliście tych psiawiarów pogańskich: — mówił jeden żołnierz — mieliśmy się z nimi bić, a teraz będziem im konie czyścili...

— Żeby to najjaśniejsze pioruny zatrzasły! — mruknął drugi dragon,

— Cicho bądź, będzie cię Szwed miotłą po łbie w stajni moresu uczył!

— Albo ja jego.

— Głupiś! Nie tacy jak ty chcieli się na nich porwać i nasz, co się stało!

— Największych rycerzy im odwozimy, jakoby psu w gardło. Będą się nad nimi, żydowskie ich macie, znęcać.

— Bez Żyda się z takim szołdrą nie rozmówisz. Toż i komendant zaraz w Szawlach po Żyda musiał posłać!

— Żeby ich mór pobił!

Tu pierwszy żołnierz zniżył nieco głos i pytał:

— Mówią, że wszyscy co lepsi żołnierze nie chcą z nimi przeciw panu własnemu służyć?

— A jakże! Alboś to nie widział Węgrzynów, albo to pan hetman nie pociągnął z wojskiem na opornych. Niewiadomo jeszcze co się stanie. Toż i naszych dragonów kupa się za Węgrzynami ujęła, których ponoć wszystkich rozstrzelają.

— Ot im nagroda za wierną służbę!

— Do djabła taka robota!

— Żydowska służba!...

— Stój! — rozległ się nagle głos jadącego w przedzie pana Rocha.

— Bodaj ci kula w pysku stanęła! — mruknął głos przy wozie.

— Co tam? — pytali żołnierze jedni drugich.

— Stój! — zabrzmiała powtórnie komenda.

Wóz stanął. Żołnierze wstrzymali konie. Dzień był pogodny, jasny. Słońce już weszło — i przy jego blaskach widać było na gościńcu, w przedzie, wznoszące się kłęby kurzawy, jakoby stada, albo wojsko szło naprzeciw.

Wkrótce w kurzawie poczęło błyskać, rzekłbyś, że kto iskry wśród kłębów rozsypuje — i światełka migotały coraz wyraźniej, niby świece jarzące, dymem otoczone.

— To groty połyskują! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Wojsko idzie.

— Pewnie szwedzki jaki oddział.

— U nich tylko piechota ma włócznie, a tam kurzawa szybko się porusza. To jazda, to nasi!

— Nasi, nasi! — powtórzyli dragoni.

— Formuj się! — zabrzmiał głos pana Rocha.

Dragoni otoczyli kołem wóz. Pan Wołodyjowski miał płomień w oczach.

— To moi laudańscy ludzie z Zagłobą! Nie może inaczej być!

Już tylko staje drogi dzieliło zbliżających się od wozu i odległość zmniejszała się z każdą chwilą, bo przeciwny oddział nadchodził rysią. Nakoniec z kurzawy wysunął się potężny oddział wojska idącego w dobrym szyku, jakoby

do ataku. Po chwili byli jeszcze bliżej. W pierwszym szeregu, nieco od prawej strony, uwijał się pod buńczukiem jakiś potężny mąż z buławą w ręku. Ledwie go pan Wołodyjowski wziął na oko, wnet zakrzyknął:

— To pan Zagłoba! Jak Boga kocham, pan Zagłoba! Uśmiech rozjaśnił twarz Jana Skrzetuskiego.

— On! nie kto inny! — rzekł — i pod buńczukiem! Już się na hetmana kreował. Poznałbym go po tej fantazji wszędzie... Ten człowiek takim umrze, jakim się urodził.

— Niechże mu Pan Bóg da zdrowie! — rzekł Oskierka.

Poczem złożył ręce koło ust i począł wołać:

— Mości Kowalski! To krewniak przyjeżdża do cię w odwiedziny!

Ale Pan Roch nie słyszał, bo właśnie oganiał swoich dragonów. I trzeba mu było oddać tę sprawiedliwość, że lubo garść miał ludzi, a tam cała chorągiew na niego waliła, przecie się nie zmieszał, ani serca nie stracił. Wysunął dragonów we dwa szeregi przed wóz, a tamci rozciągnęli się tymczasem i poczęli go zajeżdżać tatarską modą, półksiężycem, z obu stron pola. Lecz widocznie chcieli najprzód paktować, bo poczęli machać chorągwią i krzyczeć:

— Stój! stój!

— Naprzód! stępa! — zakrzyknął pan Roch.

— Poddaj się! — wołano z drogi.

— Ognia! — zakomenderował w odpowiedzi Kowalski.

Zapadło głuche milczenie: ani jeden dragon nie wystrzelił.

Pan Roch oniemiał również na chwilę; następnie rzucił się jakby wściekły na własnych dragonów.

— Ognia, psiawiary! — ryknął straszliwym głosem i jednym zamachem pięści zwalił z konia najbliższego żołnierza.

Inni poczęli się cofać przed wściekłością męża, ale żaden nie usłuchał komendy. Nagle rozsypali się, jak spłoszone stado kuropatw, w mgnieniu oka.

— Tych żołnierzy kazałbym jednak rozstrzelać! — mruknął Mirski.

Tymczasem Kowalski. widząc, że właśni ludzie opuścili go, zwrócił konia ku atakującym szeregom.

— Tam mi śmierć! — zakrzyknął okropnym głosem.

I skoczył ku nim. jak piorun.

Ale nim przebiegł połowę drogi, w szeregach Zagłoby huknął wystrzał z garłacza; siekańce zaszumiały po gościńcu, koń pana Rocha zarył nozdrzami w kurzawę i padł, przywalając jeźdźca.

W tej samej chwili jakiś żołnierz z chorągwi Wołodyjowskiego wysunął się błyskawicą naprzód i ucapił za kark podnoszącego się z ziemi oficera.

— To Józwa Butrym! — zawołał Wołodyjowski. — Józwa Beznogi!

Pan Roch chwycił zkolei Józwę za połę i poła została mu w ręku; poczem jęli się wodzić, jak dwa szczepione jastrzębie, bo obydwaj olbrzymią obdarzeni byli siłą. Strzemię Butrymowi pękło, a sam zleciał na ziemię i przewrócił się. ale pana Rocha nie puścił i obaj utworzyli jakoby jedną kulę, która przewracała się na gościńcu.

Nadbiegli inni. Ze dwadzieścia rąk chwyciło pana Kowalskiego, który targał się i szarpał, jak niedźwiedź w matni; rzucał ludźmi, jak odyniec psami, podnosił się znów i nie dawał za wygraną. Chciał zginąć, a tymczasem naokół słyszał dziesiątki głosów, powtarzających słowa: — Żywcem! żywcem!

Wreszcie siły go opuściły — i omdlał.

A tymczasem pan Zagłoba już był przy wozie, a raczej na wozie i chwytał w objęcia Skrzetuskich, małego rycerza, pana Mirskiego, pana Stankiewicza i Oskierkę, przyczem wołał zdyszanym głosem:

— Ha! przydał się na coś Zagłoba. Damy teraz Radziwiłłowi dzięgielu! Mości panowie, wolni jesteśmy i ludzi mamy! Zaraz ruszymy dobra mu pustoszyć! A co! udał się fortel?... Nie tym. to innym sposobem byłbym się

wydostał i waćpanów także!... Całkiem mnie zatkało, że tchu nie mogę złapać! Na radziwiłłowskie dobra, mości panowie, na radziwiłłowskie dobra! Jeszcze wszystkiego o nim nie wiecie, co ja wiem!...

Dalsze wybuchy zostały przerwane przez ludzi laudańskich, którzy biegli jeden przez drugiego witać swego pułkownika. Butrymi, Gościewicze Dymni, Domaszewicze, Stakjanowie, Gasztowtowie cisnęli się naokoło wozu, a potężne gardziele ryczały nieustannie:

— Vivat! vivat!

— Mości panowie! — rzekł mały rycerz, gdy uciszyło się nieco — towarzysze najmilsi! dziękuję wam za afekt!... Straszna to rzecz, że musimy hetmanowi posłuszeństwo wypowiadać i rękę nań podnosić, ale gdy zdrada jawna, nie może być inaczej. Nie odstąpim ojczyzny i pana naszego miłościwego... Vivat Joannes Casimirus rex!...

— Vivat Joannes Casimirus rex! — powtórzyło trzysta głosów.

— Dobra radziwiłłowskie zajechać! — krzyczał Zagłoba. — Śpiżarnie i piwnice mu wypłókać!

— Koni nam! — zawołał mały rycerz.

Skoczono po konie.

Tymczasem Zagłoba rzekł:

— Panie Michale! Hetmaniłem tym ludziom w zastępstwie twojem i przyznaję im chętnie, że mężnie sobie poczynali... Ale gdyś teraz wolny, zdaję władzę w twoje ręce.

— Niechże wasza miłość komendę bierze, jako godnością najstarszy — rzekł pan Michał, zwracając się do Mirskiego.

— Ani myślę! a mnie co po tem! — odrzekł stary pułkownik.

— To jegomość pan Stankiewicz?

— Ja mam swoją chorągiew i cudzej nie będę brał! Ostań waszmość przy komendzie; ceremonja sieczka, saty-

sfakcja owies! Znasz ty ludzi, ludzie ciebie, i najlepiej przy tobie będą stawali.

— Uczyń tak Michale, uczyń, boć to i niełakoma rzecz! — mówił Jan Skrzetuski.

— Niechże i tak będzie.

To rzekłszy pan Michał, wziął buławę z rąk Zagłoby, uszykował w mig chorągiew do pochodu i ruszył wraz z towarzyszami na jej czele.

— A gdzie pójdziemy? — pytał Zagłoba.

— Żeby tak waściom prawdę powiedzieć, to sam nie wiem, bom jeszcze o tem nie pomyślał — odparł pan Michał.

— Warto się nad tem naradzić, co nam uczynić przystoi — rzekł Mirski — i musimy bezzwłocznie do rady przystąpić. Jeno pierwiej niech mi wolno będzie złożyć jegomości panu Zagłobie w imieniu wszystkich podziękę, że nas nie zapomniał i in rebus angustis tak skutecznie ratował.

— A co? — rzekł z dumą Zagłoba, podnosząc głowę i zakręcając wąsa. — Beze mnie bylibyście w Birżach!... Justycja nakazuje przyznać, że kto czego nie wymyśli, to Zagłoba wymyśli... Panie Michale, nie w takich to bywaliśmy opałach! Pamiętasz, jakom cię ratował, gdyśmy to z Halszką przed Tatarami uciekali, co?

Pan Michał mógłby był odpowiedzieć, że wówczas nie pan Zagłoba jego, ale on pana Zagłobę ratował; wszelako milczał i począł tylko wąsikami ruszać. Stary zaś szlachcic mówił dalej:

— Nie potrzeba dziękować, bo co wam dziś, to mnie jutro, i pewnie nie opuścicie mnie też w potrzebie. Tak jestem rad, że was wolnych widzę, jakobym najwalniejszą wiktorję odniósł. Pokazuje się, że nie zestarzała się jeszcze zbyt ani głowa, ani ręka.

— Toś tedy waćpan zaraz do Upity trafił? — pytał pan Michał.

— A gdzie miałem trafiać? do Kiejdan? wilkowi w gardło leźć? Jušci, że do Upity i możecie mi wierzyć, żem szkapy nie żałował, a dobra była bestja! Wczoraj rano

już byłem w Upicie, a w południe ruszyliśmy ku Birżom, w tę stronę, w której spodziewałem się ichmościów spotkać.

— A że to ludzie moi tak odrazu waćpanu uwierzyli? — mówił pan Michał. — Bo cię nie znali, z wyjątkiem dwóch czy trzech, którzy cię u mnie widzieli?

— Coprawda, nie miałem z tem najmniejszej trudności, bo najprzód miałem twój pierścień. panie Michale, a po wtóre ludzie właśnie tylko co się byli dowiedzieli o waszem aresztowaniu i o zdradzie hetmana. Zastałem deputacje do nich od chorągwi pana Mirskiego i pana Stankiewicza. żeby się do kupy przeciw hetmanowi, zdrajcy, zbierali. Jakem im tedy oznajmił. że was do Birż wiozą. jakoby kto w mrowisko kij wsadził. Konie były na potrawach, posłali zaraz pachołków, by je sprowadzili, i w południe ruszyliśmy już w drogę. Oczywiście objąłem komendę, bo mi się to należało.

— A skądżeś ojciec buńczuka wziął? — pytał Jan Skrzetuski. — Myśleliśmy zdaleka, że hetman.

— Co? Pewnie, żem nie gorzej wyglądał? Skądem buńczuka wziął? Oto razem z deputacjami od opornych chorągwi przyjechał i od hetmana pan Szczyt z rozkazem do laudańskich, by do Kiejdan szli, i z buńczukiem dla większej powagi rozkazu. Kazałem go zaraz aresztować, a buńczuk nad sobą nosić, żeby Szwedów na ten przypadek omylić.

— Dalibóg, jak wszystko mądrze obmyślił! — zawołał Oskierka.

— Jako Salomon! — dodał Stankiewicz.

— Pan Zagłoba rósł jak na drożdżach.

— Radźmy teraz, co nam czynić przystoi? — rzekł wreszcie. — Jeżeli waćpaństwo zechcecie mnie posłuchać cierpliwie, to powiem, com sobie przez drogę obmyślił. Z Radziwiłłem tedy nie radzę wojny rozpoczynać, a to dla dwojakich powodów, najprzód, że nie przymierzając, on jest szczupak, a my okonie. Lepiej dla okoniów nigdy się głową do szczuki nie zwracać, bo snadnie połknąć może. jeno ogonem, bo wtedy ostre skrzela bronią. Niech go tam

djabel na rożen wdzieje jak najprędzej i smołą polewa, aby się zbyt nie przypalił.

— Po wtóre? — pytał Mirski.

— Po wtóre. — odrzekł Zagłoba, — że gdybyśmy przez jakowy casus dostali się w jego ręce, toby nam takiego łupnia zadał, że wszystkie sroki na Litwie miałyby o czem skrzeczeć... Patrzcie waszmościowie, co stało w tym liście, który Kowalski wiózł do komendanta szwedzkiego do Birż i poznajcie pana wojewodę wileńskiego, jeśliście go dotąd nie znali!

To rzekłszy, odpiął żupan, i wydobywszy z zanadrza pismo. podał je Mirskiemu.

— Ba! po niemiecku, czy po szwedzku? — odrzekł stary pułkownik. — Który z waściów to pismo przeczyta?

Pokazało się, że jeden pan Stanisław Skrzetuski trochę po niemiecku umiał, gdyż często z domu do Torunia jeździł, ale pisanego i on nie mógł przeczytać.

— To ja waściom tenor opowiem — rzekł Zagłoba. — Gdy w Upicie żołnierze posłali po konie na łąki, było trochę czasu, kazałem sobie tedy sprowadzić za pejsy Żyda, którego tam wszyscy okrutnie mądrym powiadają i ten, mając szablę na karku. wyczytał wszystko expedite, co tam stoi. i mnie wyłuszczył. Owóż pan hetman poleca komendantowi birżańskiemu i dla dobra jegomości króla szwedzkiego nakazuje aby odprawiwszy wprzód konwój, kazał potem nas wszystkich, nie wyłączając nikogo, rozstrzelać, jeno tak. aby się wieść nie rozeszła.

Pułkownicy aż rękoma poczęli klaskać, z wyjątkiem jednego Mirskiego, który pokiwawszy głową, rzekł:

— Mnie też. co go znam. dziwno to było i w głowie nie chciało się pomieścić, że on nas żywych z Kiejdan wypuszcza. Musiały być chyba jakieś powody, których nie znamy. a dla których sam nie mógł nas na śmierć skazać.

— Pewnie chodziło mu o opinję ludzką?

— Może.

— Jednakże dziw. jak to jest zawzięty pan! — rzekł

mały rycerz. — Bo przecie, nie wymawiając, ja mu życie tak jeszcze niedawno, na współkę z Ganchofem, ratowałem.

— A ja pod jego ojcem, a potem pod nim trzydzieści pięć lat już służę! — rzekł Stankiewicz.

— Straszny człek! — dodał Stanisław Skrzetuski.

— Owóż takiemu lepiej w paszczękę nie leźć — rzekł Zagłoba. — Niech go djabli wezmą! Unikajmy z nim bitwy, a natomiast majętności, które po drodze się trafią, accurate mu wypłóczmy. Idźmy do wojewody witebskiego, żeby to mieć jakąś ochronę, jakowegoś pana za sobą, a po drodze bierzmy, co się da ze śpiżarniów, ze stajen, obór, śpichrzów, piwnic. Aż mi się dusza do tego śmieje i już to pewna, że nikomu nie dam się w tem wyprzedzić. Co z pieniędzy po ekonomjach będziemy mogli wziąć, to bierzmy także. Im huczniej i okryciej przyjdziem do wojewody witebskiego, tem wdzięczniej nas przyjmie.

— On i tak nas wdzięcznie przyjmie — odrzekł Oskierka. — Ale dobra rada, żeby do niego iść i lepszej teraz nikt nie wymyśli.

— Wszyscy głosy za tem dadzą — dodał Stankiewicz.

— Jako żywo! — rzekł pan Michał. — Tak tedy do wojewody witebskiego! Niechże on będzie owym wodzem, o któregośmy Boga prosili.

— Amen! — rzekli inni.

I jechali czas jakiś w milczeniu, aż wreszcie pan Michał jął się kręcić na kulbace.

— A żeby tak gdzie Szwedów po drodze skubnąć? — spytał wreszcie, zwracając oczy na towarzyszów.

— Moja rada jest, że jeśli się zdarzy, to dla czego nie?— odparł Stankiewicz. — Pewnie tam Radziwiłł upewniał Szwedów, że całą Litwę ma w ręku i że wszyscy chętnie opuszczą Jana Kazimierza, niechże się pokaże, że to nieprawda.

— I słusznie! — rzekł Mirski. — Jeżeli jaki oddział wlezie nam w drogę, to mu po brzuchach przejechać. Zgadzam się również, aby się na samego księcia nie po-

rywać, bo mu nie zdzierżymy. Wojownik to wielki! Ale, unikając bitwy, wartoby z parę dni koło Kiejdan się pokręcić.

— Aby mu majętności spustoszyć? — spytał Zagłoba.

— Nie to! Jeno, aby ludzi więcej zebrać. Moja chorągiew i pana Stankiewicza ku nam się przymkną. Jeżeli zaś już rozbite, co być może, to także ludzie będą pojedyńczo do nas się kupili. Nie bez tego, żeby coś i szlachty nie napłynęło. Przyprowadzimy panu Sapieże większą siłę, z którą snadniej będzie mógł coś począć.

Rzeczywiście, wyrachowanie to było dobre, a jako pierwszy przykład mogli posłużyć dragoni pana Rocha, którzy wszyscy, z wyjątkiem jego samego, przeszli bez wahania do pana Michała. Takich mogło się znaleźć w szeregach radziwiłłowskich więcej. Można było przytem przypuszczać, że pierwsze uderzenie na Szwedów wywoła ogólne powstanie w kraju.

Postanowił więc pan Wołodyjowski ruszyć na noc w stronę Poniewieża, zagarnąć jeszcze, co można, szlachty laudańskiej w okolicach Upity i stamtąd zanurzyć się w puszczę Rogowską, do której, jak się spodziewał, resztki rozbitych opornych chorągwi będą się chroniły. Tymczasem stanął na wypoczynek wedle rzeki Ławeczy, aby ludzi i konie pokrzepić.

Tam stali do nocy, poglądając z gąszczy leszczynowych na wielką drogę, po której ciągnęły coraz to nowe gromady chłopstwa, uciekającego w lasy przed spodziewanem najściem szwedzkiem.

Żołnierze wysyłani na drogę, sprowadzali od czasu do czasu pojedyńczych chłopów, aby zasięgnąć języka o Szwedach, ale niewiele można się było od nich wywiedzieć.

Chłopstwo było przerażone i każdy pojedyńczo powtarzał, że Szwedzi tuż, tuż, ale dokładnych objaśnień nikt nie umiał udzielić.

Gdy ściemniło się zupełnie, pan Wołodyjowski kazał ludziom siadać na koń, lecz zanim ruszyli, do uszu

wszystkich doszedł dosyć wyraźnie odgłos dzwonów.

— Co to jest? — pytał Zagłoba — przecie na Anioł Pański za późno?

Pan Wołodyjowski słuchał przez chwilę pilno.

— To na trwogę! — rzekł.

Poczem puścił się wzdłuż szeregu.

— A nie wie tam który, — pytał, — co to za wieś, czyli miasteczko w tamtej stronie?

— Klawany, panie pułkowniku! — odpowiedział jeden z Gościewiczów, — my tamtędy z potażem jeździm.

— Słyszycie dzwony?

— Słyszym! To niezwyczajna rzecz!

Pan Michał skinął na trębacza i wnet cichy głos trąbki zabrzmiał wśród ciemnych gęstwin. Chorągiew posunęła się naprzód.

Oczy wszystkich utkwione były w kierunku, skąd coraz gwałtowniejsze dochodziło dzwonienie; jakoż nie napróżno patrzono, bo wkrótce błysło na horyzoncie czerwone światło i powiększało się z każdą chwilą.

— Łuna! — szeptano w szeregach.

Pan Michał pochylił się ku Skrzetuskiemu.

— Szwedzi! — rzekł.

— Skosztujem! — odparł pan Jan.

— Dziwno mi to jeno, że palą.

— Musiał szlachcic opór dać, albo chłopstwo się ruszyło, jeśli na kościół nastąpili.

— A no, zobaczym! — rzekł pan Michał.

I sapnął z zadowoleniem.

Wtem pan Zagłoba przyczłapał ku niemu.

— Panie Michale?

— A co?

— Już widzę, że ci szwedzkie mięso zapachniało. Pewnie bitwa będzie, co?

— Jak Bóg zdarzy! jak Bóg zdarzy!

— A kto będzie jeńca pilnował?

— Jakiego jeńca?

— Jużci nie mnie, jeno Kowalskiego. Widzisz, panie Michale, to jest okrutnie ważna rzecz, żeby on nie uciekł. Pamiętaj, że hetman nie wie o niczem, co się stało i od nikogo się nie dowie, jeżeli Kowalski mu nie doniesie. Trzeba jakowym pewnym ludziom kazać go pilnować, bo w czasie bitwy łatwo dać drapaka, zwłaszcza, że i fortelów może się chwycić.

— Tyle on zdatny do fortelów, ile ten wóz, na którym siedzi. Ale masz waszmość słuszność, że trzeba kogoś koło niego zostawić. Chcesz waść mieć go przez ten czas na oku?

— Hm! bitwy mi żal!... Prawda, że to w nocy przy ogniu prawie nic nie widzę. Żebyśmy się mieli po dniu bić, nigdybyś mnie na to nie namówił... Ale skoro publicum bonum tego wymaga, niechże już tak będzie!

— Dobrze. Zostawię waszmości z pięciu ludzi do pomocy, a jakby chciał umykać, to w łeb mu palcie.

— Ugnictę ja go w palcach jak wosk, nie bój się!... Ale to tam łuna coraz większa. Gdzie mam się zatrzymać z Kowalskim?

— Gdzie waść chcesz. Nie mam teraz czasu! — rzekł pan Michał.

I wyjechał naprzód.

Pożar rozlewał się coraz szerzej. Wiatr powiał od strony ognia i razem z głosem dzwonów przyniósł echa wystrzałów.

— Rysią! — skomenderował pan Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ IV.

Dojechawszy bliżej wsi, zwolnili kroku i ujrzeli szeroką ulicę, oświeconą tak płomieniem, iż szpilki możnaby na niej zbierać, bo po obu stronach paliło się kilka chałup, a inne zajmowały się od nich zwolna, gdyż wiatr był dość silny i niósł iskry, ba! całe snopki, podobne do ptaków ognistych, na przyległe dachy. Na ulicy płomień oświecał większe

i mniejsze gromadki ludzi, poruszające się szybko w różne strony. Krzyk ludzki mieszał się z odgłosem dzwonów ukrytego wśród drzew kościoła, z rykiem bydła, ze szczekaniem psów i rzadkiemi wystrzałami z broni palnej.

Podjechawszy bliżej, żołnierze pana Wołodyjowskiego ujrzeli rajtarów przybranych w koliste kapelusze, ale niezbyt wielu. Niektórzy ucierali się z gromadami chłopów, zbrojnych w cepy i widły, strzelając do nich z pistoletów i wypierając za chałupy, na ogrody; inni wypędzali na drogę rapierami woły, krowy i owce. Inni, których zaledwie można było rozeznać wśród całych kłębów pierza, poobwieszali się ptastwem domowem, trzepocącem jeszcze skrzydłami w przedśmiertnych podrygach. Kilkunastu trzymało konie, każdy po dwa lub trzy, należące do towarzyszów, zajętych widocznie rabunkiem chałup.

Droga do wsi schodziła nieco z góry, wśród brzezinowego lasku, tak, że laudańscy, sami nie będąc widziani, widzieli jakoby obraz, przedstawiający najście wsi przez nieprzyjaciela, oświecony pożarem, w którego blaskach dokładnie można było odróżnić obcych żołnierzy, wieśniaków, niewiasty ciągane przez rajtarów i broniących się bezładnemi kupami mężów. Wszystko to poruszało się gwałtownie, nakształt lalek w jasełkach, krzycząc, klnąc, lamentując.

Pożar nad wioską trząsł całą grzywą płomienia i huczał coraz straszliwiej.

Pan Wołodyjowski zbliżywszy się z chorągwią do roztwartego naoścież kołowrotu, kazał zwolnić kroku. Mógł on uderzyć i jednym zamachem zgnieść nie spodziewających się niczego napastników; ale mały rycerz postanowił sobie „pokosztować Szwedów“ w bitwie otwartej, zupełnej, więc naumyślnie czynił tak, aby go spostrzeżono.

Jakoż kilku rajtarów, stojących wedle kołowrotu, spostrzegło najprzód zbliżającą się chorągiew. Jeden z nich skoczył do oficera, który stał z gołym rapierem wśród większej kupy jeźdźców na środku drogi i począł mówić coś

do niego, ukazując ręką w tę stronę, z której spuszczał się ze swymi ludźmi pan Wołodyjowski. Oficer przysłonił oczy ręką i popatrzył przez chwilę, następnie skinął i wnet donośny odgłos trąbki zabrzmiał wśród rozmaitych krzyków ludzkich i zwierzęcych.

A tu rycerze nasi mogli podziwiać sprawność szwedzkiego żołnierza; zaledwie bowiem rozległy się pierwsze tony, gdy jedni z rajtarów poczęli wypadać co duchu z chałup, drudzy porzucali zrabowane rzeczy, woły, owce i biegli do koni.

W mgnieniu oka stanęli w sprawnym szeregu, na którego widok wezbrało podziwem serce małego rycerza, tak lud był dobrany. Chłopy wszystko rosłe i tęgie, przybrane w kaftany ze skórzanemi pasami przez ramię, w jednostajne czarne kapelusze z podniesionem koliskiem z lewej strony; wszyscy mieli jednakie gniade konie i stanęli murem, z rapierami przy ramieniu, poglądając bystro, ale spokojnie w stronę drogi.

Jednakże z szeregu wysunął się oficer z trębaczem, chcąc widocznie zapytać, coby byli za ludzie, zbliżający się tak wolno.

Widocznie sądził, iż to jakaś radziwiłłowska chorągiew, od której nie spodziewał się zaczepki. Jął tedy machać rapierem i kapeluszem, a trębacz trąbił ciągle na znak, iż chcą rozmowy.

— A wypal-no który ku nim z garłacza, — rzekł mały rycerz, — aby wiedzieli, czego się mają od nas spodziewać!

Strzał huknął, ale siekańce nie doszły, bo było zbyt daleko. Oficer widocznie myślał jeszcze, iż to jakieś nieporozumienie, gdyż począł tylko mocniej krzyczeć i kapeluszem machać.

— Dajcieże mu drugi raz! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

Po drugim strzale oficer zawrócił i ruszył, choć niezbyt pośpiesznie ku swoim, którzy także zbliżyli się rysią ku niemu.

Pierwszy szereg laudańskich ludzi wjeżdżał już w kołowrot.

Oficer szwedzki zakrzyknął, dojeżdżając, na swoich ludzi; rapiery, sterczące aż do tej chwili przy ramionach rajtarów, pochyliły się i zwisły na pendentach — natomiast wszyscy naraz wydobyli pistolety z olster i wsparli je na kulach od kulbak, trzymając lufy do góry.

— Doskonały żołnierz! — mruknął Wołodyjowski, widząc szybkość i jednoczesność prawie mechaniczną ich ruchów.

To rzekłszy, obejrzał się na swoich ludzi, czy szeregi w porządku, poprawił się w kulbace i krzyknął:

— Naprzód!

Laudańscy pochylili się ku szyjom końskim i ruszyli jak wicher.

Szwedzi przypuścili ich blisko i naraz dali ognia z pistoletów, lecz salwa niewiele zaszkodziła ukrytym za łbami końskiemi laudańskim, więc zaledwie kilku wypuściło z rąk trędzle i przechyliło się w tył, inni dobiegli i uderzyli się z rajtarami pierś o pierś.

Litewskie lekkie chorągwie używały jeszcze kopij, które w koronnem wojsku służyły tylko husarji, ale pan Wołodyjowski, spodziewając się bitwy w ciasnocie, kazał je zatknąć poprzednio przy drodze. więc zaraz przyszło do szabel.

Pierwszy impet nie zdołał rozerwać Szwedów, lecz zepchnął ich wtył, tak, iż poczęli się cofać, siekąc i bodąc rapierami, laudańscy zaś parli ich zapamiętale przed sobą wzdłuż ulicy. Trup począł padać gęsto. Ciżba czyniła się coraz większa; szczęk szabel wypłoszył chłopstwo z szerokiej ulicy, w której gorąco od płonących domów było nie do wytrzymania, lubo domy ode drogi i opłotków oddzielone były sadami.

Szwedzi parci coraz potężniej cofali się zwolna, ale zawsze w dobrym porządku. Trudno im zresztą było się rozproszyć, ponieważ silne płoty zamykały drogę z obu

stron. Chwilami próbowali zatrzymać się, ale nie mogli podołać.

Była to dziwna bitwa, w której z przyczyny wąskiego stosunkowo miejsca walczyły wyłącznie pierwsze szeregi, następne zaś mogły tylko pchać stojących w przedzie. Ale przez to właśnie walka zmieniła się w rzeź zaciekłą.

Pan Wołodyjowski, uprosiwszy wprzód starych pułkowników i Jana Skrzetuskiego, aby w samej chwili ataku mieli dozór nad ludźmi, używał dowoli w pierwszym szeregu. I co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapier, wytrącony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy i znów kapelusz zapadał; zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz pan Wołodyjowski posuwał się ciągle naprzód, małe jego oczki świeciły jak dwie skry złowrogie i nie unosił się i nie zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem; chwilami, gdy nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka rajtara ruchem napozór nieznacznym i straszny był przez te ruchy małe, a błyskawiczne, prawie nie człowiecze.

Jak niewiasta rwąca konopie, zanurzy się w nie tak, iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo jej drogę, tak i on niknął chwilowo z oczu w tłumie rosłych mężów, lecz tam, gdzie padali jako kłos pod sierpem żniwiarza, podcinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był. Stanisław Skrzetuski i posępny Józwa Butrym, zwany Beznogim, szli tuż za nim.

Nakoniec szwedzkie tylne szeregi poczęły wysuwać się z opłotków na obszerniejszy wirydarz przed kościołem i dzwonnicą, a za niemi wysunęły się przednie. Rozległa się komenda oficera, który pragnął widocznie wprowadzić wszystkich naraz ludzi do boju i wydłużony aż dotąd prostokąt rajtarów rozciągnął się w mgnieniu oka wszerz, w długą linję, chcąc całym frontem stawić czoło.

Lecz Jan Skrzetuski. który nad ogólnym przebiegiem bitwy czuwał i czołem chorągwi dowodził, nie poszedł za przykładem szwedzkiego kapitana, natomiast ruszył naprzód całym impetem w ścieśnionej kolumnie, która trafiwszy na słabszą już ścianę szwedzką, rozbiła ją w mgnieniu oka jakoby klinem i zwróciła się pędem ku kościołowi, ku prawej stronie, biorąc tym ruchem tył jednej połowie Szwedów, a na drugą skoczyli z rezerwą Mirski i Stankiewicz, mając pod sobą część laudańskich i wszystkich dragonów Kowalskiego.

Zawrzały teraz dwie bitwy, lecz nie trwały już długo. Lewe skrzydło, na które uderzył Skrzetuski, nie zdążyło się sformować i rozproszyło się najpierwiej; prawe, w którem był sam oficer, dłużej dawało opór, lecz rozciągnięte zbytecznie, poczęło się łamać, mieszać, nakoniec poszło za przykładem lewego.

Wirydarz był obszerny, lecz na nieszczęście zagrodzony ze wszystkich stron wysokim płotem, a przeciwległy kołowrot służba kościelna, widząc co się dzieje, zamknęła i podparła.

Rozproszeni tedy Szwedzi biegali wkoło, a laudańscy upędzali się za nimi. Gdzie niegdzie bito się większemi kupami, po kilkunastu na szable i rapiery; gdzie niegdzie bitwa zmieniła się w szereg pojedynków i mąż potykał się z mężem, rapier krzyżował się z szablą, czasem strzał pistoletowy buchnął. Tu i owdzie rajtar, wymknąwszy się z pod jednej szabli, biegł jak pod smycz, pod drugą. Tu i owdzie Szwed lub Litwin wydobywał się z pod obalonego rumaka i padał zaraz pod cięciem czekającej nań szabli.

Środkiem wirydarza biegały rozhukane konie bez jeźdźców, z rozdętemi od strachu chrapami i rozwianą grzywą; niektóre gryzły się ze sobą, inne oślepłe i rozszalałe zwracały się zadem do kup walczących i biły w nie kopytami.

Pan Wołodyjowski. strącając mimochodem rajtarów, szukał oczyma po całym wirydarzu oficera; nakoniec

spostrzegł go broniącego się przeciw dwom Butrymom i skoczył ku niemu.

— Nabok! — krzyknął na Butrymów — nabok!

Posłuszni żołnierze odskoczyli — mały rycerz zaś przybiegł i starli się ze Szwedem, aż konie przysiadły na zadach.

Oficer chciał widocznie sztychem zsadzić przeciwnika z konia, lecz pan Wołodyjowski podstawił rękojeść swego dragońskiego pałasza, zakręcił błyskawicowem półkołem i rapier prysnął. Oficer schylił się do olster, lecz w tej chwili cięty przez jagodę, wypuścił lejce z lewicy.

— Żywym brać! — krzyknął Wołodyjowski na Butrymów.

Laudańscy chwycili rannego i podtrzymali chwiejącego się na kulbace, mały rycerz zaś sunął w głąb wirydarza i jechał dalej na rajtarach, gasząc ich przed sobą jak świece.

Lecz już powszechnie poczęli Szwedzi ulegać bieglejszej w szermierce i pojedyńczej walce szlachcie. Niektórzy, chwytając za ostrza rapierów, wyciągali je rękojeścią ku przeciwnikom, inni rzucali broń pod nogi; słowo: „Pardon!“ brzmiało coraz częściej na pobojowisku. Lecz nie zważano na to, bo pan Michał kilku tylko kazał oszczędzić, więc inni, widząc to, zrywali się znów do bitwy i marli, jak na żołnierzy przystało, po rozpaczliwej obronie, okupując obficie krwią śmierć własną.

W godzinę później docinano ostatków.

Chłopstwo rzuciło się hurmem, drogą ode wsi, na wirydarz, chwytać konie, dobijać rannych i obdzierać poległych.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

Tymczasem pan Zagłoba, stojąc opodal w brzezinie z wozem, na którym leżał pan Roch, musiał słuchać gorzkich jego wymówek, że choć krewny, tak niegodnie z nim postąpił.

— Zgubiłeś mnie wuj z kretesem, bo nietylko, że mnie kula w łeb w Kiejdanach czeka, ale i hańba wiekuista na

moje imię spadnie. Odtąd, kto zechce powiedzieć: kiep, to może mówić: Roch Kowalski!

— I coprawda. niewielu znajdzie, którzyby mu chcieli negować, — odparł Zagłoba, — a najlepszy dowód, iż się dziwujesz, żem cię na hak przywiódł, ja, którym chanem krymskim tak kręcił, jak kukłą. Cóż to sobie chmyzie, myślałeś, że ci się pozwolę do Birż odprowadzić, w kompanji zacnych ludzi i Szwedom w paszczękę nas wrazić, największych mężów, decus tej Rzeczypospolitej?

— Toć ja nie z własnej woli waszmościów tam odwoziłem!

— Aleś był pachołkiem katowskim i to jest dla szlachcica wstyd, to jest hańba, którą obmyć musisz, inaczej wyprę się ciebie i wszystkich Kowalskich. Być zdrajcą, to gorzej niż być rakarzem, ale być pomocnikiem kogoś gorszego od rakarza, to ostatnia rzecz!

— Ja hetmanowi służyłem!

— A hetman djabłu! Masz teraz!... Głupiś jest, Rochu, wiedz o tem raz na zawsze i w dysputy się nie wdawaj, a mnie się trzymaj za połę, to jeszcze na człowieka wyjdziesz, bo to wiedz, że już niejednego promocja przeze mnie spotkała.

Dalszą rozmowę przerwał im huk wystrzałów, bo właśnie bitwa się we wsi rozpoczynała. Potem strzały umilkły, ale gwar trwał ciągle i krzyki dochodziły aż do owego ustronia w brzezinie.

— Już tam pan Michał pracuje — rzekł Zagłoba. — Niewielki on, ale kąśliwy jak gadzina. Nałuszczą tam tych zamorskich djabłów jak grochu. Wolałbym ja tam być, niż tu, a przez ciebie muszę jeno nasłuchiwać z tej brzeziny. Taka to twoja wdzięczność? Toż to jest uczynek godny krewnego?

— A za co ja mam być wdzięczny?

— Za to, że tobą zdrajca nie orze jak wołem, chociażeś do orki najzdolniejszy, boś głupi a zdrów, rozumiesz?... Ej!

coraz tam goręcej... Słyszysz? To chyba Szwedy tak ryczą, jak cielęta na pastwisku.

Tu Zagłoba spoważniał, bo trochę był niespokojny; nagle rzekł, patrząc w oczy bystro panu Rochowi:

— Komu życzysz wiktorji?

— Jużci naszym.

— A widzisz! A czemu nie Szwedom?

— Bo teżbym wolał ich prać. Co nasi, to nasi!

— Sumienie się w tobie budzi... A jakżeś to mógł własną krew Szwedom odwozić?

— Bom miał rozkaz.

— Ale teraz nie masz rozkazu?

— Juści prawda.

— Twoja zwierzchność, to teraz Wołodyjowski, nikt więcej!

— A no... nibyto prawda!

— Masz to czynić, co ci pan Wołodyjowski każe.

— Bo muszę.

— On ci tedy każe wyrzec się najprzód Radziwiłła i nie służyć mu więcej, jeno ojczyźnie.

— Jakżeto? — pytał pan Roch, drapiąc się w głowę.

— Rozkaz! — zakrzyknął Zagłoba.

— Słucham! — odrzekł pan Roch.

— To dobrze! W pierwszej okazji będziesz Szwedów prał!

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odpowiedział Kowalski i odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z piersi.

Zagłoba również był zadowolony, bo miał swoje na pana Rocha widoki. Poczęli więc słuchać zgodnie nadlatujących odgłosów bitwy i słuchali z godzinę jeszcze, póki wszystko nie ucichło.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

— Zaliby im się nie powiodło?

— Wuj stary wojskowy i możesz takie rzeczy mówić! Gdyby ich rozbito, toby wedle nas wracali kupami...

— Prawda!... Widzę, że się i twój dowcip na coś przyda.

— Słyszysz wuj tętent? Wolno idą. Musieli Szwedów wyciąć.

— Oj! a czy to jeno nasi? Podjadę, albo co?

To rzekłszy pan Zagłoba, spuścił szablę na temblak, wziął pistolet w garść i ruszył naprzód. Wkrótce zobaczył przed sobą czarniawą masę, poruszającą się zwolna drogą; jednocześnie doszedł go gwar rozmów.

Na przedzie jechało kilku ludzi, rozprawiając z sobą głośno i wnet o uszy pana Zagłoby odbił się znany mu głos pana Michała. który mówił:

— Dobre pachołki! Nie wiem, jaka tam piechota, ale i jazda doskonała!

Zagłoba uderzył konia ostrogami.

— Jak się macie!? Jak się macie!? Już mnie niecierpliwość brała i chciałem w ogień lecieć... A nie ranny który?

— Wszyscy zdrowi, chwała Bogu! — odrzekł pan Michał — aleśmy dwudziestu kilku dobrych żołnierzy stracili.

— A Szwedzi?

— Położyliśmy ich mostem.

— Panie Michale, musiałeś tam używać, jak pies w studni. A godziło się to mnie starego na straży tu zostawiać? Mało dusza ze mnie nie wyszła, tak mi się chciało szwedziny. Surowychbym ich jadł!

— Możesz waćpan dostać i pieczonych, bo się tam kilkunastu w ogniu przypaliło.

— Niech ich psi jedzą. A jeńców wzięliście co?

— Jest rotmistrz i siedmiu rajtarów.

— A co myślisz z nimi czynić.

— Kazałbym ich powiesić, bo jako zbójcy niewinną wieś napadli i ludzi wycinali... Ale Jan powiada, że to nie idzie.

— Słuchajcie mnie waszmościowie, co mi tu do głowy

przez ten czas przyszło. Nanic ich wieszać, przeciwnie, puścić ich do Birż co prędzej.

— Czemużto?

— Znacie mnie jako żołnierza, poznajcie jako statystę. Szwedów puśćmy, ale nie powiadajmy im, kto jesteśmy. Owszem mówmy, żeśmy radziwiłłowscy ludzie, że z rozkazu hetmana wycięliśmy ten oddział i dalej będziemy wycinali wszystkie, które spotkamy, bo hetman tylko przez fortel symulował, że do Szwedów przechodzi. Będą się tam oni za łby brali i okrutnie kredyt hetmański przez to podkopiemy. Dalibóg, jeśli ta myśl nie jest warta więcej od waszego zwycięstwa, to niech mi ogon jak koniowi wyrośnie. Bo uważcie tylko, że i w Szwedów to ugodzi i w Radziwiłła. Kiejdany od Birż daleko, a Radziwiłł od Pontusa jeszcze dalej. Nim sobie wytłumaczą, jak i co się stało, gotowi się pobić! Poważnimy zdrajcę z najezdnikami, mości panowie, a kto najlepiej wyjdzie na tem, jeśli nie Rzeczpospolita?

— Grzeczna to jest rada i pewnie zwycięstwa warta, niech kule biją! — rzekł Stankiewicz.

— U waści kanclerski rozum, — dodał Mirski, — bo że im to pomiesza szyki, to pomiesza.

— Pewnie, że tak trzeba będzie uczynić — rzekł pan Michał. — Zaraz jutro ich puszczę, ale dziś nie chcę o niczem wiedzieć, bom okrutnie zmachany... Gorąco tam było na drodze, jak w piekarni... Uf! całkiem mi ręce zemdlały... Oficer nie mógłby nawet dzisiaj jechać, bo w pysk zacięty.

— Po jakiemu im tylko to wszystko powiemy? Co ojciec radzisz? — pytał Jan Skrzetuski.

— Jużem i o tem pomyślał — odpowiedział Zagłoba. — Kowalski mi mówił, że między jego dragonami jest dwóch Prusaków, dobrze umiejących po niemiecku szwargotać i ludzi roztropnych. Niechże oni im to powiedzą po niemiecku, który język pewnie Szwedzi umieją, tyle lat się w Niemczech nawojowawszy. Kowalski już nasz duszą

i ciałem. Setny to chłop i niemały będę miał z niego pożytek.

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski. — Bądźże który z waszmościów łaskaw tem się zająć, bo ja już i głosu w gębie nie mam od fatygi. Oznajmiłem już ludziom, że zostaniemy tu w tej brzezinie do rana. Jeść nam ze wsi przyniosą, a teraz spać! Nad strażami będzie miał mój porucznik oko. Dalibóg, że już waszmościów nie widzę, bo mi się powieki zamykają...

— Mości panowie, — rzekł Zagłoba, — jest tu stóg niedaleko za brzeziną, pójdźmy do stoga, wywczasujemy się jako susły, a jutro w drogę... Nie wrócimy tu już, chyba z panem Sapiehą na Radziwiłła.

ROZDZIAŁ V.

Rozpoczęła się więc na Litwie wojna domowa, która obok dwóch najazdów w granice Rzeczypospolitej i coraz zaciętszej wojny ukraińskiej, wypełniła miarę niedoli.

Wojsko komputowe litewskie, jakkolwiek tak nieliczne, że żadnemu poszczególe nieprzyjacielowi nie mogło dać skutecznego oporu, rozdzieliło się na dwa obozy. Jedni, a zwłaszcza roty cudzoziemskie, stanęli przy Radziwille; drudzy, i tych była większość, głosząc hetmana za zdrajcę, protestowali orężnie przeciw unji ze Szwecją, lecz bez jedności, wodza, planu. Wodzem mógł być pan wojewoda witebski, ale on zbyt był w tej chwili zajęty obroną Bychowa i rozpaczliwą walką w głębi kraju, ażeby odrazu na czele ruchu przeciw Radziwiłłowi mógł stanąć.

Tymczasem i najezdnicy, uważając każdy całą krainę za swą własność, poczęli słać wzajem do się groźne poselstwa. Z tych ich niesnasek mogło w przyszłości wypłynąć ocalenie Rzeczypospolitej, ale zanim do kroków nieprzyjacielskich między nimi przyszło, na całej Litwie zapanował najstraszliwszy chaos. Radziwiłł, zawiedziony w rachubie na

wojsko, postanowił przemocą zmusić je do posłuszeństwa.

Zaledwie pan Wołodyjowski przyciągnął ze swym oddziałem po bitwie klawańskiej do Poniewieża. gdy do uszu jego doszła wieść o zniszczeniu przez hetmana chorągwi Mirskiego i Stankiewicza. Część ich została przemocą włączona do wojsk radziwiłłowskich, część wybita lub rozpędzona na cztery wiatry. Resztki tułały się pojedyńczo lub niewielkiemi kupami po wsiach i lasach, szukając, gdzieby głowę przed zemstą i pogonią uchronić.

Z każdym dniem zbiegowie napływali do oddziału pana Michała. zwiększając jego siłę. a zarazem przynosząc najrozmaitsze nowiny.

Najważniejszą z nich była wiadomość o buncie chorągwi komputowych, stojących na Podlasiu, wedle Białegostoku i Tykocina. Po zajęciu Wilna przez wojska moskiewskie. miały owe chorągwie stamtąd przystęp do krajów koronnych osłaniać. Lecz dowiedziawszy się o zdradzie hetmana. utworzyły konfederację, na której czele stanęli dwaj pułkownicy: Horotkiewicz i Jakób Kmicic, stryjeczny najwierniejszego poplecznika radziwiłłowskiego, Andrzeja.

Imię tego ostatniego powtarzały ze zgrozą usta żołnierskie. On to głównie przyczynił się do rozbicia chorągwi Stankiewicza i Mirskiego, on rozstrzeliwał bez litości schwytanych towarzyszów. Hetman ufał mu ślepo i w ostatnich właśnie czasach posłał go przeciw chorągwi Niewiarowskiego. która, nie idąc za przykładem swego pułkownika, wypowiedziała mu posłuszeństwo.

Tej ostatniej relacji wysłuchał z wielką uwagą pan Wołodyjowski. poczem zwrócił się do wezwanych na radę towarzyszów i rzekł:

— Cobyście waszmościowie powiedzieli na to, gdybyśmy. zamiast pod Bychów do wojewody witebskiego śpieszyć, poszli na Podlasie do owych chorągwi, które konfederację uczyniły?

— Z gęby mi to wyjąłeś! — rzekł Zagłoba. — Będzie

człek bliżej swoich stron, a już tam zawsze między swoimi raźniej.

— Powiadali też zbiegowie, — rzekł Jan Skrzetuski, — że słyszeli, jakoby król jegomość chorągwiom niektórym kazał z Ukrainy wracać, aby nad Wisłą opór Szwedom dać. Jeśli to się sprawdzi, tedy moglibyśmy między starymi towarzyszami się znaleźć, zamiast tu się z kąta w kąt tłuc...

— A kto ma nad temi chorągwiami regimentować? Nie wiecie waszmościowie?

— Powiadają, że pan oboźny koronny, — odrzekł pan Wołodyjowski, — ale to więcej ludzie zgadują, aniżeli wiedzą, gdyż pewne wieści nie mogły jeszcze nadejść.

— Jakkolwiek jest, — rzekł Zagłoba, — radzę na Podlasie się przemknąć. Możemy tam owe zbuntowane chorągwie radziwiłłowskie porwać za sobą i królowi jegomości przyprowadzić, a wtedy pewnie nie pozostanie to bez nagrody.

— Niechże tak będzie! — rzekli Oskierka i Stankiewicz.

— Rzecz nie jest łatwa — mówił mały rycerz — przebrać się na Podlasie, bo trzeba się będzie hetmanowi między palcami przemykać, ale spróbujemy. Gdy tak fortuna przytem zdarzyła Kmicica gdzie po drodze ucapić, powiedziałbym mu do ucha parę słów, od których skóraby na nim pozieleniała...

— Wart on tego! — rzekł Mirski. — Bo że tam niektórzy starzy żołnierze, którzy wiek życia pod Radziwiłłami przesłużyli, z hetmanem trzymają, to im się mniej dziwić, ale ów warchoł służy tylko dla własnej korzyści i z rozkoszy, jaką w zdradzie znajduje.

— Tak tedy na Podlasie? — pytał Oskierka.

— Na Podlasie! Na Podlasie! — zakrzyknęli wszyscy społem.

Ale rzecz nie była mniej trudna, jak to mówił pan Wołodyjowski, bo chcąc się na Podlasie dostać, trzeba było

przechodzić w pobliżu Kiejdan, jakoby wedle jamy, w której lew krążył.

Drogi i pasy leśne, miasteczka i wsie były w ręku Radziwiłła; nieco za Kiejdanami stał Kmicic z jazdą, piechotą i armatami. Wiedział już też hetman o ucieczce pułkowników, o zbuntowaniu chorągwi Wołodyjowskiego, o bitwie klawańskiej i ta ostatnia szczególnie przywiodła go do takiego gniewu, że się o życie jego obawiano, albowiem straszliwy atak astmy oddech mu na czas jakiś zatamował.

Jakoż słuszne miał powody gniewu, a nawet rozpaczy, gdyż bitwa owa sprowadziła na jego głowę całą burzę szwedzką. Najprzód, zaraz po niej, poczęto tu i owdzie wycinać małe oddziały szwedzkie. Czynili to chłopi i pojedyńcza szlachta na własną rękę, ale Szwedzi kładali to na karb Radziwiłła, zwłaszcza, że oficer i żołnierze po bitwie do Birż odesłani, zeznali przed komendantem, iż to radziwiłłowska chorągiew z jego rozkazu na nich uderzyła.

W tydzień przyszedł list do księcia od komendanta birżańskiego, a w dziesięć dni od samego Pontusa de la Gardie główno-dowodzącego wojskiem szwedzkiem.

„Albo wasza książęca mość sił i znaczenia nie masz“, — pisał ten ostatni, — „a w takim razie, jak mogłeś układ w imieniu całego kraju zawierać! — albo chcesz podstępem o zgubę wojsko jego królewskiej mości przyprawić! Jeśli tak jest, łaska mojego pana odwraca się od w. ks. mości i kara rychło cię dosięgnie, jeśli skruchy i pokory nie okażesz i wierną służbą winy swojej nie zatrzesz...“

Radziwiłł wysłał natychmiast gońców z wyjaśnieniem, jak i co się stało, ale grot utkwił w dumnej duszy i rana paląca poczęła się jątrzyć coraz srożej. On, którego słowo niedawno w posadach ten kraj, większy od całej Szwecji, wstrząsało — on, za którego połowę dóbr, wszystkich panów szwedzkich kupićby można; on, który własnemu królowi stawiał czoło, monarchom sądził się być równym, zwycięstwami rozgłos w całym świecie sobie zjednał i w pysze

własnej jak w słońcu chodził — musiał teraz słuchać gróźb jednego jenerała szwedzkiego, musiał słuchać lekcji pokory i wierności. Wprawdzie ów jenerał był szwagrem królewskim, ale kimże był sam ów król, jeżeli nie przywłaszczycielem tronu, należącego się z prawa i krwi Janowi Kazimierzowi?

Przedewszystkiem jednak wściekłość hetmańska zwróciła się przeciw tym, którzy owego upokorzenia byli powodem i zaprzysiągł sobie zdeptać nogami pana Wołodyjowskiego, tych pułkowników, którzy przy nim byli i całą chorągiew laudańską. W tym celu ruszył przeciw nim i jako bór otaczają myśliwi sieciami, aby gniazdo wilcze wyłowić, tak on otoczył ich i począł gnać bez wytchnienia.

Tymczasem doszła doń wieść, że Kmicic zgniótł chorągiew Niewiarowskiego, towarzystwo rozproszył lub wyciął, pocztowych włączył do własnej chorągwi, więc hetman kazał mu odesłać sobie część sił, aby tem pewniej uderzyć.

„Ludzie ci, — pisał hetman, — o których życie tak natarczywie na nas nastawałeś, a głównie Wołodyjowski z onym drugim przybłędą, wyrwali się w drodze do Birż. Posłaliśmy umyślnie z nimi najgłupszego oficera, aby go przekabacić nie mogli, ale i ten, albo zdradził, albo go w pole wywiedli. Dziś Wołodyjowski ma pod sobą całą chorągiew laudańską i zbiegowie go podsycają. Szwedów sto dwadzieścia pod Klawanami w pień wycięli, głosząc, że to z naszego rozkazu czynią, z czego wielkie powstały między nami a Pontusem dyfidencje. Całe dzieło może się popsować przez tych zdrajców, którym bez twojej protekcji kazalibyśmy, jako Bóg w niebie, szyje poucinać. Tak to za klemencję pokutować nam przychodzi, choć mamy w Bogu nadzieję, że rychło pomsta ich dosięgnie. Doszły nas też wiadomości, że w Billewiczach, u miecznika rosieńskiego, szlachta się zbiera i przeciw nam praktyki czyni — trzeba temu zapobiec. Jazdę wszystką nam odeszlesz, a piechotę do Kiejdan wyekspedjujesz, aby zamku i miasta pilnowała, bo od tych zdrajców wszystkiego spodziewać się można. Sam

udaj się w kilkadziesiąt koni do Billewicz i miecznika wraz z krewniaczką do Kiejdan przywieź. Teraz nietylko tobie, ale nam na tem zależy, gdyż kto ma ich w ręku, ten ma całą laudańską okolicę, w której szlachta przeciw nam, za przewodem Wołodyjowskiego, burzyć się poczyna. Harasimowicza wysłaliśmy do Zabłudowa z instrukcjami, jak ma sobie z tamtymi konfederatami poczynać. Stryjeczny twój, Jakób, wielką ma między nimi powagę, do którego napisz, jeśli myślisz, że pismem coś z nim wskórać możesz.

Oznajmując ci stateczną łaskę naszą, boskiej opiece cię polecamy".

Kmicic, przeczytawszy ów list, kontent był w duszy, że pułkownikom udało się wymknąć z rąk szwedzkich i życzył im pocichu, aby i z radziwiłłowskich wymknąć się mogli — jednakże spełnił wszystkie rozkazy książęce, jazdę odesłał, piechotą Kiejdany osadził, a nawet szańczyki wedle zamku i miasta sypać począł, obiecując sobie w duszy, zaraz po ukończeniu tej roboty, do Billewicz po pana miecznika i dziewczynę ruszyć.

— Przymusu nie użyję, chyba w ostateczności, — mówił sobie, — a w żadnym razie nie będę na Oleńkę nastawał. Zresztą nie moja wola, tylko książęcy rozkaz! Nie przyjmie mnie ona wdzięcznie, wiem o tem, ale Bóg da, że się zczasem o moich intencjach przekona, jako że nie przeciw ojczyźnie, ale dla ratunku jej, Radziwiłłowi służę.

Tak rozmyślając, pracował gorliwie nad umocnieniem Kiejdan, które w przyszłości rezydencją jego Oleńki być miały.

Tymczasem pan Wołodyjowski umykał przed hetmanem, a hetman go gonił zaciekle. Było jednak panu Michałowi za ciasno, bo od Birż posunęły się ku południowi znaczne oddziały wojsk szwedzkich, wschód zaś kraju zajęty był przez zastępy carskie, a na drodze do Kiejdan czyhał hetman.

Pan Zagłoba bardzo nierad był z takowego stanu rzeczy i coraz częściej zwracał się do pana Wołodyjowskiego z pytaniami:

— Panie Michale, na miłość Boską, przebijem się, czy nie przebijem?

— Tu o przebiciu się i mowy niema! — odpowiadał mały rycerz. — Wiesz waszmość, że mnie tchórzem nie podszyto i uderzę na kogo chcesz, choćby na samego djabła... Ale hetmanowi nie zdzierżę, bo nie mnie się z nim równać!... Sameś rzekł, iż my okonie, a on szczuka. Uczynię, co w mojej mocy, aby się wymknąć, ale jeśli do bitwy przyjdzie, tedy mówię otwarcie, że on nas pobije.

— A potem każe pośrutować i psom da. Dlaboga! w każde inne ręce, byle nie w radziwiłłowskie!... A czyby już w takim razie nie lepiej do pana Sapiehy nawrócić?

— Teraz już za późno, bo nam i hetmańskie wojska i szwedzkie drogę zamykają.

— Djabeł mnie skusił, żem do Radziwiłła Skrzetuskich namówił! — desperował pan Zagłoba.

Lecz pan Michał nie tracił jeszcze nadziei, zwłaszcza, że szlachta i chłopstwo nawet, ostrzegało go o ruchach hetmańskich, wszystkie bowiem serca odwróciły się były od Radziwiłła. Wykręcał się więc pan Michał, jak umiał, a świetnie umiał, albowiem niemal od dziecinnych lat wezwyczaił się do wojen z Tatarami i kozakami. Sławnym go też uczyniły niegdyś w wojsku Jeremiego owe pochody przed czambułami, podjazdy, niespodziane napady, błyskawicowe zwroty, w których nad innymi oficerami celował.

Obecnie, zamknięty między Upitą i Rogowem z jednej strony, a Niewiażą z drugiej, kluczył na przestrzeni kilku mil, unikając ciągle bitwy, męcząc radziwiłłowskie chorągwie, a nawet skubiąc je potrosze, jak wilk przez ogary ścigany, który nieraz w pobliżu strzelców się przemknie, a gdy psy zbyt blisko go nacierają, to się odwróci i błyśnie białemi kłami.

Lecz gdy jazda Kmicicowa nadeszła, hetman zatkał nią najciaśniejsze szczeliny i sam pojechał pilnować, by dwa skrzydła niewodu zeszły się ze sobą.

Było to pod Niewiażą.

Pułki Mieleszki, Ganchofa i dwie chorągwie jazdy pod wodzą samego księcia, utworzyły jakoby łuk, którego cięciwą była rzeka. Pan Wołodyjowski ze swoim pułkiem był w środku łuku. Miał wprawdzie przed sobą jedyną przeprawę, jaka wiodła przez bagnistą rzekę, ale właśnie z drugiej strony przeprawy stały dwa regimenty szkockie i dwieście radziwiłłowskich kozaków, oraz sześć polowych armatek, wykierowanych w ten sposób, że nawet pojedyńczy człowiek nie zdołałby się pod ich ogniem przeprawić na drugą stronę.

Wówczas łuk począł się zaciskać. Środek jego wiódł sam hetman.

Na szczęście dla pana Wołodyjowskiego, noc i burza z deszczem ulewnym przerwały pochód, ale zato uwięzionym nie pozostawało już więcej nad parę stai kwadratowych łąki, zarośniętej łoziną, między półpierścieniem wojsk radziwiłłowskich a rzeką, pilnowaną z drugiej strony przez Szkotów.

Nazajutrz, ledwie brzask ranny ubielił wierzchy łóz, pułki ruszyły dalej i szły, doszły aż do rzeki i stanęły nieme z podziwu.

Pan Wołodyjowski w ziemię się zapadł — w łozinie nie było żywego ducha.

Sam hetman zdumiał się, a potem prawdziwe gromy spadły na głowy oficerów, dowodzących pułkami pilnującemi przeprawy. I znów atak astmy uchwycił księcia, tak silny, że obecni drżeli o jego życie. Ale gniew astmę nawet przemógł. Dwóch oficerów, którym czaty nad brzegiem były powierzone, miało być rozstrzelanych, lecz Ganchof uprosił wreszcie księcia, by przynajmniej zbadano pierwiej, jakim sposobem zwierz z matni ujść zdołał.

Jakoż pokazało się, że Wołodyjowski, korzystając z ciemności i dżdżu, wprowadził z łozy całą chorągiew w rzekę i płynąc lub brodząc z jej biegiem, prześliznął się tuż koło prawego skrzydła radziwiłłowskiego, które dotykało koryta. Kilka koni zapadłych po brzuchy w błota, wskazywało miejsce, w którem wylądował na prawy brzeg.

Z dalszych tropów łatwo było dojść, że ruszył całym

tchem końskim w stronę Kiejdan. Hetman odgadł natychmiast z tego, że pragnął przebrać się do Horotkiewicza i Jakóba Kmicica na Podlasie.

Lecz czy przechodząc koło Kiejdan nie podpali miasta lub nie pokusi się o rabunek zamku?

Straszna obawa ścisnęła serce księcia. Większa część gotowizny jego i kosztowności była w Kiejdanach. Kmicic powinien był wprawdzie ubezpieczyć je piechotą, ale jeśli tego nie uczynił, nieobronny zamek łatwo stać się mógł łupem zuchwałego pułkownika. Bo Radziwiłł nie wątpił, iż odwagi nie zbraknie Wołodyjowskiemu, by targnąć się na samą rezydencję kiejdańską. Mogło mu nie zbraknąć i czasu, gdyż wymknąwszy się z początku nocy, zostawił pogoń najmniej o sześć godzin drogi za sobą.

W każdym razie należało śpieszyć co tchu na ratunek Kiejdanom. Książę zostawił piechotę i ruszył z całą jazdą.

Przybywszy do Kiejdan, Kmicica nie znalazł, lecz zastał wszystko w spokoju i opinia, jaką miał o sprawności młodego pułkownika, wzrosła podwójnie w jego umyśle na widok usypanych szańczyków i stojących na nich dział polowych. Tego samego dnia jeszcze oglądał je razem z Ganchofem, a wieczorem rzekł doń:

— Na własny on to domysł zrobił, bez mojego rozkazu, a tak dobrze je usypał, że długoby tu się nawet przeciw artylerji bronić można. Jeśli ten człowiek nie skręci karku zamłodu, to może pójść wysoko.

Był i drugi człowiek, na wspomnienie którego nie mógł się oprzeć hetman pewnego rodzaju podziwowi, ale podziw ów mieszał się z wściekłością, gdyż człowiekiem owym był pan Michał Wołodyjowski.

— Prędkobym z buntem skończył, — mówił do Ganchofa, — gdybym miał dwóch takich sług... Kmicic może jeszcze rzutniejszy, ale nie ma tego doświadczenia i tamten w szkole Jeremiego za Dnieprem wychowany.

— Wasza ks. mość nie każe go ścigać? — pytał Ganchof.

Książę spojrzał nań i rzekł z przyciskiem:

— Ciebie pobije, przede mną ucieknie.

Po chwili jednak zmarszczył czoło i rzekł:

— Tu teraz wszystko spokojnie, ale trzeba nam będzie na Podlasie wkrótce ruszyć, z tamtymi skończyć.

— Wasza ks. mość, — rzekł Ganchof, — jak tylko nogą stąd ruszymy, wszyscy tu za broń przeciw Szwedom pochwycą.

— Jacy wszyscy?

— Szlachta i chłopstwo. A zarazem, nie poprzestając na Szwedach, przeciwko dysydentom się zwrócą, naszym bowiem wyznawcom całą winę tej wojny przypisują, żeśmy to do nieprzyjaciela przeszli, a nawet go sprowadzili.

— Idzie mi o brata Bogusława. Nie wiem, czy sobie tam na Podlasiu z konfederatami da radę.

— Idzie o Litwę, by ją w posłuszeństwie nam i królowi szwedzkiemu utrzymać.

Książę począł chodzić po komnacie, mówiąc:

— Gdyby Horotkiewicza i Jakóba Kmicica jakim sposobem dostać w ręce?... Dobra mi tam zajadą, zniszczą, zrabują. kamienia na kamieniu nie zostawią.

— Chybaby się z jenerałem Pontusem porozumieć, by tu wojska na ten czas, gdy my będziem na Podlasiu jak najwięcej przysłał.

— Z Pontusem... nigdy! — odrzekł Radziwiłł, któremu fala krwi napłynęła do głowy. — Jeżeli z kim, to z samym królem. Nie potrzebuję ze sługami traktować, mogąc z panem. Gdyby król dał rozkaz Pontusowi, aby mi ze dwa tysiące jazdy przysłał pod rękę, to co innego... Ale Pontusa nie będę o to prosił. Trzebaby kogo wysłać do króla, czas z nim samym układy zacząć.

Chuda twarz Ganchofa zarumieniła się zlekka, a oczy zaświeciły mu się z żądzy.

— Gdyby w. ks. mość rozkazała...

— To tybyś pojechał, wiem; ale czybyś dojechał, to inna rzecz. Waść jesteś Niemiec, a obcemu niebezpiecznie

zapuszczać się w kraj wzburzony. Kto tam wie, gdzie król osobą swoją w tej chwili się znajduje i gdzie się będzie za pół miesiąca lub za miesiąc znajdował? Trzeba po całym kraju jeździć... Przytem... nie może być! ... waść nie pojedziesz, bo tam wypada swego posłać i familjanta, aby się król jegomość przekonał, że nie wszystka szlachta mnie opuściła.

— Człowiek niedoświadczony siła może zaszkodzić — rzekł nieśmiało Ganchof.

— Tam poseł nie będzie miał innej roboty, jeno listy moje oddać i respons mi przywieźć, a to wytłumaczyć, że nie ja kazałem bić Szwedów pod Klawanami, każdy potrafi.

Ganchof milczał.

Książę znów począł chodzić niespokojnemi krokami po komnacie i na czole jego znać było ciągłą walkę myśli. Jakoż od chwili układu ze Szwedami nie zaznał chwili spokoju. Żarła go pycha, gryzło sumienie, gryzł opór niespodziany kraju i wojska; przerażała go niepewność przyszłości, groźba ruiny. Targał się, szarpał, noce spędzał bezsennie, zapadał na zdrowiu. Oczy mu wpadły, wychudł; twarz dawniej czerwona, stała się sinawa, a z każdą niemal godziną przybywało mu srebrnych nici w wąsach i czuprynie. Słowem, żył w męce i giął się pod brzemieniem.

Ganchof śledził go oczyma chodzącego wciąż po komnacie; miał jeszcze trochę nadziei, że książę namyśli się i jego wyszle.

Ale książę zatrzymał się nagle i uderzył dłonią w czoło.

— Dwie chorągwie jazdy na koń natychmiast! Ja sam poprowadzę.

Ganchof spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Ekspedycja? — pytał mimowoli.

— Ruszaj! — rzekł książę. — Daj Bóg, by nie było za późno.

ROZDZIAŁ VI.

Kmicic, ukończywszy szańczyki i ubezpieczywszy od niespodziewanego napadu Kiejdany, nie mógł już dłużej odkładać wyprawy do Billewicz po pana miecznika rosieńskiego i Oleńkę, zwłaszcza, że i rozkaz książęcy brzmiał wyraźnie, aby ich do Kiejdan sprowadzić. Ale niesporo jednak było panu Andrzejowi i gdy wreszcie wyruszył na czele pięćdziesięciu dragonów, ogarnął go taki niepokój, jakby na straconą szarżę jechał. Czuł, że tam nie będzie wdzięcznie przyjęty, a drżał przed myślą, że szlachcic może się zechce opierać nawet i zbrojną ręką i że w takim razie trzeba będzie użyć siły.

Postanowił jednak pierwej namawiać i prosić. W tym celu, aby przybyciu swemu odjąć wszelkie pozory zbrojnego napadu, pozostawił dragonów w karczmie, odległej z pół stai od wsi, a dwie od dworu; sam zaś z wachmistrzem tylko i jednym pachołkiem ruszył naprzód, przykazawszy umyślnie przygotowanej kolasce nadjechać wkrótce za sobą.

Godzina była popołudniowa i słońce chyliło się już dobrze ku zachodowi, ale po nocy dżdżystej i burzliwej dzień był piękny i niebo czyste, gdzie niegdzie tylko upstrzone na zachodniej stronie małemi różowemi obłokami, które zasuwały się zwolna za widnokrąg, podobne do stada owiec, schodzącego z pola. Kmicic jechał przez wieś z bijącem sercem i tak niespokojnie, jak Tatar, który wjeżdżając pierwszy przed czambułem do wsi, rozgląda się na wszystkie strony, czy nie ujrzy gdzie mężów zbrojnych, ukrytych w zasadzce. Ale trzech jeźdźców nie zwróciło niczyjej uwagi, jeno dzieciaki chłopskie umykały z drogi bosemi nogami przed końmi; chłopi zaś widząc pięknego oficera, kłaniali mu się czapkami do ziemi. On zaś jechał naprzód i minąwszy wieś, ujrzał przed sobą dwór, stare gniazdo billewiczowskie, a za nim rozległe sady, kończące się hen, aż na niskich łąkach.

Kmicic zwolnił jeszcze kroku i począł rozmawiać sam ze sobą; widocznie układał sobie odpowiedzi na pytania, a tymczasem poglądał zamyślonem okiem na wznoszące się przed nim budowle. Nie była to wcale pańska rezydencja, ale na pierwszy rzut oka odgadłeś, iż musiał tu mieszkać szlachcic, więcej niż średniej fortuny. Sam dom, zwrócony tyłem do ogrodów, a przodem do głównej drogi, był ogromny, ale drewniany. Sosny na ścianach pociemniały ze starości tak, iż szyby w oknach wydawały się przy nich białe. Nad zrębem ścian piętrzył się olbrzymi dach z czterema dymnikami w pośrodku i dwoma gołębnikami po rogach. Całe chmury białych gołębi kłębiły się nad dachem, to zrywając się z łopotaniem skrzydeł, to spadając nakształt śnieżnych płatków na czarne gonty, to trzepocąc się naokoło słupów, podpierających ganek.

Ganek ów, ozdobiony szczytem, na którym herby billewiczowskie były malowane, psuł proporcję, bo nie stał w pośrodku, ale zboku. Widocznie dawniej dom był mniejszy, ale później dobudowano go z jednej strony, lubo i część dobudowana sczerniała już tak z biegiem lat, że nie różniła się niczem od starej. Dwie oficyny, niezmiernie długie wznosiły się po obu stronach właściwego dworu, stykając się z nim bokami i tworząc jakby dwa ramiona podkowy.

Były w nich gościnne pokoje, używane w chwilach wielkich zjazdów, kuchnie, lamusy, wozownie, stajnie dla cugowych koni, które gospodarze lubili mieć pod ręką, mieszkania dla oficjalistów, służby i dworskich kozaków.

Na środku rozległego dziedzińca rosły stare lipy, na nich gniazda bocianie; niżej wśród drzew niedźwiedź siedzący na kole. Dwie studnie żórawiane po bokach dziedzińca i krzyż z Męką Pańską wśród dwóch włóczni u wjazdu, dopełniały obrazu owej rezydencji zamożnego rodu szlacheckiego. Po prawej stronie domu, wśród gęstych lip, wznosiły się słomiane dachy stodół, obór, owczarni i śpichrzów.

Kmicic wjechał bramą otwartą na obydwie połowy, jak ramiona szlachcica, czekającego na przyjęcie gościa. Jakoż

wnet psy legawe, włóczące się po podwórzu, oznajmiły obcego i z oficyny wypadło dwóch pachołków dla potrzymania koni.

Jednocześnie we drzwiach głównego domu pokazała się jakaś postać niewieścia, w której w jednej chwili Kmicic poznał Oleńkę. Więc serce zabiło mu żywiej i rzuciwszy pachołkowi lejce, szedł do ganku z gołą głową, trzymając w jednej ręce szablę, w drugiej czapkę.

Ona stała przez chwilę, jak wdzięczne zjawisko, przysłoniwszy oczy dłonią przeciw zachodzącemu słońcu i nagle znikła, jak gdyby przerażona widokiem zbliżającego się gościa.

— Źle! — pomyślał pan Andrzej — chowa się przede mną!

Uczyniło mu się przykro i tem przykrzej, że poprzednio ów pogodny zachód słońca, widok tego dworu i spokoju, jaki rozlany był dokoła, napełniły jego serce otuchą, choć może pan Andrzej sam sobie z tego sprawy nie zdawał.

Miał oto jakoby złudzenie, że zajeżdża do narzeczonej, która przyjmie go z błyszczącemi od radości oczyma i rumieńcami na jagodach.

I złudzenie rozwiało się. Zaledwie go ujrzała, pierzchła, jak na widok złego ducha, a natomiast wyszedł naprzeciw pan miecznik, z twarzą niespokojną i chmurną zarazem.

Kmicic pokłonił mu się i rzekł:

— Dawno chciałem waszmości dobrodziejowi złożyć służby powinne, ale wcześniej w tych niespokojnych czasach nie mogłem, chociaż pewnie na chęci mi nie brakło.

— Wielcem waszmości wdzięczny i proszę do komnat — odpowiedział pan miecznik, gładząc czuba na głowie, co zwykł był czynić, gdy był zmieszany lub siebie niepewien.

I usunął się ode drzwi, ażeby gościa puścić naprzód.

Kmicic zaś przez chwilę nie chciał wejść pierwszy i kłaniali się sobie wzajem w progu; wreszcie pan Andrzej wziął krok przed miecznikiem i po chwili znaleźli się w komnacie.

Zastali tam dwóch szlachty: jeden, człek w sile wieku, był pan Dowgird z Plemborga, bliski sąsiad Billewiczów, drugi pan Chudzyński, dzierżawca z Ejragoły. Kmicic zauważył, że ledwie usłyszeli jego nazwisko, gdy twarze im się zmieniły i najeżyli się obaj, jako brytany na widok wilka; on zaś spojrzał na nich wyzywająco, poczem postanowił sobie udawać, że ich nie widzi.

Nastało kłopotliwe milczenie.

Pan Andrzej poczynał się niecierpliwić, i wąsy gryzł, goście spoglądali wciąż na niego zpodełba, a pan miecznik czub gładził.

— Napijesz się waszmość z nami szklaneczkę ubogiego, szlacheckiego miodu — rzekł wreszcie, ukazując na gąsiorek i szklanki. — Proszę! Proszę!...

— Napiję się z waszmość panem! — rzekł dość szorstko Kmicic.

Pan Dowgird i Chudzyński poczęli sapać, biorąc odpowiedź za pogardę dla siebie, ale nie chcieli w przyjacielskim domu kłótni zaraz od początku zaczynać i to jeszcze z zawadjaką, mającym straszną sławę na całej Żmudzi. Jednakże jątrzyło ich to lekceważenie.

Tymczasem pan miecznik zaklaskał w dłonie na pachołka i kazał mu podać czwartą szklenicę, następnie nalał ją, podniósł swoją do ust i rzekł:

— W ręce waszmości... Rad waćpana widzę w domu moim.

— Radbym szczerze, by tak było!

— Gość, gościem... — odrzekł sentencjonalnie pan miecznik.

Po chwili, poczuwając się widocznie, jako gospodarz, do obowiązku podtrzymania rozmowy, spytał:

— A co słychać w Kiejdanach? Jakże zdrowie pana hetmana?

— Nietęgie, panie mieczniku dobrodzieju, — odpowiedział Kmicic, — i w tych niespokojnych czasach nie może inaczej być... Siła zmartwień i zgryzot ma książę.

— A wierzym! — rzekł pan Chudzyński.

Kmicic popatrzył na niego przez chwilę, poczem zwrócił się znów do miecznika i tak dalej mówił:

— Książę, mając auxilia przyrzeczone od najjaśniejszego króla szwedzkiego, spodziewał się nie mieszkając na nieprzyjaciela pod Wilno ruszyć i popioły tamtejsze jeszcze nie ostygłe pomścić. Toż waszmości musi być wiadomo, że dziś Wilna w Wilnie trzeba szukać, bo się siedemnaście dni paliło. Powiadają, że wśród gruzów jeno jamy piwnic czernieją, z których ciągle się jeszcze dymi...

— Nieszczęście! — rzekł pan miecznik.

— Pewnie, że nieszczęście, któremu, jeśli nie było można zapobiec, to należało je pomścić i podobne ruiny z nieprzyjacielskiej stolicy uczynić. Jakoż nie byłoby już od tego daleko, gdyby nie warchołowie, którzy najzacniejsze cnotliwego pana intencje podejrzywając, zdrajcą go ogłosili i opór zbrojny mu stawią, zamiast iść z nim razem na nieprzyjaciela. Nie dziwić się przeto, że zdrowie księcia szwankuje, gdy on, którego Bóg do wielkich rzeczy przeznaczył, widzi, iż złość ludzka coraz nowe impedimenta mu gotuje, przez które całe przedsięwzięcie sczeznąć może. Najlepsi przyjaciele księcia zawiedli, ci na których najwięcej liczył, opuścili go lub do wrogów jego przeszli.

— Tak się stało! — rzekł poważnie pan miecznik.

— Wielka też to jest boleść — odparł Kmicic — i sam słyszałem księcia, gdy mówił: „Wiem, że i zacni źle mnie sądzą, ale czemu to do Kiejdan nie przyjadą, czemu do oczu nie powiedzą mi, co przeciw mnie mają i moich racyj nie chcą wysłuchać?“

— Kogoż to książę ma na myśli? — pytał pan miecznik.

— W pierwszym rzędzie waszmość pana dobrodzieja, dla którego książę rzetelny ma szacunek, a podejrzywa, że do jego nieprzyjaciół się liczysz...

Pan miecznik począł szybko gładzić czuprynę, wreszcie widząc, że rozmowa bierze niepożądany kierunek, zaklaskał w dłonie.

Pachołek ukazał się we drzwiach.

— A to nie widzisz, że się mroczy?... Światła! — zakrzyknął pan miecznik.

— Bóg widzi, — mówił Kmicic, — że miałem i sam intencję powinne służby waszmości złożyć, ale przybyłem zarazem i z rozkazu księcia, który samby się do Billewicz wybrał, gdyby pora była sposobniejsza...

— Za niskie progi! — rzekł miecznik.

— Tego waszmość pan nie mów, gdyż zwyczajna to rzecz, że się sąsiedzi odwiedzają, jeno książę chwili wolnej nie ma, więc tak mi rzekł: „Wytłumacz mnie przed Billewiczem, że sam do niego nie mogę, ale niech on do mnie przyjeżdża z krewną i to koniecznie zaraz, bo jutro lub pojutrze nie wiem, gdzie będę!“ Ot, masz waszmość, z zaprosinami przyjeżdżam i cieszę się, żeście oboje państwo w dobrem zdrowiu, bo gdym tu zajechał, pannę Aleksandrę we drzwiach widziałem, jeno że znikła zaraz, jako tuman na łące.

— Tak jest, — rzekł miecznik, — sam ją wysłałem, by wyjrzała kto przyjechał.

— Czekam na odpowiedź, panie mieczniku dobrodzieju! — rzekł Kmicic.

W tej chwili pachołek wniósł światło i postawił je na stole; przy blasku świec widać było twarz pana miecznika zmieszaną bardzo.

— Zaszczyt to dla mnie niemały, — rzekł, — ale... zaraz nie mogę... Widzisz waszmość, że mam gości... Zechciej mnie przed księciem hetmanem wyekskuzować...

— Już też, panie mieczniku, zgoła to nie przeszkoda, bo przecież ichmościowie księciu panu ustąpią.

— Sami mamy języki w gębie i możemy za siebie odpowiadać! — rzekł pan Chudzyński.

— Nie czekając, co kto o nas postanowi! — dodał pan Dowgird z Plemborga.

— Widzisz, panie mieczniku, — odrzekł Kmicic, udając, że bierze za dobrą monetę burkliwe słowa szlachty, —

wiedziałem, że polityczni to kawalerowie. Zresztą, by im w czem nie ubliżyć, proszę ich także w imieniu księcia do Kiejdan.

— Zbytek łaski! — odrzekli obaj — mamy co innego do roboty.

Kmicic spojrzał na nich szczególnym wzrokiem, a potem rzekł zimno, jak gdyby do czwartej jakiejś osoby:

— Gdy książę prosi, nie wolno odmawiać!

Na to tamci podnieśli się z krzeseł.

— Więc to przymus? — rzekł pan miecznik.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — odparł żywo Kmicic. — Tamci ichmościowie pojadą, czy chcą, czy nie chcą, bo mnie się tak spodobało, ale względem waszmości nie chcę siły używać i proszę najuprzejmiej, byś woli księcia zadość uczynić raczył. Ja jestem na służbie i mam rozkaz waćpana przywieźć, ale póki nie stracę nadziei, że prośbą coś wskóram, póty prosić nie przestanę... i na to waszmości przysięgam, że włos ci tam z głowy nie spadnie. Książę chce się rozmówić z tobą i chce, abyś w tych czasach niespokojnych, w których nawet chłopstwo w kupy zbrojne się zbiera i rabuje, w Kiejdanach zamieszkał. Ot, cała rzecz! Będziesz tam waćpan traktowany z należnym szacunkiem, jako gość i przyjaciel, daję na to parol kawalerski.

— Jako szlachcic protestuję! — rzekł pan miecznik — i prawo mnie broni!

— I szable! — zakrzyknęli Chudzyński i Dowgird.

Kmicic począł się śmiać, zmarszczył brwi i rzekł:

— Waćpanowie schowajcie te szable, bo każę obydwóch pod stodołą postawić i kulą w łeb!

Na to struchleli tamci i poczęli spoglądać na siebie i na Kmicica, a pan miecznik zakrzyknął:

— Gwałt najokropniejszy przeciw wolności szlacheckiej, przeciw przywilejom!

— Nie będzie gwałtu, jeżeli waszmość dobrowolnie usłuchasz — odparł Kmicic — i masz waszmość w tem dowód, żem dragonów we wsi zostawił, a przybyłem tu sam

prosić cię, jako sąsiada do sąsiada. Nie chciejże odmawiać, bo czasy teraz takie, że trudno mieć wzgląd na odmowę. Sam książę waszmości się z tego wyekskuzuje i bądź pewien, że przyjęty będziesz jak sąsiad i przyjaciel. Zrozum i to, że gdyby miało by inaczej, tedy wolałbym sto razy dostać kulą w łeb, niż tu po waćpana przyjeżdżać. Włos nie spadnie z żadnej billewiczowskiej głowy, pókim żyw! Pomyśl waćpan, ktom jest, wspomnij na pana Herakljusza, na jego testament i zastanów się, czyby książę hetman mnie wybrał, gdyby nieszczerze z waszmością zamierzał postąpić.

— To czemu gwałtu używa, czemu pod przymusem mam jechać?... Jakże to mam mu zaufać, gdy cała Litwa mówi o opresji, w jakiej obywatele zacni w Kiejdanach jęczą?

Kmicic odetchnął, bo ze słów i głosu poznał, że pan miecznik poczyna się chwiać w uporze.

— Mości dobrodzieju! — rzekł prawie wesoło. — Między sąsiadami przymus częstokroć w afektach initium bierze. A gdy waszmość miłemu gościowi koła u skarbniczka każesz zdejmować i wasąg w śpichrzu zamykasz, zali to nie przymus? A gdy mu pić każesz, choć mu już nosem wino ucieka, zali to nie przymus?... A tu, wiedz waszmość, że choćby mi przyszło cię związać i między dragonami związanego wieźć do Kiejdan, to jeszcze będzie dla twego dobra... Pomyśl jeno: zbuntowani żołnierze się włóczą i bezprawia czynią, chłopstwo się kupi. szwedzkie wojska się zbliżają. a waść mniemasz, że w tym ukropie uchronisz się od przygody, że cię dziś lub jutro jedni albo drudzy nie zajadą, nie zrabują, nie spalą, na majętności i na osobę waściną się nie targną?... A cóżto, Billewicze forteca? Obronisz się w nich? Czego tedy książę chce dla waszmości? Bezpieczeństwa, bo w jednych Kiejdanach nic ci nie grozi, a tu stanie załoga książęca, która będzie substancji waścinej strzegła, jako oka w głowie, od wszelkiej swawoli żołnierskiej i jeżeli jedne widły zginą, to mi waść zasekwestruj całą fortunę.

Miecznik począł chodzić po komnacie.

— Mogęż ja ufać słowu waszmości?

— Jako Zawiszy! — odparł Kmicic.

W tej chwili panna Aleksandra weszła do komnaty. Kmicic zbliżył się szybko ku niej; lecz nagle wspomniał, co zaszło w Kiejdanach i jej twarz zimna przykuła go na miejscu, więc skłonił się w milczeniu zdaleka.

Miecznik stanął przed nią.

— Mamy jechać do Kiejdan! — rzekł.

— A to poco? — spytała.

— Bo książę hetman prosi...

— Bardzo uprzejmie!... po sąsiedzku!... — dodał Kmicic.

— Tak! bardzo uprzejmie, — rzekł z pewną goryczą pan miecznik, — ale jeżeli nie pojedziem dobrowolnie to ten kawaler ma rozkaz dragonami nas otoczyć i siłą wziąć.

— Niechże Bóg broni, aby do tego przyszło! — rzekł Kmicic.

— Nie mówiłamże stryjowi, — rzekła panna Aleksandra, — uciekajmy jak najdalej, bo nas tu nie zostawią w spokoju... Ot i sprawdziło się!

— Cóż robić! cóż robić! na gwałt niemasz lekarstwa! — zawołał miecznik.

— Tak jest, — rzekła panna, — ale my do tego haniebnego domu nie powinniśmy dobrowolnie jechać. Niechże nas zbójcy biorą, wiążą i wiozą... Nie my jedni będziem cierpieli prześladowanie, nie nas jednych pomsta zdrajców dosięgnie; ale niech wiedzą, że wolimy śmierć, niż hańbę.

Tu zwróciła się z wyrazem najwyższej pogardy do Kmicica:

— Zwiążże nas, panie oficerze, czy panie kacie i przy koniach poprowadź, bo inaczej nie pojedziem!

Krew uderzyła do twarzy Kmicica; zdawało się przez chwilę, że wybuchnie straszliwym gniewem, lecz się przemógł.

— Ach! mościa panno! — odrzekł stłumionym ze wzruszenia głosem — nie mam w twych oczach łaski, skoro chcesz ze mnie uczynić zbója, zdrajcę i gwałtownika. Niech nas Bóg sądzi, kto ma słuszność: czy ja, hetmanowi służąc, czy ty, jak psa mnie poniewierając. Bóg ci dał urodę, ale serce zawzięte i nieubłagane. Radaś sama przycierpieć, by komuś większą jeszcze boleść sprawić. Przebierasz miarę, panno, jako żywo, przebierasz miarę, a to nicpotem!

— Dobrze dziewka mówi! — zakrzyknął pan miecznik, któremu nagle odwagi przybyło — nie pojedziem dobrowolnie!... Bierz nas waść dragonami.

Lecz Kmicic nie uważał na niego wcale, tak był wzburzony i głęboko dotknięty.

— Kochasz się w ludzkiej męce — mówił dalej do Oleńki — i zdrajcą mnie zakrzyknęłaś bez sądu, racyj nie wysłuchawszy, nie pozwoliwszy mi słowa na własną obronę powiedzieć. Niech i tak będzie!... Ale do Kiejdan pojedziesz... z wolą, bez woli, wszystko jedno! Tam moje intencje на jaw wyjdą, tam poznasz, czyliś mnie słusznie skrzywdziła, tam ci sumienie powie, kto z nas czyim był katem! Innej pomsty nie chcę... Bóg z tobą, ale takową muszę mieć. I niczego więcej już od cię nie chcę, bo gięłaś łuk, pókiś go nie złamała... Wąż pod twoją gładkością, jako pod kwieciem siedzi! Bogdaj cię! bogdaj cię!

— Nie pojedziemy! — powtórzył jeszcze rezolutniej pan miecznik.

— Jako żywo! — zakrzyknęli panowie Chudzyński z Ejragoły i Dowgird z Plemborga.

Wówczas Kmicic zwrócił się ku nim, ale już bardzo był blady, bo go gniew dławił i zęby szczękały mu jak w febrze.

— Ejże! — mówił — ejże, nie próbujcie!... Konie słychać, moi dragoni jadą! Powiedz-no który jeszcze słowo, że nie pojedziesz!

Istotnie za oknem słychać było tętent licznych jeźdźców. Ujrzeli wszyscy, że niema rady, a Kmicic rzekł:

— Panno! za dwa pacierze masz być w kolasce, inaczej stryjaszek kulą w łeb dostanie!

I widać coraz bardziej ogarniał go dziki szał gniewu, bo nagle krzyknął, aż szyby zadrżały w oknach:

— W drogę!

Lecz jednocześnie drzwi od sieni otworzyły się cicho i jakiś obcy głos spytał:

— A dokąd to, panie kawalerze?

Wszyscy skamienieli z podziwu i wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, w których stał jakiś mały człowieczek w pancerzu i z gołą szablą w dłoni.

Kmicic cofnął się krokiem, jakoby widmo zobaczył.

— Pan... Wołodyjowski! — zakrzyknął.

— Do usług! — odparł mały człowieczek.

I posunął się na środek izby; za nim weszli hurmem: Mirski, Zagłoba, dwaj Skrzeutscy, Stankiewicz, Oskierka i pan Roch Kowalski.

— Ha! — rzekł Zagłoba — złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Miecznik rosieński począł mówić:

— Ktokolwiek jesteście rycerze, ratujcie obywatela, którego wbrew prawu, urodzeniu, urzędowi chcą aresztować i więzić. Ratujcie, mości panowie bracia, wolność szlachecką!

— Nie bój się waść! ... odparł Wołodyjowski — już dragoni tego kawalera w łykach, a ratunku on więcej teraz od waćpana potrzebuje.

— A najwięcej księdza! — rzekł pan Zagłoba.

— Panie kawalerze, — mówił Wołodyjowski, zwracając się do Kmicica, — nie masz do mnie szczęścia, bo ci drugi raz drogę zachodzę... Nie spodziewałeś się mnie?

— Tak jest! — rzekł Kmicic — myślałem, żeś waść w ręku księcia.

— Właśniem z tych rąk się wyśliznął... a to wiesz, że na Podlasie tędy droga... Ale mniejsza z tem. Gdyś pierwszy raz tę pannę porwał, wyzwałem cię na szable... prawda?

— Tak jest — rzekł Kmicic, sięgając mimowoli dłonią do głowy.

— Teraz inna sprawa. Wówczas byłeś zabijaką, co się między szlachtą często trafia i ostatniej hańby nie przynosi... Dziś jużeś niegodzien, aby ci uczciwy człowiek pole dawał.

— A to czemu? — rzekł Kmicic.

I podniósł dumną głowę do góry i począł patrzeć panu Wołodyjowskiemu prosto w oczy.

— Boś zdrajca i renegat, — odparł pan Wołodyjowski, — boś żołnierzów zacnych, którzy się przy ojczyźnie oponowali, jako kat wycinał, bo waszem to dziełem ta nieszczęsna kraina pod nowem jarzmem jęczy!... Krótko mówiąc: obieraj śmierć, gdyż jako Bóg w niebie, twoja ostatnia godzina nadeszła.

— Jakiem to prawem chcecie mnie sądzić i egzekwować? — pytał Kmicic.

— Mości panie, — odpowiedział poważnie Zagłoba. — pacierz mów, zamiast nas o prawo pytać... A jeśli masz co powiedzieć na swoją obronę, to mów prędko, bo żywej jednej duszy nie znajdziesz, któraby się za tobą ujęła. Raz cię już, słyszałem, ta panna tu obecna wyprosiła z rąk pana Wołodyjowskiego, ale po tem, coś teraz uczynił, pewnie i ona nie ujmie się za tobą.

Tu oczy wszystkich zwróciły się mimowoli na Billewiczównę, której twarz była w tej chwili, jakby z kamienia wykuta. I stała nieruchomie, ze spuszczonemi powiekami. lodowata, zimna, ale nie postąpiła kroku naprzód, nie rzekła ani słowa.

Ciszę przerwał głos Kmicica:

— Ja tej panny o instancję nie proszę!

Panna Aleksandra milczala.

— Bywaj! — krzyknął Wołodyjowski, zwróciwszy się ku drzwiom.

Rozległy się ciężkie stąpania, którym wtórował ponuro brzęk ostróg i sześciu żołnierzy z Józwą Butrymem na czele, weszło do komnaty.

— Wziąć go, — zakomenderował Wołodyjowski, — wyprowadzić za wieś i kulą w łeb!

Ciężka ręka Butryma spoczęła na kołnierzu Kmicica, za nią dwie inne uczyniły toż samo.

— Nie pozwól mnie szarpać jak psa! — rzekł do Wołodyjowskiego pan Andrzej — sam pójdę!

Mały rycerz skinął na żołnierzy, którzy puścili go natychmiast, ale otoczyli dokoła; on też wyszedł spokojnie, nic już do nikogo nie mówiąc, jeno pacierz cicho szepcąc.

Panna Aleksandra wysunęła się także przeciwnemi drzwiami do dalszych komnat. Przeszła jedną i drugą, wyciągając przed sobą w ciemnościach ręce; nagle, w głowie jej się zakręciło, w piersiach tchu zbrakło i padła jak martwa na podłogę.

A między zgromadzonymi w pierwszej izbie głuche przez czas jakiś panowało milczenie; przerwał je nakoniec miecznik rosieński:

— Zali już niema dla niego miłosierdzia? — spytał.

— Żal mi go, — odparł Zagłoba, — bo rezolutnie szedł na śmierć!

Na to Mirski:

— On kilkunastu towarzystwa z pod mojej chorągwi rozstrzelał, prócz tych, których wstępnym bojem położył.

— I z mojej! — rzekł Stankiewicz. — A Niewiarowskiego ludzi w pień podobno wyciął.

— Musiał mieć rozkazy Radziwiłła — rzekł pan Zagłoba.

— Mości panowie, pomstę Radziwiłła na moją głowę ściągniecie! — zauważył miecznik.

— Waszmość musisz uciekać. My jedziem na Podlasie, bo tam się chorągwie przeciw zdrajcom podniosły, a waćpaństwo zabierajcie się zaraz z nami. Niema innej rady. Możecie się do Białowieży schronić, gdzie krewny pana Skrzetuskiego, łowczy dworski, przesiaduje. Tam was nikt nie znajdzie.

— Ale substancja moja przepadnie.

— To Rzeczpospolita waćpanu wróci.

— Panie Michale, — rzekł nagle Zagłoba, — skoczę obaczyć, czy niema przy tym nieszczęśniku jakich rozkazów hetmańskich? Pamiętacie, com przy Rochu Kowalskim znalazł?

— Siadaj waść na koń. Jeszcze czas, bo później się papiery okrwawią. Kazałem go umyślnie za wieś wyprowadzić, by się tu panna huku muszkietów nie przelękła, jako, że niewiasty bywają czułe i płochliwe.

Zagłoba wyszedł i po chwili rozległ się tętent konia, na którym odjeżdżał, zaś pan Wołodyjowski zwrócił się do miecznika.

— A co robi krewna waćpana?

— Modli się pewnie za tę duszę, która przed sąd Boski idzie...

— Niech mu Bóg da wieczne odpocznienie! — rzekł Jan Skrzetuski. — Gdyby nie dobrowolna jego przy Radziwiele służba, pierwszybym za nim przemówił, aleć on, jeśli nie chciał przy ojczyźnie stanąć, to przynajmniej mógł duszy Radziwiłłowi nie zaprzedawać.

— Tak jest! — rzekł Wołodyjowski.

— Winien on i zasłużył na to, co go spotkało! — rzekł Stanisław Skrzetuski — ale wołałbym, żeby na jego miejscu był Radziwiłł, albo Opaliński... och! Opaliński!!

— Jak dalece winien, to w tem macie waćpanowie najlepszy dowód, — wtrącił Oskierka, — że ta panna, której był narzeczonym, słowa dla niego nie znalazła. Uważałem ci ja dobrze, iż w męce była, ale milczała, bo jak tu za zdrajcą się ujmować?!

— A miłowała go niegdyś szczerze, wiem o tem! — rzekł miecznik. — Pozwólcie waćpaństwo, że pójdę obaczyć, co się tam z nią dzieje, boć to dla niewiasty ciężki termin.

— A szykuj się waćpan do drogi! — zawołał mały rycerz — bo my jeno koniom wytchniemy, ruszamy dalej. Za blisko tu Kiejdany, a Radziwiłł musiał tam już wrócić.

— Dobrze — rzekł szlachcic.

I wyszedł z komnaty.

Po chwili rozległ się jego krzyk przeraźliwy. Rycerze skoczyli za głosem, nie rozumiejąc, co się stało, zbiegła się też służba ze światłem i ujrzano pana miecznika dźwigającego Oleńkę, którą był znalazł leżącą bez zmysłów na podłodze.

Wołodyjowski skoczył mu pomagać, i obaj złożyli ją na sofie, nie dającą znaków życia. Zaczęto cucić. Nadbiegła stara klucznica z kordjałami i wreszcie panienka otworzyła oczy.

— Nic tu po waćpanach, — rzekła stara klucznica, — idźcie do tamtej izby, a my damy już sobie radę.

Miecznik wyprowadził gości.

— Wolałbym, żeby tego wszystkiego nie było — mówił skłopotany gospodarz. — Waszmościowie moglibyście zabrać ze sobą tego nieszczęśnika i gdzieś tam po drodze go zgładzić, a nie u mnie. Jakże tu teraz jechać, jak uciekać, gdy dziewka ledwie żywa?... Gotowa się rozchorować.

— Stało się — rzekł Wołodyjowski. — Wsadzim pannę w kolaskę, bo uciekać waćpaństwo musicie, gdyż zemsta radziwiłłowska nikogo nie oszczędza.

— Może też i panna do sił wprędce przyjdzie? — rzekł Jan Skrzetuski.

— Kolaska wygodna jest gotowa i zaprzężona, bo Kmicic ją ze sobą przyprowadził — rzekł Wołodyjowski. — Idź waćpan, panie mieczniku, powiedz pannie, jak się rzecz ma i że nie można ucieczki zwłóczyć, niech siły zbierze. My musimy jechać, a do jutra rana mogą tu radziwiłłowscy nadciągnąć.

— Prawda, — rzek miecznik, — idę!

Poszedł i po pewnym czasie wrócił z krewniaczką, która nietylko siły odzyskała, ale była już przybrana do drogi. Na twarzy jeno miała silne rumieńce i oczy błyszczące gorączkowo.

— Jedźmy, jedźmy!... powtórzyła, wszedłszy do izby.

Wołodyjowski wyszedł na chwilę do sieni, by ludzi

wysłać po kolaskę, poczem wrócił i wszyscy poczęli się zbierać do drogi.

— Zanim upłynął kwadrans, za oknami rozległ się hurkot kół i tupotanie kopyt końskich po bruku, którym droga przed gankiem była wymoszczona.

— Jedźmy! — rzekła Oleńka.

— W drogę! — zawołali oficerowie.

Wtem drzwi roztwarły się narozcież i pan Zagłoba wpadł jak bomba do komnaty.

— Wstrzymałem egzekucję! — zakrzyknął.

Oleńka z rumianej zrobiła się w jednej chwili biała jak kreda; zdawało się, że znów zemdleje, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo wszystkie oczy zwrócone były na Zagłobę, który oddychał tymczasem jak wieloryb, starając się dech złapać.

— Wstrzymałeś waćpan egzekucję? — pytał zdziwiony Wołodyjowski. — A to czemu?

— Czemu?... Niech odsapnę... Oto temu, że gdyby nie ów Kmicic, że gdyby nie ów zacny kawaler, tobyśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, wisieli wypatroszeni na kiejdańskich drzewach... Uf... Dobrodzieja naszego chcieliśmy zabić, mości panowie!... Uf!...

— Jak to może być? — zakrzyknęli wszyscy razem.

— Jak może być? Czytajcie ten list, będziecie mieli odpowiedź.

Tu pan Zagłoba podał pismo Wołodyjowskiemu, ów zaś począł czytać, przerywając co chwila i spoglądając na towarzyszów, był to bowiem ów list, w którym Radziwiłł wymawiał gorzko Kmicicowi, że na jego natarczywe instancje uwolnił ich od śmierci w Kiejdanach.

— A co? — powtarzał za każdą przerwą pan Zagłoba.

List kończył się, jak wiadomo, poleceniem, by Kmicic miecznika i Oleńkę do Kiejdan sprowadził. Pan Andrzej miał go widocznie dlatego przy sobie, aby w razie potrzeby okazać go miecznikowi, lecz do tego nie przyszło.

Przedewszystkiem jednak nie pozostawał żaden cień

wątpliwości, że gdyby nie Kmicic, obaj Skrzetuscy, pan Wołodyjowski i Zagłoba byliby bez miłosierdzia pomordowani w Kiejdanach, zaraz po owym słynnym układzie z Pontusem de la Gardie.

— Mości panowie! — rzekł Zagłoba — jeśli teraz jeszcze każecie go rozstrzelać, to jak mi Bóg miły, porzucę waszą kompanję i znać was nie chcę!...

— Tu niema o tem mowy — odpowiedział Wołodyjowski.

— Aj! — rzekł Skrzetuski, biorąc się oburącz za głowę — jakie to szczęście, żeś ojciec zaraz tam list przeczytał, zamiast się z nim wracać do nas...

— Waści szpakami musieli zamłodu karmić! — zawołał Mirski.

— Ha! co? — zawołał Zagłoba. — Każdy inny wpierwby tu wrócił z wami list czytać, a tamtemuby przez ten czas w łeb ołowiu napchano. Ale jak mi tylko przyniesiono papier, który przy nim znaleziono, tak zaraz mnie coś tknęło i że to z przyrodzenia mam do wszystkiego ciekawość. A tam dwóch z latarkami szło naprzód i już byli na łące. Mówię im tedy: „Poświećcie-no mi, niech wiem, co tu stoi!“... I zacząłem czytać... To, mówię waćpanom, aż mnie zmroczyło, jakoby mnie kto pięścią w łysinę bachnął. „Na Boga!“ — mówię — „panie kawalerze, czemu to tego listu nie pokazałeś?!“ A on na to: „Bo mi się nie spodobało!“ Taka jucha harda nawet w godzinę śmierci. Ale ja, kiedy to go nie porwę, kiedy nie zacznę obejmować. „Dobrodzieju“, — mówię, — „żeby nie ty, jużby nas wrony strawiły!“ Kazałem go tedy nazad brać i tu prowadzić, a sam ledwiem z konia ducha nie wyparł, ażeby wam jak najprędzej powiedzieć, co się przygodziło... Uf!...

— Dziwny to jest człowiek, w którym widać tyle dobrego, co i złego mieszka — rzekł Stanisław Skrzetuski. — Gdyby tacy nie chcieli...

Lecz zanim skończył, drzwi się otworzyły i żołnierze wprowadzili Kmicica.

— Wolny jesteś, panie kawalerze — rzekł odrazu Wołodyjowski — i pókiśmy żywi, żaden z nas się na ciebie nie targnie. Cóżeś za desperat, żeś tego listu odrazu nie pokazał? Nie bylibyśmy cię turbowali.

Tu zwrócił się do żołnierzy:

— Odstąpić i na koń wszyscy siadać!

Żołnierze cofnęli się i pan Andrzej został sam na środku izby. Twarz miał spokojną, ale chmurną i nie bez dumy patrzył na oficerów przed nim stojących.

— Wolnyś jest! — powtórzył Wołodyjowski — wracaj dokąd chcesz, choćby do Radziwiłła, lubo bolesno to jest widzieć kawalera z zacnej krwi, zdrajcy przeciw ojczyźnie pomagającego.

— Namyśl się więc waćpan dobrze, — rzekł Kmicic, — bo to zgóry zapowiadam, że nie gdzie indziej, jeno do Radziwiłła wrócę!

— Przystań do nas, niech piorun w tego kiejdańskiego tyrana trzaśnie! — zawołał Zagłoba. — Będziesz nam przyjacielem i towarzyszem najmilszym, a ojczyzna matka przebaczy ci, coś przeciw niej zawinił!

— Za nic! — rzekł z energją Kmicic — Bóg to rozsądzi, kto lepiej ojczyźnie służy, czy wy, wojnę domową na własną odpowiedzialność wszczynając, czy ja, służąc panu, który sam jeden uratować tę nieszczęsną Rzeczpospolitą może. Idźcie w swoją drogę, ja pójdę w swoją! Nie pora was nawracać i nanic ta robota, jeno to wam z głębi duszy mówię: wy to ojczyznę gubicie, wy wpoprzek jej ratunkowi stajecie. Zdrajcami was nie nazwę, bo wiem, że intencje wasze zacne, ale ot! co jest! ojczyzna tonie, Radziwiłł jej rękę wyciąga, a wy mieczami tę rękę bodziecie i w zaślepieniu zdrajcami czynicie jego i tych wszystkich, którzy przy niej stawają.

— Dlaboga! — rzekł Zagłoba — gdybym nie widział jakeś waćpan rezolutnie szedł na śmierć, myślałbym, że strach zmysły ci pomieszał. Komużeś przysięgał: Radzi-

wiłłowi, czy Janowi Kazimierzowi? Szwecji, czy Rzeczypospolitej? Zmysły waćpan straciłeś!

— Wiedziałem, że na nic się nie przyda was nawracać!... Bądźcie zdrowi!

— Czekaj-no jeszcze, — rzekł Zagłoba, — bo tu o ważną rzecz chodzi. Powiedz-no, panie kawalerze, czy Radziwiłł przyrzekł ci, że nas oszczędzi, gdyś go o to w Kiejdanach prosił?

— Tak jest! — rzekł Kmicic. — Mieliście przez czas wojny w Birżach zostawać.

— Poznajże twojego Radziwiłła, który nietylko ojczyznę, nietylko króla, ale własnych sług zdradza. Oto jest pismo do komendanta birżańskiego, którem znalazł przy oficerze, nad konwojem komendę mającym. Czytaj!

To rzekłszy, pan Zagłoba podał list hetmański Kmicicowi. Ów wziął go do rąk i począł przebiegać oczyma, a w miarę jak czytał, krew mu napływała do twarzy i rumieniec wstydu za swego wodza coraz silniej oblewał czoło. Nagle zmiął list w ręku i rzucił na ziemię.

— Bądźcie zdrowi! —rzekł. — Lepiej mi było zginąć z rąk waszych!

I wyszedł z izby.

— Mości panowie, — rzekł po chwili milczenia Skrzetuski, — trudna z tym człowiekiem sprawa, bo jako Turek w swego Mahometa, tak on wierzy w swego Radziwiłła. Sam myślałem, jako i wy, że mu dla korzyści, albo dla ambicji służy, ale to tak nie jest. Niezły to człowiek, jeno obłąkany.

— Jeśli swego Mahometa dotąd wyznawał, — rzekł Zagłoba, — tom djablo w nim ową wiarę podkopał. Widzieliście, jak nim rzuciło, skoro list przeczytał. Będzie tam między nimi szarwark niemały, bo to kawaler gotów samemu djabłu, nietylko Radziwiłłowi, do oczu skoczyć. Jak mi Bóg miły, żeby mi kto stado tureckie darował, nie ucieszyłbym się tak, jak z tego, żem go od śmierci wybawił.

— Prawda jest, — rzekł pan miecznik, — waćpanu on życie zawdzięcza, nikt tego nie będzie negował.

— Bóg z nim! — rzekł Wołodyjowski — radźmy teraz, co czynić.

— A cóż? siadać i jechać w drogę... Koniska też się trochę wydychały — odpowiedział pan Zagłoba.

— Tak jest. Jechać nam jak najprędzej! A waszmość pojedziesz z nami? — zapytał miecznika Mirski.

— Nie osiedzę ja się tu spokojnie i muszę jechać także... Ale jeśli waszmościowie zaraz chcecie ruszać w drogę, to powiem szczerze, że mi to nie na rękę z wami zaraz się zrywać. Skoro tamten żywy odjechał, toć mnie tu zaraz nie spalą, ani nie zamordują, a do takiej drogi trzeba się w to i owo zaopatrzyć. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę... Trzeba tem i owem rozporządzić, co lepsze rzeczy ukryć, inwentarze wysłać do sąsiadów, łuby spakować. Mam też i trochę gotowizny, którąbym też chciał na wóz zabrać. Do jutra do świtu będę gotów, ale tak łap cap nie mogę.

— My też nie możem czekać, bo miecz wisi nad nami — odrzekł Wołodyjowski. — A waćpan gdzie się chcesz schronić?

— W puszczy, wedle waszej rady... Dziewczynę przynajmniej tam zostawię, bom sam jeszcze niestary i moja szablina przydać się ojczyźnie i królowi jegomości może.

— To tedy bądź waszmość zdrów... Daj Bóg, abyśmy się w lepszych czasach spotkali.

— Niech Bóg nagrodzi waszmościów za to, żeście mi na ratunek przyszli. Pewnie się tam gdzie w polu obok siebie zobaczymy.

— Dobrego zdrowia!

— Szczęśliwej drogi!

I poczęli się żegnać z sobą, a potem każdy przychodził kłaniać się pannie Aleksandrze.

— Żonę moją waćpanna w puszczy zobaczysz i chłopczyków, uściskaj ich tam ode mnie i kwitnij w dobrem zdrowiu — rzekł Jan Skrzetuski.

— A wspomnij czasem żołnierza, który choć nie miał

do cię szczęścia, rad ci zawsze nieba przychylić! — dodał Wołodyjowski.

Po nich zbliżali się inni. Wreszcie przyszedł i Zagłoba.

— Przyjm, wdzięczny kwiątuszku, i od starego pożegnanie! Uściskaj panią Skrzetuską i moich basałyków. Setne to chłopy.

Zamiast odpowiedzi, Oleńka chwyciła go za rękę i przycisnęła ją w milczeniu do ust.

ROZDZIAŁ VII.

Tejże nocy, najdalej we dwie godziny po odjeździe oddziału Wołodyjowskiego, przybył do Billewicz na czele jazdy sam Radziwiłł, który Kmicicowi na odsiecz szedł, bojąc się, by ten nie wpadł w ręce Wołodyjowskiego. Dowiedziawszy się, co zaszło, zagarnął miecznika wraz z Oleńką i do Kiejdan, nie wypocząwszy nawet koniom, wracał.

Hetman niezmiernie był wzburzony, słuchając opowieści z ust miecznika, który wszystko szeroko opowiadał, chcąc od siebie uwagę groźnego magnata odwrócić. Nie śmiał też protestować dla tej samej przyczyny przeciw wyjazdowi do Kiejdan i rad był w duszy, że się na tem burza skończyła. Radziwiłł zaś, chociaż pana miecznika o „praktyki“ i zmowy podejrzywał, miał istotnie zbyt wiele trosk, ażeby o tem w tej chwili pamiętać.

Ucieczka Wołodyjowskiego mogła zmienić rzeczy na Podlasiu. Horotkiewicz i Jakób Kmicic, którzy tam stali na czele chorągwi skonfederowanych przeciw hetmanowi, byli to dobrzy żołnierze, ale niedość poważni, skutkiem czego cała konfederacja nie miała powagi. Tymczasem z Wołodyjowskim uciekli tacy ludzie, jak Mirski, Stankiewicz i Oskierka, nie licząc samego małego rycerza, wszyscy oficerowie wyborni i otoczeni mirem powszechnym.

Wszakże był na Podlasiu i książę Bogusław, który z nadwornemi chorągwiami opierał się konfederatom, ocze-

kując przytem ciągle pomocy od wuja elektora; ale wuj elektor marudził, widocznie czekał na wypadki; oporne zaś wojska rosły w siłę i codzień przybywało im stronników.

Hetman przez jakiś czas chciał sam ruszyć na Podlasie i jednym zamachem zgnieść buntowników, ale wstrzymywała go myśl, że niech tylko nogą z granic Żmudzi wyruszy, wnet cały kraj powstanie i powaga radziwiłłowska zmaleje w takim wypadku w oczach szwedzkich do zera. Namyślał się więc książę nad tem, czyby Podlasia całkiem narazie nie opuścić i ks. Bogusława na Żmudź nie ściągnąć.

Było to potrzebne i pilne, bo z drugiej strony dochodziły groźne wieści o działaniach pana wojewody witebskiego. Próbował hetman pojednać się z nim i wciągnąć go do swych planów, ale Sapieha odesłał listy bez odpowiedzi; mówiono natomiast, że się licytuje, sprzedaje co może, srebra przetapia na monetę, stada za gotowy grosz oddaje, makaty i kobierce nawet Żydom zastawia, majętności wydzierżawia, a wojska ściąga.

Hetman z natury chciwy i do ofiar pieniężnych niezdolny, wierzyć początkowo nie chciał, by ktoś bez wahania całą swą fortunę na ołtarz ojczyzny rzucał; ale czas przekonał go, że tak było w istocie, bo Sapieha z każdym dniem rósł w wojskową potęgę. Garnęli się do niego zbiegowie, szlachta osiadła, patrjoci, nieprzyjaciele radziwiłłowscy, ba, gorzej — i dawniejsi przyjaciele, i jeszcze gorzej, bo nawet krewni hetmańscy jako książę łowczy Michał, o którym przyszła wiadomość, iż rozkazał, aby wszystkie intraty z dóbr jego jeszcze przez nieprzyjaciela nie zajętych, były oddane na wojsko wojewodzie witebskiemu.

Tak to rysował się od fundamentów i chwiał się gmach, zbudowany przez pychę Janusza Radziwiłła. Cała Rzeczpospolita miała się w tym gmachu zmieścić, a tymczasem okazało się wprędce, że jednej Żmudzi objąć nie może.

Położenie coraz było podobniejsze do błędnego koła, bo naprzykład przeciw wojewodzie witebskiemu mógł Radziwiłł wezwać wojska szwedzkie, które coraz więcej

kraju stopniowo zajmowały. ale byłoby to przyznać się do bezsilności. Zresztą stosunki hetmana z generalissimusem szwedzkim były od czasu klawańskiej potyczki, dzięki pomysłowi pana Zagłoby, zachwiane i pomimo wyjaśnień, panowało między nimi rozdrażnienie i nieufność.

Hetman wyprawiając się w pomoc Kmicicowi, miał był nadzieję, że jeszcze może Wołodyjowskiego pochwyci i zniesie, więc gdy i to wyrachowanie zawiodło, wracał do Kiejdan zły i chmurny. Dziwiło go to także, że Kmicica w drodze do Billewicz nie zdybał, co stało się dlatego, że pan Andrzej, którego dragonów pan Wołodyjowski nie omieszkał zabrać z sobą. wracał sam jeden, więc wybrał się krótszą drogą. lasami, omijając Plemborg i Ejragołę.

Po całej nocy spędzonej na koniu, w południe następnego dnia stanął hetman wraz z wojskiem napowrót w Kiejdanach i pierwsze jego pytanie było o Kmicica. Odpowiedziano mu, że wrócił, ale bez żołnierzy. O tej ostatniej okoliczności wiedział już książę, ale ciekaw był usłyszeć z ust samego Kmicica relacji, więc kazał go natychmiast wołać do siebie.

— Nie udało ci się jako i mnie — rzekł, gdy Kmicic stanął przed nim. — Mówił mi już miecznik rosieński, żeś wpadł w ręce tego małego djabła.

— Tak jest! — rzekł Kmicic.

— I list mój cię wyratował?

— O którym liście wasza ks. mość mówisz? Bo oni przeczytawszy sami ten. który znaleźli przy mnie, przeczytali mi w nagrodę drugi, któryś w. ks. mość do komendanta birżańskiego pisał?

Ponura twarz Radziwiłła pokryła się jakoby krwawym obłokiem.

— Więc ty wiesz?...

— Wiem! — odrzekł zapalczywie Kmicic. — Jak w. ks. mość mogłeś tak ze mną postąpić? Szlachcicowi prostemu wstyd słowo łamać, a cóż dopiero księciu i wodzowi...

— Milcz! — rzekł Radziwiłł.

— Nie zmilczę, bom tam przed tymi ludźmi oczami za waszą ks. mość świecić musiał! Ciągnęli mnie, żebym do nich przystał, a jam nie chciał i powiedziałem im: „Radziwiłłowi służę, bo przy nim słuszność, przy nim cnota!“ Na to pokazali mi ów list: „Patrz, jaki twój Radziwiłł“ — a jam musiał gębę stulić i wstyd łykać...

Wargi hetmana poczęły drgać z wściekłości. Ogarnęła go dzika żądza skręcić tę zuchwałą głowę z karku i już, już ręce podnosił, aby na służbę zaklaskać. Gniew zasłaniał mu oczy, tamował oddech w piersiach i pewnie drogoby przyszło Kmicicowi zapłacić za wybuch, gdyby nie nagły atak astmy, który w tej chwili pochwycił księcia. Twarz mu sczerniała, zerwał się z krzesła i rękoma począł bić powietrze, oczy wyszły mu na wierzch głowy, a z gardzieli wydobył się chrapliwy ryk, w którym Kmicic zaledwie zrozumiał słowo:

— Duszę się!...

Na uczyniony alarm zbiegła się służba, nadworni medycy i poczęto cucić księcia, który zaraz stracił przytomność. Cucono z godzinę, a gdy wreszcie począł dawać ślady życia, Kmicic wyszedł z komnaty.

Na korytarzu spotkał Charłampa, który się był już podleczył z ran i stłuczeń otrzymanych w bitwie ze zbuntowanymi Węgrami Oskierki.

— A co nowego? — spytał wąsacz.

— Już przyszedł do siebie! — odpowiedział Kmicic.

— Hm! Ale lada dzień może nie przyjść! Zła nasza, panie pułkowniku, bo jak książę zemrze, to się jego uczynki na nas skrupią. Cała nadzieja w Wołodyjowskim, że starych towarzyszów będzie osłaniał, dlatego też powiem waszej mości (tu pan Charłamp głos zniżył) kontent jestem, że się wymknął.

— To już mu tak ciasno było?

— Co to ciasno! Imaginuj sobie wasza mość, w tej olszynie, w którejśmy go otoczyli, wilki były i nie wymknęły się, a on się wymknął. Niech go kule biją. Kto wie, kto wie,

czy nie przyjdzie się go za połę uchwycić, bo jakoś tu koło nas kuso. Szlachta okrutnie się od naszego księcia odwraca i wszyscy mówią, że wolą prawdziwego nieprzyjaciela, Szweda, Tatara nawet, niż renegata. Ot, co jest! A tu precz książę pan każe coraz więcej obywatelów łapać i więzić — co, między nami rzekłszy, jest przeciw prawu i wolności. Przywieziono dziś pana miecznika rosieńskiego!...

— A? to go przywieziono?

— A jakże i z krewniaczką. Panna jako migdał! Powinszować waszej mości!

— Gdzież ich postawiono?

— W prawem skrzydle. Zacne pokoje im dano, nie mogą się skarżyć, chyba na to, że warta pode drzwiami chodzi. A kiedy wesele, panie pułkowniku?

— Jeszcze kapela na to wesele nie zamówiona. Bywaj waćpan zdrów! — rzekł Kmicic.

I pożegnawszy pana Charłampa, udał się do siebie. Bezsenna noc, burzliwe jej wypadki i ostatnie zajście z księciem, zmęczyły go tak, że zaledwie na nogach mógł ustać. A przytem, jako ciału strudzonemu i zbitemu każde dotknięcie ból sprawia, tak on duszę miał zbolałą. Proste pytanie Charłampa: — Kiedy wesele? — ubodło go dotkliwie, bo wnet stanęła mu, jako żywa, przed oczyma, lodowata twarz Oleńki i jej usta zaciśnięte, wówczas gdy ich milczenie potwierdzało wyrok śmierci na niego. Mniejsza, czy słowo jej prośby mogło go zbawić, czy pan Wołodyjowski byłby na nie zważał! Cały żal i ból, jaki Kmicic odczuwał w tej chwili, tkwił w tem, że ona nie wymówiła tego słowa. A przecie po dwakroć poprzednio nie wahała się go ratować. Takaż to już przepaść była między nimi, tak dalece wygasła w jej sercu, nie już miłość, lecz prosta życzliwość, którą nawet dla obcego mieć można, prosta litość, którą dla każdego mieć trzeba? Im więcej myślał nad tem Kmicic, tem okrutniejszą wydawała mu się Oleńka, tem większy czuł do niej żal, tem głębszą urazę. — Cóżem takiego uczynił? — pytał sam siebie — aby mną

tak, jak przeklętym przez kościół, pogardzano? Choćby i źle było Radziwiłłowi służyć, to przecie czuję się w tem niewinnym, bo z ręką na sumieniu powiedzieć mogł, że nie dla promocji, nie dla zysków, nie dla chlebów mu służę, jeno, że korzyść dla ojczyzny w tem widzę — za cóż bez sądu mnie potępiono?...

— Dobrze, dobrze! Niechże tak będzie! Nie pójdę z win niepopełnionych się oczyszczać, ani miłosierdzia prosić! — powtarzał sobie po tysiąc razy.

A jednak ból nie ustawał, owszem wzmagał się coraz bardziej. Wróciwszy do swych komnat, rzucił się pan Andrzej na łoże i próbował zasnąć, lecz mimo całego umęczenia nie mógł. Po chwili wstał i począł chodzić po komnacie. Od czasu do czasu ręce do czoła przykładał i mówił do siebie głośno.

— Nie może być inaczej, jeno serce w tej dziewce zawzięte!

I znowu:

— Tegom się po tobie, panno, nie spodziewał... Bogdaj ci Bóg za to zapłacił!!...

Na takich rozmyślaniach upłynęła mu godzina jedna i druga, nakoniec znużył się doreszty i drzemać począł, siedząc na łożu, lecz nim zasnął, zbudził go dworzanin książęcy, pan Szkiłłądź, i wezwał do księcia.

Radziwiłł czuł się już lepiej i oddychał swobodniej, ale na ołowianej jego twarzy znać było osłabienie wielkie. Siedział w głębokiem krześle, skórą obitem, mając przy sobie medyka, którego zaraz, porówno z wejściem Kmicica, odesłał.

— Byłem już jedną nogą na tamtym świecie, i przez ciebie! — rzekł do pana Andrzeja.

— Mości książę, nie moja wina; powiedziałem, com myślał.

— Niechże tego więcej nie będzie. Nie dorzucaj choć ty ciężaru do brzemienia, które dźwigam i to wiedz, że co tobie przebaczyłem, innemubym nie przebaczył.

Kmicic milczał.

— Jeśli kazałem — rzekł po chwili książę — tych ludzi w Birżach egzekwować, którym na twoją prośbę przebaczyłem w Kiejdanach, to nie dlatego, żem cię chciał zwodzić, jeno, by ci boleści oszczędzić. Uległem pozornie, bo mam dla ciebie słabość... A ich śmierć była konieczna. Czy tom ja kat, czy myślisz, że krew rozlewam dlatego jeno, by oczy czerwoną barwą napaść?... Ale gdy pożyjesz dłużej, poznasz, że gdy ktoś chce czegoś na świecie dokazać, temu nie wolno większych spraw dla mniejszych poświęcać. Ci ludzie powinni byli zginąć tu, w Kiejdanach, bo patrz, co się przez twoją instancję stało: w kraju spór podsycony, wojna domowa rozpoczęta, dobra przyjaźń ze Szwedami zachwiana, zły przykład innym dany, od którego bunt, jako zaraza się szerzy. Mało tego: sam osobą swoją musiałem później wyprawę na nich uczynić i konfuzji wobec wszystkiego wojska się najeść, tyś ledwie z ich rąk nie zginął, a teraz pójdą na Podlasie i głowami buntu się staną. Patrz i ucz się! Gdyby zginęli w Kiejdanach, nie byłoby tego wszystkiego. Aleś ty, prosząc za nich, o afektach własnych tylko myślał, ja zaś posłałem ich po śmierć do Birż, bom doświadczeńszy, bo dalej widzę, bo wiem to z praktyki, że kto w pędzie chociaż o mały kamień się potknie, ten łatwo upadnie, a kto upadnie, ten może się więcej nie podnieść i tem snadniej, im przedtem biegł szybciej... Niech Bóg broni ile złego narobili ci ludzie!

— Tyle oni nie zaważą, aby mogli całe przedsięwzięcie waszej ks. mości popsować.

— Choćby nic więcej nie uczynili nad to, że za ich przyczyną dyfidencje między mną a Pontusem powstały, już szkoda byłaby nieoszacowana. Rzecz się już wyjaśniła, że to byli nie moi ludzie, ale list z pogróżkami, który do mnie Pontus napisał, pozostał i tego listu mu nie daruję!... Jest Pontus szwagrem królewskim, ale to jeszcze wątpliwa, czy moim mógłby zostać i czyby radziwiłłowskie progi nie były dla niego za wysokie...

— Wasza ks. mość niech z samym królem, nie z jego sługami traktuje.

— Tak chcę uczynić... I jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, nauczę tego Szwedzika modestji... Jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, a bodaj czy się na tem nie skończy, bo mi tu cierniów, ani boleści, nikt nie szczędzi... Ciężko mi! ciężko!... Ktoby uwierzył, żem jest ten sam, który byłem pod Łojowem, pod Rzeczycą, Mozyrzem, Turowem, Kijowem i Beresteczkiem?... Cała Rzeczpospolita patrzyła jeno we mnie i w Wiśniowieckiego, jako w dwa słońca!... Wszystko drżało przed Chmielnickim, a on drżał przede mną. I te same wojska, które w czasach powszechnej klęski od wiktorji do wiktorji wiodłem, dziś mnie opuściły i rękę na mnie, jako parrycydowie podnoszą...

— Przecie nie wszyscy, bo są tacy, którzy w waszą ks. mość jeszcze wierzą! — rzekł dość porywczo Kmicic.

— Jeszcze wierzą... póki nie przestaną? — odpowiedział z goryczą Radziwiłł. — Wielka ichmościów łaska!... Dałby Bóg tylko, żebym się nią nie otruł... Sztych za sztychem każdy z was wbija we mnie, choć niejednemu to na myśl nie przychodzi...

— Wasza ks. mość na intencje zważaj, nie na słowa.

— Dziękuję za radę... Odtąd pilnie będę zważał, jaką mi każden gemajna twarz pokazuje... i pilnie zabiegał, aby się wszystkim spodobać...

— Gorzkie to słowa, w ks. mość.

— A życie słodkie?... Bóg mnie do wielkich rzeczy stworzył, a ja muszę, ot! wykruszać siły w powiatowej wojnie, jaką zaścianek z zaściankiem mógłby prowadzić. Chciałem z monarchami potężnymi się mierzyć, a upadłem tak nisko, że muszę jakiegoś pana Wołodyjowskiego po moich własnych majętnościach łowić. Zamiast świat dziwić moją siłą, dziwię go moją słabością; zamiast za popioły Wilna popiołami Moskwy zapłacić, muszę ci dziękować, żeś Kiejdany szańczykami obsypał... Ciasno mi... i duszę się... nietylko dlatego, że astma mnie dusi... Niemoc mnie zabija...

Bezczynność mnie zabija... Ciasno mi i ciężko!... Rozumiesz?...

— Myślałem i ja, że pójdzie inaczej!... rzekł ponuro Kmicic.

Radziwiłł począł oddychać z wysileniem.

— Przedtem, nim inna mnie korona dojdzie, cierniową mi włożono. Kazałem ministrowi Adersowi w gwiazdy popatrzeć... Zaraz erygował figurę i mówi, że złe są konjunktury, ale że to przejdzie. Tymczasem męki cierpię... W nocy coś mi spać nie daje, coś chodzi po komnacie... Jakoweś twarze zaglądają mi do łoża, a czasem chłód się nagły czyni... To znaczy, że śmierć koło mnie przechodzi... Męki cierpię... Muszę być jeszcze na zdrady i odstępstwa gotowy, bo wiem, że są tacy, którzy się chwieją...

— Niema już takich! — odpowiedział Kmicic. — Kto miał odstąpić, to już sobie precz poszedł!

— Nie zwódź, sam to widzisz, że reszta polskich ludzi poczyna się oglądać za siebie.

Kmicic wspomniał na to, co od Charłampa słyszał i umilkł.

— Nic to! — rzekł Radziwiłł — ciężko, straszno, ale trzeba przetrwać... Nie mów nikomu o tem, coś tu ode mnie słyszał... Dobrze, że ten atak choroby dziś na mnie przyszedł, bo już się nie powtórzy, a na dziś właśnie sił mi potrzeba, bo chcę ucztę wyprawić i wesołą twarz pokazywać, by ducha w ludziach pokrzepić... I ty się rozpogódź, a nie mów nic nikomu, bo co ja ci mówię, to jeno dlatego, abyś choć ty mnie nie dręczył... Gniew mnie dziś uniósł... Pilnuj, aby się to nie powtórzyło, bo o głowę twoją chodzi. Alem ci już przebaczył... Tych szańczyków, któremiś Kiejdany obsypał, sam Petersonby się nie powstydził... Idź teraz, a przyszlij mi Mieleszkę. Sprowadzono dziś zbiegów z pod jego chorągwi, samych gemajnów. Każę mu ich powiesić co do jednego... Trzeba przykład dać... Bądź zdrów... Ma dziś być wesoło w Kiejdanach!...

ROZDZIAŁ VIII.

Miecznik rosieński ciężką miał przeprawę z panną Aleksandrą, zanim zgodziła się pójść na ową ucztę, którą hetman dla swych ludzi wyprawił. Musiał tedy błagać prawie ze łzami uporną a śmiałą dziewczynę i zaklinać, że tu o jego głowę chodzi, że wszyscy, nietylko wojskowi, ale i obywatele zamieszkali w okolicy Kiejdan na długość ramienia Radziwiłła, mają się stawić pod groźbą gniewu książęcego, jakże więc opierać się mogą ci, którzy na łaskę i niełaskę strasznego człowieka są wystawieni. Panna, nie chcąc narażać stryja, ustąpiła.

Jakoż zjazd był niemały, bo wielu okolicznej szlachty wraz z żonami i córkami przypędził. Lecz wojskowych było najwięcej, a zwłaszcza oficerów cudzoziemskiego autoramentu, którzy prawie wszyscy przy księciu wytrwali. Sam on, zanim ukazał się gościom, przygotował twarz pogodną, jak gdyby żadna troska nie zaciężyła mu poprzednio — pragnął bowiem tą ucztą nietylko we własnych stronnikach i wojskowych ducha ożywić, ale okazać, że ogół obywateli po jego stronie stoi — a tylko swawolnicy opierają się unji ze Szwecją; pragnął okazać, że kraj cieszy się z nim razem, więc nie szczędził zabiegów, ni kosztów, by uczta była wspaniała i by echo o niej rozeszło się jak najdalej po kraju. Zaledwie więc mrok pokrył ziemię, setki beczek zapłonęło na drodze zamkowej i dziedzińcu, od czasu do czasu armaty grzmiały, a żołnierstwu przykazano wydawać wesołe okrzyki.

Ciągnęły tedy jedna za drugą kolaski, karabony i bryki, wiozące personatów okolicznych i „tańszą“ szlachtę. Dziedziniec zapełnił się pojazdami, końmi i służbą, bądź przybyłą z gośćmi, bądź miejscową. Tłumy strojne w aksamity i lamy i kosztowne futra, zapełniły salę tak zwaną „złotą“, a gdy książę ukazał się wreszcie cały jaśniejący od drogich kamieni i z łaskawym uśmiechem na ponurej zwykle, a przy-

tem wyniszczonej teraz chorobą twarzy, pierwsi oficerowie zakrzyknęli jednogłośnie:

— Niech żyje książę hetman! Niech żyje wojewoda wileński.

Radziwiłł rzucił nagle oczyma po zebranem obywatelstwie, chcąc się przekonać, czy zawtórują okrzykowi żołnierzy. Jakoż kilkanaście głosów z lękliwszych piersi powtórzyło okrzyk, zaś książę zaraz począł kłaniać się i dziękować za afekt szczery i „jednomyślny".

— Z wami, mości panowie! — mówił — damy rady tym, którzy chcą zgubić ojczyznę! Bóg wam zapłać! Bóg wam zapłać!...

I chodził naokół po sali, zatrzymywał się przed znajomymi, nie szczędząc w mowie tytułów: „panie bracie" i „miły sąsiedzie" — i niejedna twarz chmurna rozpogadzała się pod wpływem ciepłych promieni łaski pańskiej.

— Już też niepodobna, — mówili ci, którzy doniedawna z niechęcią patrzyli na jego czyny, — aby taki pan i tak wysoki senator nieszczerze ojczyźnie życzył; albo więc nie mógł inaczej postąpić jak postąpił, albo arcana w tem jakieś tkwią, które na pożytek Rzeczypospolitej wyjdą.

— Jakoż od drugiego nieprzyjaciela mamy już więcej odetchnienia, który nie chce się powadzić o nas ze Szwedami.

— Dajże Boże, aby wszystko zmieniło się na lepsze!

Byli wszelako i tacy, którzy głowami, albo wzrokiem mówili sobie wzajem: — jesteśmy tu, bo nam nóż na gardło położono.

Lecz ci milczeli, gdy tymczasem inni, do przejednania łatwiejsi, mówili głośno, tak nawet głośno, żeby ich książę mógł dosłyszeć:

— Lepiej pana zmienić, niżeli Rzeczpospolitą pogrążyć.

— Niechże Korona myśli o sobie, a my o sobie.

— Kto zresztą nam dał przykład, jeśli nie Wielkopolska?

— Extrema necessitas, extremis nititur rationibus!

— Tentanda omnia!

— Całą ufność w naszym księciu połóżmy i na niego we wszystkiem się zdajmy. Niechże Litwę i władzę ma w ręku.

— Godzien on i jednej i drugiej. Jeśli on nas nie wyratuje, zginiemy... W nim salus...

— Bliższy on nam, niż Jan Kazimierz, bo to nasza krew!

Radziwiłł łowił chciwem uchem te głosy, które dyktowała bojaźń lub pochlebstwo i nie zważał, że wychodziły one z ust ludzi słabych, którzy w niebezpieczeństwie pierwsiby go opuścili; z ust ludzi, którymi każdy podmuch wiatru mógł chwiać jak falą. I upajał się temi wyrazami i sam siebie oszukiwał lub własne sumienie, powtarzając z zasłyszanych zdań to, które zdawało się go najbardziej uniewinniać.

— Extrema necessitas, extremis nititur rationibus!

Lecz gdy przechodząc mimo licznej grupy szlachty, usłyszał jeszcze z ust pana Jurzyca: — Bliższy on nam, niż Jan Kazimierz! — wówczas twarz jego wypogodziła się zupełnie. Samo porównanie i zestawienie z królem pochlebiało jego dumie, więc zbliżył się zaraz do pana Jurzyca i rzekł:

— Macie rację, panie bracie, bo w Janie Kazimierzu na garniec krwi, tylko kwarta litewskiej, a we mnie niemasz innej... Jeżeli zaś dotąd kwarta garncowi rozkazywała, to od was, panów braci, zależy to zmienić.

— My też garncem gotowi pić zdrowie w. ks. mości! — odrzekł pan Jurzyc.

— O, toś mi waść w myśl utrafił. Weselcie się, panowie bracia! Chciałbym całą Litwę tu sprosić.

— Trzebaby ją nato jeszcze lepiej okroić — rzekł pan Szczaniecki z Dalnowa, człowiek śmiały i ostry zarówno w języku, jak w szabli.

— Co waść przez to rozumiesz? — pytał książę, utkwiwszy w niego oczy.

— Że serce waszej ks. mości od Kiejdan obszerniejsze.

Radziwiłł uśmiechnął się z przymusem i poszedł dalej. W tej chwili też zbliżył się do niego marszałek z doniesieniem, że wieczerza gotowa. Tłumy poczęły płynąć za księciem, jakoby rzeka, do tej samej sali, w której niedawno unja ze Szwecją została ogłoszona. Tam marszałek usadzał wedle godności zaproszonych, wymieniając każdego z imienia i urzędu. Ale widać, że rozkazy książęce były i pod tym względem naprzód wydane, gdyż Kmicicowi dostało się miejsce między miecznikiem rosieńskim a panną Aleksandrą.

W obojgu aż zadrgały serca, gdy usłyszeli swe nazwiska razem wymienione i oboje zawahali się w pierwszej chwili; lecz przyszło im zapewne na myśl, że opierać się byłoby to samo, co ściągać na się oczy wszystkich obecnych, więc siedli obok siebie. Było im źle i ciężko. Pan Andrzej postanowił sobie być obojętnym, jakoby siedziała koło niego obca osoba. Wkrótce jednak zrozumiał, że ani on nie potrafi być tak obojętnym, ani ta sąsiadka nie jest tak obcą, aby mogli zacząć z sobą zwyczajną rozmowę. Owszem, oboje to zmiarkowali, że w tym tłumie osób i najrozmaitszych uczuć, spraw, namiętności, on myśli tylko o niej, ona o nim i właśnie dlatego tak im trudno. Bo oboje nie chcieli i nie mogli wypowiedzieć szczerze, jasno i otwarcie wszystkiego, co im leżało na sercu. Mieli za sobą przeszłość, ale nie mieli przyszłości. Dawne uczucia, ufność, znajomość nawet, wszystko było potargane. Nie było nic pomiędzy nimi wspólnego, oprócz uczucia zawodu i żalu. Gdyby to ostatnie ogniwo pękło, byliby właśnie swobodniejsi; lecz czas tylko mógł przynieść zapomnienie, obecnie było na to za wcześnie.

Kmicicowi tak było źle, że prawie mękę cierpiał, a jednak za nic w świecie nie byłby odstąpił tego miejsca, które mu marszałek wyznaczył. Uchem łowił szelest jej sukni, baczył, udając, że nie baczy, na każdy jej ruch; odczuwał ciepło bijące od niej i wszystko to razem sprawiało mu jakąś bolesną rozkosz.

Po chwili poznał, że i ona równie jest czujna, choć niby na niego nie zważa. Porwała go nieprzezwyciężona chęć spojrzenia na nią, więc zaczął strzyc ukośnie oczyma, póki nie ujrzał jasnego czoła, oczu nakrytych ciemnemi rzęsami i białej, nie pomalowanej barwiczką, jak u innych pań, twarzy.

Było zawsze w tej twarzy coś tak dla niego pociągającego, że aż serce w biednym kawalerze zadrgało z żalu i bólu. — Żeby zaś taka zawziętość w tak anielskiej urodzie mieścić się mogła! — pomyślał sobie. Lecz uraza była zbyt głęboka, więc wkrótce dodał w duszy: — Nic mi po tobie, niech cię inny bierze!

I nagle poczuł, że gdyby ów jakiś „inny" spróbował tylko skorzystać z jego pozwolenia, toby go na sieczkę posiekał. Na samą myśl o tem, chwycił go gniew straszny. Uspokoił się dopiero, gdy sobie przypomniał, że to przecie on sam, nie kto inny przy niej siedzi i że nikt, przynajmniej w tej chwili, o nią nie zabiega.

— Tedy jeszcze raz na nią spojrzę, a potem się w drugą stronę zwrócę — pomyślał.

I znów począł strzyc ku niej zukosa, ale właśnie w tej chwili ona uczyniła to samo i oboje spuścili co prędzej oczy, upokorzeni ogromnie, jakoby na grzechu złapani.

Panna Aleksandra toczyła również walkę z sobą. Ze wszystkiego, co zaszło, z postępowania Kmicica, w Billewiczach, ze słów Zagłoby i Skrzetuskiego poznała, że Kmicic błądził; ale nie był tyle winny, nie zasługiwał na taką pogardę, na takie bezwzględne potępienie, jak poprzednio sądziła. Przecie on to tamtych zacnych ludzi od śmierci uwolnił, przecie tyle w nim było jakiejś dumy, że wpadłszy w ich ręce, mając przy sobie list, który mógł go uniewinnić, a przynajmniej od śmierci uchronić, nie pokazał jednak tego listu, nie rzekł ani słowa i poszedł na śmierć z podniesioną głową.

Oleńka, chowana przez starego żołnierza, stawiającego pogardę śmierci na czele wszystkich innych cnót, wielbiła

męstwo z całego serca, więc nie mogła się oprzeć mimowolnemu podziwowi dla tej rogatej, rycerskiej fantazji, którą można było chyba razem z duszą z ciała wypędzić.

Zrozumiała i to, że jeśli Kmicic Radziwiłłowi służył, to z zupełną dobrą wiarą — jakąż więc krzywdą było dlań posądzenie o rozmyślną zdradę! A jednak ona pierwsza wyrządziła mu tę krzywdę, nie oszczędziła mu ani obelgi, ani wzgardy — nie chciała mu przebaczyć nawet wobec śmierci!

— Nagródź krzywdę; — mówiło jej serce — wszystko się między wami skończyło, aleś mu to powinna wyznać, żeś go niesprawiedliwie sądziła. Dłużnaś w tem jeszcze i sobie...

Lecz było w tej pannie także dumy niemało, a może nawet i nieco zawziętości; więc wnet jej przyszło na myśl, że ów kawaler pewnie już o takie zadośćuczynienie nie stoi i aż rumieńce na twarz jej wytrysły.

— Skoro nie stoi, niechże się obejdzie! — rzekła sobie w duszy.

Wszakże sumienie mówiło dalej, że czy pokrzywdzony o krzywdę stoi, czy nie stoi, wynagrodzić ją trzeba; lecz z drugiej strony duma przytaczała coraz nowe argumenta.

— Jeśliby słuchać, co być może, nie chciał, przyszłoby się tylko próżno wstydu najeść. A po wtóre, winien, czy niewinien, rozmyślnie czyni, czy też przez zaślepienie, dość, że ze zdrajcami trzyma, z nieprzyjaciółmi ojczyzny i pomaga im ją gubić. Na jedno ojczyźnie wyjdzie, czy mu rozumu brak, czy uczciwości. Bóg go może uniewinnić, ludzie muszą i powinni potępić i miano zdrajcy przy nim zostanie. Tak jest! Jeśli i nie winien, azali nie słuszna takim pogardzać, który tyle nawet rozmysłu nie ma, żeby złe od dobrego, występek od cnoty odróżnić...

Tu gniew porwał pannę i policzki jej zaczęły pałać.

— Zamilczę! — rzekła sobie. — Niech cierpi, na co zasłużył. Póki skruchy nie widzę, póty mam prawo potępiać...

Poczem zwróciła wzrok ku Kmicicowi, jakby chcąc się przekonać, czy skruchy już w jego twarzy nie widać. Wtedy

to właśnie nastąpiło spotkanie się ich oczu, po którem tak zawstydzili się oboje.

Skruchy Oleńka może w twarzy kawalera nie dojrzała, ale dojrzała ból i zmęczenie wielkie; dojrzała, że ta twarz była tak wybladła, jak po chorobie; więc litość ją wzięła głęboka, łzy jej napływały przemocą do oczu i schyliła się jeszcze mocniej nad stołem, ażeby wzruszenia nie zdradzić.

A tymczasem uczta ożywiała się zwolna.

Z początku widocznie wszyscy byli pod ciężkiem wrażeniem, lecz w miarę kielichów przybywało fantazji ucztującym. Gwar wzmagał się.

Nakoniec książę wstał.

— Mości panowie, proszę o głos!

— Książę pan chce mówić!... Książę pan chce mówić! — wołano ze wszystkich stron.

— Pierwszy toast wznoszę na zdrowie najjaśniejszego króla szwedzkiego, który pomoc przeciw nieprzyjaciołom nam daje i władnąc tymczasem tą krainą, nie wprzód ją zda, aż spokój zaprowadzi. Wstańcie, mości panowie, bo to zdrowie pije się stojący.

Biesiadnicy wstali, prócz niewiast i spełnili kielichy, ale bez okrzyków, bez zapału. Pan Szczaniecki z Dalnowa pomrukiwał coś do sąsiadów, a ci gryźli wąsy, by się nie rozśmiać, widocznie dworował sobie z króla szwedzkiego.

Dopiero gdy książę wniósł drugie zdrowie „kochanych gości“, łaskawych na Kiejdany, którzy przybyli nawet i z dalekich stron, aby zaświadczyć o ufności swej w zamiary gospodarza — odpowiedział mu gromki okrzyk:

— Dziękujemy! dziękujemy z serca!

— Zdrowie księcia pana!

— Naszego Hektora litewskiego!

— Niech żyje! Niech żyje książę hetman, wojewoda nasz!

Wtem pan Jurzyc, już trochę pijany, zakrzyknął całą siłą płuc:

— Niech żyje Janusz Pierwszy, wielki książę litewski!

Radziwiłł poczerwieniał cały, jak panna, którą dziewosłębią, ale zmiarkowawszy, że zgromadzeni milczą głucho i poglądają na niego ze zdumieniem, rzekł:

— W waszej i to mocy, ale za wcześnie mi waćpan życzysz, panie Jurzyc, za wcześnie!

— Niech żyje Janusz Pierwszy, wielki książę litewski! — powtórzył z uporem pijanego pan Jurzyc.

Pan Szczaniecki wstał zkolei i wzniósł kielich:

— Tak jest! — rzekł z zimną krwią. — Wielki książę litewski, król polski i cesarz niemiecki!

Znów nastała chwila milczenia — nagle biesiadnicy wybuchli naraz śmiechem. Oczy wyszły im nawierzch, wąsy poruszały się na zaczerwienionych twarzach i śmiech wstrząsał ich ciała, odbijał się od sklepień sali i trwał długo, a jak nagle powstał, tak nagle i obumarł na wszystkich ustach, na widok twarzy hetmańskiej, która mieniła się jak tęcza.

Radziwiłł pohamował jednak straszny gniew, który pochwycił go za piersi i rzekł:

— Wolne żarty, panie Szczaniecki!

Szlachcic wydął usta i niezmieszany wcale, odpowiedział:

— I to tron elekcyjny, a już też za wiele nic możem waszej ks. mości życzyć. Jeśli jako szlachcic możesz w. ks. mość zostać królem polskim, to jako książę Rzeszy Niemieckiej możesz i na godność cesarską być podniesiony. Tak ci daleko lub blisko do jednego, jak do drugiego, a kto ci tego nie życzy, niech wstanie, wnet go tu na szable weźmiem.

Tu zwrócił się do biesiadników:

— Wstań, kto nie życzysz cesarskiej niemieckiej korony panu wojewodzie wileńskiemu!

Oczywiście nikt nie wstał. Nie śmiano się już również, bo w głosie pana Szczanieckiego tyle było bezczelnej złośliwości, że wszystkich ogarnął mimowoli niepokój, co też się stanie...

Lecz nie stało się nic, jeno ochota do uczty się popsuła. Próżno służba dworska napełniała co chwila kielichy. Wino nie mogło rozpędzić posępnych myśli w głowach ucztujących, ani coraz większego niepokoju. Radziwiłł z trudnością również pokrywał złość, bo czuł, że dzięki toastcm pana Szczanieckiego, zmalał w oczach zebranej szlachty i że umyślnie lub niechcący szlachcic ów wszczepił przekonanie w zebraną szlachtę, iż wojewodzie wileńskiemu nie bliżej do wielkoksiążęcego tronu, jak do korony niemieckiej. Wszystko obrócone było w żart, w pośmiewisko — a przecie uczta poto w znacznej części była wydana, aby umysły z przyszłem panowaniem radziwiłłowskiem oswoić. Co więcej, chodziło Radziwiłłowi i o to, aby takie ośmieszenie jego nadziei nie oddziałało źle i na oficerów w sprawę wtajemniczonych. Jakoż na ich twarzach malowało się głębokie zniechęcenie.

Ganchof spełniał kielich za kielichem i unikał wzroku książęcego, a Kmicic nie pił, ale patrzył w stół przed sobą z namarszczoną brwią, jak gdyby rozmyślał nad czem lub toczył walkę wewnętrzną. Radziwiłł zadrżał na myśl, że w tym umyśle lada chwila może zabłysnąć światło i wydobyć prawdę z cieniów, a wówczas ten oficer, stanowiący jedyne ogniwo, łączące resztki polskich chorągwi ze sprawą radziwiłłowską, potarga owo ogniwo, choćby z niem razem miał sobie i serce z piersi wyszarpnąć.

Kmicic aż nadto ciężył już Radziwiłłowi i gdyby nie to dziwne znaczenie, jakie nadał mu zbieg wypadków, byłby oddawna padł ofiarą swej zuchwałości i hetmańskiego gniewu. Ale książę mylił się, posądzając go w tej chwili o wrogie sprawie myśli, bo pan Andrzej cały był zajęty Oleńką i ową głęboką rozterką, jaka ich rozdzielała.

Chwilami wydawało mu się, że kocha tę dziewczynę, obok siedzącą, więcej niż świat cały, to znów taką do niej odczuwał nienawiść, że zadałby jej śmierć gdyby mógł, jej, ale zarazem i sobie.

Życie tak mu się powikłało, że stało się dla tej prostej

natury zbyt trudnem. Więc czuł to, co czuje dziki zwierz, omotany siecią, z której nie może się wyplątać.

Niespokojny i posępny nastrój całej uczty rozdrażniał go do najwyższego stopnia. Było mu poprostu nieznośnie.

Uczta zaś posępniała z każdą chwilą. Obecnym wydawało się, że ucztują pod dachem z ołowiu, który wspiera się na ich głowach.

Tymczasem nowy gość wszedł do sali. Książę ujrzawszy go, zakrzyknął:

— To pan Suchaniec od brata Bogusława! Pewno z listami?

Nowo przybyły skłonił się nisko.

— Tak jest, jaśnie oświecony książę!... Jadę prosto z Podlasia.

— Dajże waćpan listy, a sam siadaj za stołem. Ichmościowie wybaczą, że czytania nie odłożę, choć przy uczcie siedzimy, bo mogą się znaleść nowiny, któremi się będę chciał z waszmościami podzielić. Panie marszałku, proszę tam pamiętać o miłym pośle.

To mówiąc książę, wziął z rąk pana Suchańca paczkę listów i począł pośpiesznie łamać pieczęć pierwszego z brzegu.

Obecni utkwili ciekawe oczy w jego twarzy i starali się odgadnąć z niej treść pisma. Pierwszy list jednakże nie zwiastował widocznie nic pomyślnego, bo oblicze książęce zaszło krwią i oczy zabłysły mu dzikim gniewem.

— Panowie bracia! — rzekł hetman — książę Bogusław donosi mi, że ci, co woleli się konfederować, niż na nieprzyjaciela pod Wilno iść, teraz włości moje na Podlasiu pustoszą. Łatwiejże po wsiach z babami wojować!... Godni rycerze!... ani słowa!... Nic to! Nagroda ich nie minie!...

Poczem wziął drugi list, ale zaledwie nań okiem rzucił, twarz rozjaśniła mu się uśmiechem triumfu i radości.

— Województwo sieradzkie poddało się Szwedom! —

zakrzyknął — i wślad za Wielkopolską przyjęło protekcję Karola Gustawa.

A po chwili znowu:

— Owóż ostatnia poczta! Dobra nasza, mości panowie! Jan Kazimierz pobit pod Widawą i Żarnowem!... Wojsko go odstępuje! Sam on na Kraków się cofa, Szwedzi idą za nim. Pisze mi brat, że i Kraków musi upaść!

— Cieszmy się, mości panowie! — rzekł dziwnym głosem pan Szczaniecki.

— Tak, cieszmy się! — powtórzył hetman, nie zauważywszy tonu, jakim się Szczaniecki odezwał.

I radość biła od całej osoby książęcej, twarz stała się w jednej chwili jakby młodszą, oczy nabrały blasku; drżącemi ze szczęścia rękoma rozerwał pieczęć ostatniego listu, spojrzał, rozpromienił się cały, jak słońce i krzyknął:

— Warszawa wzięta!... Niech żyje Karol Gustaw!

Tu dopiero spostrzegł, że wrażenie, jakie owe wiadomości wywierają na obecnych jest zupełnie inne od tego, jakiego sam doznawał. Wszyscy bowiem siedzieli w milczeniu, spoglądając niepewnym wzrokiem przed siebie. Niektórzy marszczyli brwi, inni pozakrywali twarze rękoma. Nawet dworacy hetmańscy, nawet ludzie słabego ducha, nie śmieli naśladować radości książęcej na wieść, że Warszawa wzięta, że Kraków upaść musi i że województwa jedno po drugiem odstępują prawego pana i poddają się nieprzyjacielowi. Było przytem coś potwornego w tem zadowoleniu, z jakiem naczelny wódz połowy wojsk Rzeczypospolitej i jeden z najwyższych jej senatorów, oznajmił o jej klęskach. Książę zmiarkował, że trzeba złagodzić wrażenie.

— Mości panowie, — rzekł — pierwszybym płakał razem z wami, gdyby szło o szkodę Rzeczypospolitej, ale tu Rzeczpospolita szkody nie ponosi, jeno pana zmienia. Zamiast niefortunnego Jana Kazimierza, będzie miała wojownika wielkiego i szczęśliwego. Widzę już wszystkie wojny ukończone i nieprzyjaciół pobitych.

— Ma w. ks. mość rację! — odrzekł Szczaniecki. —

Kubek w kubek to samo opowiadali Radziejowski i Opaliński pod Ujściem... Cieszmy się, mości panowie! Na pohybel Janowi Kazimierzowi!...

To rzekłszy pan Szczaniecki odsunął z łoskotem krzesło, wstał i wyszedł z sali.

— Win najlepszych, jakie są w piwnicach! — zakrzyknął książę.

Pan marszałek pobiegł spełnić rozkazy. W sali zawrzało jak w ulu. Gdy pierwsze wrażenie minęło, szlachta poczęła rozprawiać nad wiadomościami i dyskutować. Wypytywano pana Suchańca o szczegóły z Podlasia i przyległego Mazowsza, które już Szwedzi zajęli.

Po chwili wtoczono do sali smoliste ankary i poczęto odbijać w nich gwoździe. Humory ożywiły się i stopniowo stawały się coraz lepsze.

Coraz częstsze głosy jęły powtarzać: — Stało się! niema już rady! — Może będzie lepiej! Trzeba się zgodzić z fortuną! — Książę nie da nas ukrzywdzić! — Lepiej nam, niż innym... Niech żyje Janusz Radziwiłł, wojewoda nasz, hetman i książę!

— Wielki książę litewski! — krzyknął znowu pan Jurzyc.

Ale tym razem nie odpowiedziało mu już milczenie, ani śmiech, owszem kilkadziesiąt zachrypłych gardzieli ryknęło naraz:

— Życzym tego! Z serca i duszy życzym! Niech nam żyje! Niech panuje!

Magnat wstał z twarzą czerwoną, jak szmat purpury.

— Dziękuję wam, panowie bracia!... rzekł poważnie.

W sali od świateł i oddechów ludzkich uczyniło się duszno, jak w łaźni.

Panna Aleksandra przechyliła się przez Kmicica ku miecznikowi rosieńskiemu.

— Słabo mi, — rzekła, — chodźmy stąd.

Jakoż twarz jej była blada, a na czole lśniły krople potu.

Lecz miecznik rosieński rzucił niespokojnym wzrokiem na hetmana, w obawie, czy mu porzucenie stołu nie będzie za złe poczytane. W polu był to odważny żołnierz, lecz z całej duszy bał się Radziwiłła.

Tymczasem, na domiar złego, hetman rzekł w tej chwili:

— Wróg mój, kto ze mną wszystkich toastów do dna nie spełni, bom dziś wesół!

— Słyszałaś? — rzekł miecznik.

— Stryju, ja nie mogę dłużej, mnie słabo! — rzekła błagalnym głosem Oleńka.

— To odejdź sama — odpowiedział miecznik.

Panna wstała, usiłując wymknąć się tak, aby niczyjej uwagi nie zwrócić; lecz sił jej brakło i chwyciła w niemocy za poręcz krzesła.

Nagle objęło ją silne rycerskie ramię i podtrzymało już prawie mdlejącą.

— Ja waćpannę odprowadzę! — rzekł pan Andrzej.

I nie pytając o pozwolenie, objął jej kibić jakoby żelazną obręczą, lecz ona ciężyła mu coraz bardziej, wreszcie, nim doszli do drzwi, zwisła mu bezwładnie na jego ramieniu.

Wówczas on wziął ją na ręce tak lekko, jak dziecko i wyniósł z sali.

ROZDZIAŁ XI.

Tegoż wieczora, po skończonej uczcie, pan Andrzej pragnął koniecznie widzieć się z księciem, ale odpowiedziano mu, że książę zajęty jest tajemną rozmową z panem Suchańcem.

Przyszedł więc nazajutrz zrana i natychmiast został przed oblicze pańskie przypuszczony.

— Wasza książęca mość, — rzekł, — przyszedłem z prośbą.

— Co chcesz, abym dla cię uczynił?

— Nie mogę tu dłużej żyć. Każdy dzień większą dla mnie męką. Nic tu po mnie w Kiejdanach. Niech wasza ks. mość wymyśli mi jaką funkcję, niech mnie wyszle, gdzie chce. Słyszałem, że pułki mają na Zołtareńkę ruszać. Pójdę z niemi.

— Radby Zołtareńko pohałasował z nami, ale mu nijak, bo tu już szwedzka protekcja, a my też na niego bez Szwedów nie możemy... Graf Magnus okrutnie wolno się posuwa i wiadomo dlaczego! Dlatego, że mi nie ufa. Ale także ci to źle w Kiejdanach przy naszym boku?

— Wasza ks. mość na mnie łaskaw, a przecie tak mi źle, iż wypowiedzieć nie umiem. Prawdę mówiąc, myślałem, że inaczej wszystko pójdzie... Myślałem, że będziem się bili, że żyć będziem w ogniu i w dymie, na kulbace dzień i noc. Do tego mnie Bóg stworzył. A tu siedź, słuchaj rozpraw i dysput, gnij w bezczynności, albo poluj na swoich, zamiast na nieprzyjaciela... Nie mogę wytrzymać, poprostu nie mogę... Wolę sto razy śmierć, jak mi Bóg miły, czysta męka!

— Wiem już z czego ta desperacja pochodzi. Amory to, nic więcej! Gdy podstarzejesz, będziesz się śmiał z tych mąk. Widziałem to wczoraj, żeście na siebie z tą dziewczyną krzywi i coraz krzywsi.

— Nic mi do niej, a jej do mnie. Co było, to się i skończyło!

— A co to, ona wczoraj zachorowała?

— Tak jest.

Książę milczał przez chwilę.

— Radziłem ci już i jeszcze raz radzę: — rzekł hetman — jeżeli ci o nią chodzi, to ją bierz z jej wolą lub bez woli. Każę wam ślub dać. Będzie trochę krzyku i płaczu... Nic to! Po ślubie weźmiesz ją do swej kwatery... i jeśli nazajutrz jeszcze będzie płakała, toś ba i bardzo!

— Ja proszę waszej ks. mości o jakąś funkcję wojskową, nie o ślub! — odrzekł szorstko Kmicic.

— Tedy jej nie chcesz?

— Nie chcę. Ni ja jej, ni ona mnie! Choćby się też dusza we mnie podarła, nie będę jej o nic prosił. Chciałbym jeno być jak najdalej, ażeby o wszystkiem zapomnieć, póki mi się rozum nie pomiesza. Tu niema nic do roboty, a bezczynność ze wszystkiego najgorsza, bo zmartwienie człowieka trawi jako choroba. Niech wasza ks. mość przypomni sobie, jak jej wczoraj jeszcze było ciężko, póki nowiny dobre nie przyszły... Tak mnie jest dziś i tak będzie. Co mam robić? Za głowę się ułapić, by jej gorzkie myśli nie rozerwały i siedzieć? Co tu wysiedzę? Bóg wie, co to za czasy, Bóg wie, co to za jakaś wojna, której zrozumieć, ani umysłem objąć nie mogę... od czego jeszcze ciężej. Ot, jak mi Bóg miły, jeśli wasza ks. mość mnie jako nie użyjesz, tedy chyba ucieknę, watahę zbiorę i będę bił...

— Kogo? — spytał książę.

— Kogo? Pójdę pod Wilno i będę urywał, jakom Chowańskiego urywał. Puść wasza ks. mość ze mną moją chorągiew, to i wojna się zacznie!

— Twoja chorągiew tu mi potrzebna przeciw wewnętrznemu nieprzyjacielowi.

— Toż to i ból, toż to i męka w Kiejdanach z założonemi rękoma stróżować, albo się za jakim Wołodyjowskim uganiać, któregoby się przy strzemieniu za towarzysza mieć wolało!

— Ja funkcję dla ciebie mam — rzekł książę. — Pod Wilno cię nie puszczę, ani chorągwi ci nie dam. Jeżeli zaś wbrew mojej woli postąpisz i zebrawszy watahę pojedziesz, to wiedz, że tem samem przestaniesz mi służyć.

— Ale ojczyźnie się przysłużę!

— Ten ojczyźnie służy, kto mnie służy. Jużem cię o tem przekonał. Przypomnij sobie także, żeś mi zaprzysiągł. Nakoniec, gdy na wolentarjusza wyjdziesz, to zarazem wyjdziesz z pod mojej inkwizycji, a tam sądy z wyrokami na cię czekają... Dla własnego dobra nie powinieneś tego czynić.

— Co tam teraz sądy znaczą!

— Za Kownem nic, ale tu, gdzie jeszcze kraj spokojny,

nie ustały dotąd funkcjonować. Możesz się wprawdzie nie stawić, ale wyroki zapadną i będą nad tobą ciążyły aż do spokojniejszych czasów. Kogo raz do trąby włożą, temu i w dziesięć lat przypomną, a już szlachta laudańska przypilnuje, by ci przypomniano.

— Żeby prawdę waszej ks. mości powiedzieć, jak przyjdzie pokuta, to się i poddam. Dawniej gotów byłem z całą Rzecząpospolitą wojnę prowadzić i z wyroków tyle sobie robić, ile nieboszczyk pan Łaszcz, który kazał sobie niemi delję podszyć... Ale teraz jakowaś bolączka wyrosła mi na sumieniu. Człek się boi zabrnąć dalej, niżby chciał i niepokój duszny o wszystko go toczy.

— Takiżeś skrupulat? Ale mniejsza z tem! Powiedziałem ci, że jeśli chcesz stąd jechać, to funkcję dla ciebie mam i bardzo zacną. Ganchof mi o nią w oczy lezie i przymawia się każdego dnia. Już myślałem, żeby mu ją dać... Wszelako nie może to być, gdyż trzeba mi tam kogoś znacznego, z nieladajakiem nazwiskiem i nieobcem, ale polskiem, któreby samo przez się świadczyło, że nie wszyscy mnie opuścili i że są jeszcze możni obywatele, którzy ze mną trzymają... Tyś mi wraz do tego, ile że i fantazję masz dobrą i wolisz, żeby się tobie kłaniano, niż żebyś sam się miał kłaniać.

— O co idzie waszej ks. mości?

— Trzeba jechać w dalszą podróż...

— Dziś gotowym!

— I swoim kosztem, bo u mnie z pieniędzmi kuso. Jedne intraty nieprzyjaciel zajął, drugie swoi pustoszą, a wszystko nie dochodzi w porę; całe zaś wojsko, które przy mnie jest, przeszło teraz na mój koszt. Pewnie mi pan podskarbi, który u mnie pod kluczem siedzi, grosza nie użyczy, raz dlatego, żeby nie chciał, po wtóre, że sam nie ma. Co jest grosza publicznego, to biorę, nie pytając; ale siłaż to go jest? Od Szwedów zaś wszystkiego prędzej dostaniesz, niż pieniędzy, bo im się samym na widok każdego szeląga ręce trzęsą.

— Wasza ks. mość niepotrzebnie się nad tem rozwodzi! Jeśli pojadę, to swoim kosztem.

— Ale tam trzeba znacznie wystąpić, nie żałować!...

— Nic ja nie będę żałował!

Oblicze hetmana rozjaśniło się, bo rzeczywiście gotowizny nie miał, chociaż niedawno Wilno zrabował, a przytem chciwy był z natury. Prawdą było również i to, że intraty z niezmierzonych jego dóbr, ciągnących się od Inflant po Kijów i od Smoleńska po Mazowsze, przestały w istocie wpływać, a koszta na wojsko z każdym dniem rosły.

— To mi się podoba! — rzekł. — Ganchof zarazby mi zaczął w skrzynie pukać, a tyś człek inny. Słuchaj tedy, o co chodzi.

— Słucham pilnie.

— Najprzód pojedziesz na Podlasie. Periculosa to droga, bo tam są konfederaci, którzy z obozu wyszli i przeciw mnie czynią. Jak im się wykręcisz, to twoja rzecz. Ów Jakób Kmicic możeby cię oszczędził, ale strzeż się Horotkiewicza, Żeromskiego, a zwłaszcza Wołodyjowskiego z jego laudańską kompanją.

— Byłem ja już w ich ręku i nic mi się nie stało.

— To dobrze. Wstąpisz do Zabłudowa, gdzie siedzi Harasimowicz. Przykażesz mu, żeby co można grosiwa z intrat, z podatków publicznych i skąd można ściągnął i mnie odesłał, ale nie tu, jeno do Tylcy, gdzie są już rzeczy moje. Co będzie mógł zastawić z dóbr albo inwentarzy, niech zastawi; co będzie można wziąć od Żydów, niech weźmie... Po wtóre, niech o konfederatach myśli, żeby ich jako pogubić. Ale to już nie twoja głowa, dam mu własnoręczną instrukcję. Ty mu list oddaj i ruszaj zaraz do Tykocina, do księcia Bogusława.

Tu hetman przerwał i począł oddychać głośno, bo dłuższe mówienie męczyło go bardzo. Kmicic wpatrywał się w niego chciwie, bo mu się dusza wydzierała do odjazdu i czuł, że ta podróż, pełna spodziewanych przygód, będzie balsamem na jego wnętrzne zgryzoty.

Hetman po chwili tak mówić zaczął:

— Za głowę się biorę, dlaczego książę Bogusław siedzi jeszcze na Podlasiu?... Dlaboga! może zgubić mnie i siebie. Pilnie uważaj na to, co mówię, bo chociaż oddasz mu moje listy, trzeba, żebyś umiał żywem słowem je poprzeć i wytłumaczyć wszystko, co się napisać nie da. Owóż wiedz o tem, że wczorajsze wieści były dobre, ale nie tak dobre, jakem szlachcie powiedział, a nawet i nie tak dobre, jakem sam zrazu myślał. Szwedzi wprawdzie górą: zajęli Wielkopolskę, Mazowsze, Warszawę, województwo sieradzkie poddało im się, gonią Jana Kazimierza pod Kraków i Kraków oblegną, jak Bóg w niebie. Czarniecki ma go bronić, ów świeżo wypieczony senator, ale, muszę przyznać, żołnierz dobry. Kto może przewidzieć, co się stanie?... Szwedzi wprawdzie umieją zdobywać fortece, a nie było nawet czasu na wzmocnienie Krakowa. Wszelako ten pstry kasztelanik może się trzymać miesiąc, dwa, trzy. Dzieją się czasem takie cuda, jako, wszyscy pamiętamy, pod Zbarażem... Owóż, jeśli się będzie zacięcie trzymał, djabeł może wszystko nawspak obrócić. Ucz się arkanów polityki. Wiedz tedy najprzód, że w Wiedniu nie będą chętnem okiem patrzeć na rosnącą potęgę szwedzką i mogą pomoc dać... Tatarzy też, wiem to dobrze, skłonni są pomagać Janowi Kazimierzowi na kozactwo i Moskwę nawałem ruszą, a wówczas wojska ukrainne pod Potockim przyjdą na pomoc... Desperat dziś Jan Kazimierz, a jutro może jego szczęście przeważyć...

Tu książę musiał znów dać wypoczynek strudzonym piersiom, a pan Andrzej dziwnego doświadczał uczucia, z którego sam sobie narazie sprawy nie umiał zdać. Oto on, stronnik radziwiłłowski i szwedzki, czuł jakby radość wielką na myśl, że szczęście może się od Szwedów odwrócić.

— Mówił mi Suchaniec, — rzekł książę, — jak to było pod Widawą i Żarnowem. Owóż w pierwszem spotkaniu przednie straże nasze... chciałem powiedzieć: polskie, starły Szwedów na proch. To nie pospolite ruszenie... i Szwedzi pono siła fantazji stracili.

— Ale przecie wiktorja tu i tam była przy nich?

— Była, bo się chorągwie Janowi Kazimierzowi pobuntowały, a szlachta oświadczyła, że będzie stać w szyku, ale się bić nie chce. Wszelako to się pokazało, że w polu nie więcej Szwedzi od kwarcianych umieją. Niech się trafi jedna i druga wiktorja, może się duch zmienić. Niech przyjdą Janowi Kaziemierzowi zasiłki pieniężne, aby mógł żołd zapłacić, to się i nie będą buntowali. Potocki nie ma siła ludu, ale srodze to ćwiczone chorągwie i zjadliwe jak osy. Tatarzy przyjdą z nim, a elektor nam w dodatku nie dopisuje.

— Jakżeto?

— Liczyliśmy obaj z Bogusławem, że zaraz ze Szwedami i z nami w ligę wejdzie, bo wiemy, co o jego afektach dla Rzeczypospolitej trzymać... Ale on zbyt ostrożny i o własnem dobru tylko myśli. Czeka widać, co się stanie, a tymczasem wchodzi w ligę, ale z miastami pruskiemi, które wiernie przy Janie Kazimierzu stoją. Myślę, że w tem będzie jakowaś zdrada, chybaby elektor nie był sobą, albo zgoła o szwedzkiej fortunie wątpił. Ale nim się to wyjaśni, tymczasem liga przeciw Szwedom stoi i niech im się w Małopolsce noga powinie, tedy zaraz się Wielkopolska i Mazury podniosą, Prusacy z nimi pójdą i może się przytrafić...

Tu książę wzdrygnął się, jakby przerażony przypuszczeniem.

— Co się może przytrafić? — pytał Kmicic.

— Że noga szwedzka z Rzeczypospolitej nie wyjdzie! — odparł ponuro książę.

Kmicic zmarszczył brwi i milczał.

— Wówczas — mówił dalej niskim głosem hetman — i nasza fortuna spadłaby tak nisko, jak wprzód była wysoko...

Pan Andrzej zerwał się z miejsca z iskrzącemi oczyma, z rumieńcami na twarzy i zakrzyknął:

— Wasza książęca mość! co to jest?... A czemuż mi to wasza ks. mość mówił niedawno, że Rzeczpospolita prze-

padła i że tylko w spółce ze Szwedami, przez osobę i przyszłe panowanie waszej ks. mości ratować ją można?... Czemu mam wierzyć? Czy temu, com wonczas słyszał, czy temu co dziś? A jeśli tak jest, jak wasza książęca mość dziś mówisz, to dlaczego trzymamy ze Szwedami, zamiast ich bić?... Toż dusza do tego się śmieje!

Radziwiłł patrzył się surowo w młodzieńca.

— Zuchwały jesteś! — rzekł.

Ale Kmicic jechał już na własnem uniesieniu, jak na koniu.

— Potem o tem, jakim ja jest! Teraz daj mi w. ks. mość respons na to, co pytam.

— Dam ci respons taki: — rzekł dobitnie Radziwiłł — jeśli rzeczy tak się obrócą, jak mówię, tedy zaczniemy Szwedów bić.

Pan Andrzej przestał parskać nozdrzami, natomiast palnął się dłonią w czoło i zakrzyknął:

— Głupim! głupim!

— Tego ci nie neguję — rzekł książę — i przydam, że miarę w zuchwałości przebierasz. Wiedzże, iż poto cię wysyłam, abyś zmiarkował, jak się fortuna obróci. Chcę dobra ojczyzny, niczego więcej. To com mówił, są supozycje, które mogą się nie sprawdzić i pewnie się nie sprawdzą. Ale ostrożnym trzeba być. Kto chce, by go woda nie porwała, musi umieć pływać, a kto idzie lasem, w którym dróg niema, ten często musi stawać i miarkować, w którą mu stronę iść należy... Rozumiesz?

— Tak jasno, jakoby słońce świeciło.

— Recedere nam wolno i trzeba, jeżeli dla ojczyzny będzie tak lepiej, ale nie będziem mogli, jeśli książę Bogusław dłużej na Podlasiu będzie siedział. Głowę widać stracił, czy co? Tam siedząc, musi się za jedną, albo za drugą sprawą oświadczyć; albo za Szwedem, albo za Janem Kazimierzem, a to właśnie byłoby najgorzej.

— Głupim jest, wasza ks. mość, bo znowu nie rozumiem!

— Podlasie blisko Mazowsza i albo Szwedzi je zajmą. albo z miast pruskich przyjdą posiłki przeciw Szwedom. Tedy trzeba będzie wybierać.

— Ale czemu książę Bogusław nie ma wybierać?

— Bo póki on nie wybierze, póty Szwedzi bardziej się na nas oglądają i muszą nas ujmować, toż samo elektor. Jeśli zaś recedere przyjdzie i przeciw Szwedom się obrócić, tedy on ma być ogniwem między mną i Janem Kazimierzem... On ma mi powrót ułatwić, czegoby nie mógł uczynić, gdyby wprzód przy Szwedach się opowiedział. Że zaś na Podlasiu musi wkrótce koniecznie wybrać, niech jedzie do Prus do Tylcy i tam czeka, co się stanie. Elektor siedzi w margrabstwie, tedy Bogusław będzie największą powagą w Prusiech i całkiem może Prusaków w ręce wziąć i wojska pomnożyć i na czele znacznej potęgi stanąć... A wonczas jedni i drudzy, co chcemy, dadzą, byle tylko nas dwóch mieć po sobie i dom nasz nietylko nie upadnie, ale się wzniesie, a to grunt.

— Wasza ks. mość mówiłeś, że grunt dobro ojczyzny?

— Nie chwytajże mnie za każde słowo, gdym ci zgóry rzekł, że to wszystko jedno i słuchaj dalej. Wiem to dobrze, że książę Bogusław, chociaż i podpisał akt unji ze Szwecją tutaj w Kiejdanach, jednakże za stronnika ich nie uchodzi. Niechże puszcza wieść, a i ty puszczaj po drodze, żem go zmusił do podpisania wbrew sercu.. Ludzie snadnie temu uwierzą, bo nieraz przytrafia się, że i rodzeni bracia do różnych partyj należą. Owóż tym sposobem będzie mógł wejść w konfidencję z konfederatami, prosić naczelników do siebie, niby dla układów, a potem pochwycić i do Prus wywieść. Godziwy to będzie sposób i dla ojczyzny zbawienny, bo inaczej ci ludzie całkiem ją zgubią.

— To wszystko, co mam uczynić? — pytał z pewnym rozczarowaniem Kmicic.

— To część zaledwie i nie najważniejsza. Od księcia Bogusława pojedziesz z mojemi listami do samego Karolusa Gustawa. Ja tu nie mogę z grafem Magnusem do ładu dojść

od czasu onej bitwy klawańskiej. Wciąż on na mnie zezem patrzy i nie przestaje suponować, że byle się Szwedom noga pośliznęła, byle Tatarzy rzucili się na tego drugiego nieprzyjaciela, to i ja się przeciw Szwedom obrócę.

— Wnosząc z tego, co w. ks. mość przedtem mówił, to słusznie suponuje.

— Słusznie, czy niesłusznie, nie chcę, aby tak było i aby mi zaglądał, jakie kozery mam w ręku. Zresztą i personaliter nieżyczliwy to dla mnie człowiek. Pewnie on tam niejedno na mnie do króla wypisuje, a jedno z dwojga z pewnością: albo żem słaby, albo żem niepewny. Trzeba temu zapobiec. Listy moje królowi oddasz: gdyby się ciebie o klawańską potrzebę wypytywał, powiesz, jak prawda, nic nie dodasz, nic nie ujmiesz. Możesz mu się przyznać, że tych ludzi na śmierć skazałem, a tyś ich wyprosił. Nic ci się za to nie stanie, owszem może się szczerość podobać. Magnusa grafa wprost przed królem nie będziesz oskarżał, boć to jego szwagier... Ale gdyby cię król, ot! tak mimochodem, pytał co tu ludzie myślą, powiedz mu, że żałują, iż graf Magnus niedość się hetmanowi wypłaca za szczerą jego dla Szwedów przyjaźń; że sam książę (to jest ja) nad tem wielce boleje. Gdyby pytał dalej, czy prawda, że mnie wszystkie wojska komputowe opuściły, powiesz, że nieprawda i za dowód przytoczysz siebie. Powiadaj się pułkownikiem, bo nim jesteś... Mów, że to partyzanci pana Gosiewskiego pobuntowali wojsko, ale dodaj, że między nami nieprzyjaźń śmiertelna. Mów, że gdyby graf Magnus przysłał mi armat niecoś i jazdy, dawno byłbym już zgniótł owych konfederatów... że to jest ogólna opinia. Zresztą na wszystko zważaj, dawaj ucho, co tam w pobliżu królewskiej osoby mówią i donoś, nie mnie, ale, jeśli się nadarzy okazja, księciu Bogusławowi do Prus. Można i przez elektorskich ludzi, jeśli ich napotkasz. Ty podobno umiesz po niemiecku?

— Miałem towarzysza, szlachcica kurladzkiego, niejakiego Zenda, którego mi laudańscy ludzie usiekli. Od

niegom się nieźle po niemiecku poduczył. W Inflantach też często bywałem...

— To dobrze.

— A gdzie, w. ks. mość, znajdę króla szwedzkiego?

— Tam go znajdziesz, gdzie będzie. Czasu wojny dziś może być tu, jutro tam. Jeśli trafisz go pod Krakowem, to i lepiej, bo weźmiesz listy i do innych osób, które w tamtych stronach rezydują.

— To jeszcze do innych pojadę?

— Tak jest. Musisz dotrzeć do pana marszałka koronnego Lubomirskiego, o którego bardzo mi chodzi, aby do naszych zamysłów przystąpił. Możny to człek i w Małopolsce siła od niego zależy. Gdyby on chciał szczerze stanąć przy Szwedach, tedyby Jan Kazimierz nie miał już co robić w Rzeczypospolitej. Królowi szwedzkiemu tego nie ukrywaj, że ode mnie do niego jedziesz, aby go dla Szwedów skaptować... Nie chwal się z tem wprost, ale się niby z prędkości wygadaj. Okrutnie go to dla mnie zjedna. Dałby Bóg, żeby pan Lubomirski chciał przy nas stanąć. Będzie on się wahał, to wiem; wszelako spodziewam się, że moje listy wagę przechylą, gdyż jest przyczyna, dla której musi on o moją życzliwość dbać wielce. Powiem ci, jak co jest, abyś wiedział, jak się tam obracać. Owóż dawno już pan marszałek objeżdżał mnie, jako niedźwiedzia w kniei i starał się zdaleka wyrozumieć, czybym jedynaczki swojej za syna jego, Herakljusza, nie oddał. Dzieci to jeszcze, ale możnaby układ uczynić, na którym panu marszałkowi siła zależy, więcej niż mnie, bo drugiej takiej dziedziczki niemasz w Rzeczypospolitej, a gdyby się dwie fortuny złączyły, to i w świecie nie byłoby równej... Smarowna to grzanka! A cóż dopiero, gdyby pan marszałek powziął nadzieję, że i koronę wielkoksiążęcą mógłby syn jego za moją córką wianem wziąć... Tę nadzieję w nim obudź, a skusi się, jak Bóg na niebie, bo o domu własnym więcej, niż o Rzeczpospolitej myśli...

— Cóż mam mu mówić?

— To, czego ja nie będę mógł napisać... Ale trzeba

to misternie podsuwać. Niech cię Bóg broni, abyś się wydał z tem, żeś ode mnie słyszał, jakobym korony pragnął. Na to jeszcze za wcześnie... Ale mów, że tu wszystka szlachta na Żmudzi i na Litwie o tem mówi i chętnie to widzi; że sami Szwedzi głośno o tem wspominają; żeś to i przy osobie króla słyszał... Będziesz zważał, kto tam z dworzan z panem marszałkiem konfident i podsuniesz mu taką myśl: niech Lubomirski przejdzie do Szwedów, a w nagrodę zażąda małżeństwa Herakljusza z Radziwiłłówną, a potem niech Radziwiłła na Wielkie Księstwo popiera, to Herakljusz je zczasem odziedziczy. Niedość na tem; podsuń i to, że gdyby Herakljusz raz litewską włożył koronę, tedyby go zczasem i na polski tron powołano, a tak w dwóch rodach dwie korony napowrótby się złączyć mogły. Jeśli się tam tej myśli oburącz nie pochwycą, to pokażą się małymi ludźmi. Kto wysoko nie mierzy i wielkich zamysłów się zlęknie, ten niech się laską, buławką, kasztelanijką kontentuje, niech służy i kark zgina, przez pokojowców na łaskę zarabia, bo niczego więcej nie wart!... Mnie do czego innego Bóg stworzył i dlatego śmiem wyciągnąć rękę po wszystko, co tylko w mocy człowieczej i dojść aż do tej granicy, jaką sam Bóg potędze ludzkiej postawił!

Tu książę wyciągnął rzeczywiście ręce, jakby chciał w nie jakąś niewidzialną koronę pochwycić i rozgorzał cały, jak pochodnia, ale wtem ze wzruszenia znowu mu powietrza zbrakło w gardzieli.

Po chwili uspokoił się jednak i rzekł przerywanym głosem:

— Ot... gdy dusza leci... jakoby do słońca... choroba mówi swoje memento... Niech się co chce dzieje... Wolę, żeby mnie śmierć zastała na tronie... niż w królewskiej antykamerze...

— Może medyka zawołać? — pytał Kmicic.

— Radziwiłł począł kiwać ręką.

— Nie trzeba... nie trzeba... Już mi lepiej... Ot! i wszystko, co miałem ci powiedzieć... Prócz tego oczy miej

otwarte, uszy otwarte... Bacz i na to, co potocczyzna pocznie. Oni kupą chodzą, a Wazom wierni... i potężni... Koniecpolski, a Sobiescy także niewiadomo, jak się przechylą... Patrz i ucz się... Ot i duszność przeszła... Zrozumiałeś wszystko expedite?

— Tak jest. Jeśli w czem pobłądzę, to z własnej winy.

— Listy już mam popisane, jeno kilka zostaje. Kiedy chcesz ruszyć?

— Dziś jeszcze! Jak najprędzej!...

— Nie maszże jakiej prośby do mnie?

— W. ks. mość!... zaczął Kmicic.

I urwał nagle.

Słowa z trudnością wychodziły mu z ust, a na twarzy malował się przymus i zmieszanie.

— Mów śmiało! — rzekł hetman.

— Proszę, — rzekł Kmicic, — aby tu miecznik rosieński i ona... jakowej krzywdy nie doznali!...

— Bądź pewien. Ale to widzę, że ty tę dziewkę jeszcze miłujesz?...

— Nie może być! — rzekł Kmicic. — Zali ja wiem!... Godzinę ją miłuję, godzinę nienawidzę... Djabeł jeden wie! Skończyło się wszystko, jakom rzekł... jedna męka została... Nie chcę ja jej, ale nie chcę, by ją inny brał... W. ks. mość niech tego nie dopuści... Sam nie wiem co gadam... Jechać mi, jechać jak najprędzej! Niech w. ks. mość nie zważa na moje słowa. Bóg mi wróci rozum, jeno za bramę wyjadę...

— Rozumiem to, że póki zczasem afekt nie ostygnie, to choć się samemu nie chce, przecie parzy myśl, że inny weźmie. Ale bądź o to spokojny, bo nikogo tu nie dopuszczę, a wyjechać stąd, nie wyjadą. Wkrótce wszędy pełno będzie obcego żołnierza i niebezpieczno!... Najlepiej ją do Taurogów wyprawię, pod Tylce, gdzie księżna bawi... Bądź spokojny, Jędrek!... Idź, gotuj się do drogi, a przychodź do mnie na obiad...

Kmicic skłonił się i wyszedł, a Radziwiłł począł od-

dychać głęboko. Rad był z wyjazdu Kmicica. Zostawała mu jego chorągiew i jego nazwisko, jako stronnika, a o osobę mniej dbał.

Owszem, Kmicic wyjechawszy, mógł mu oddać znaczne posługi; w Kiejdanach ciężył mu już oddawna. Hetman pewniejszym był go zdaleka, niż zbliska. Dzika fantazja i zapalczywość Kmicica mogły lada chwila sprowadzić w Kiejdanach wybuch i zerwanie nader niebezpieczne dla obydwóch. Wyjazd usuwał niebezpieczeństwo.

— Jedźże djable wcielony i służ! — mruknął książę, poglądając na drzwi, któremi odszedł chorąży orszański.

Następnie zawołał pazia i rozkazał prosić do siebie Ganchofa.

— Obejmiesz chorągiew Kmicicową — rzekł mu — i komendę nad całą jazdą. Kmicic wyjeżdża.

Przez zimną twarz Ganchofa przebiegł jakoby błysk radości. Omijała go misja, ale spotykała wyższa szarża.

Skłonił się więc w milczeniu i rzekł:

— Wierną służbą za łaskę w. ks. mości się wypłacę!

Poczem wyprostował się i czekał.

— A co powiesz więcej? — rzekł książę.

— W. ks. mość! przyjechał tu dziś rano szlachcic z Wiłkomierza, który przywiózł wieść, że pan Sapieha na w. ks. mość z wojskami ciągnie.

Radziwiłł drgnął, lecz w mgnieniu oka opanował wrażenie.

— Możesz odejść! — rzekł do Ganchofa.

Poczem zamyślił się głęboko.

ROZDZIAŁ X.

Kmicic zajął się bardzo czynnie przygotowaniami do drogi, oraz wyborem ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, postanowił bowiem nie jechać bez pewnej asystencji, raz dla bezpieczeństwa własnego, a po wtóre dla powagi swojej po-

selskiej osoby. Pilno mu było, więc chciał ruszyć tegoż jeszcze dnia na noc lub, jeśliby słota nie ustała, nazajutrz rano. Ludzi wynalazł wreszcie, sześciu pewnych, którzy dawniej jeszcze pod nim służyli, w tych lepszych czasach, gdy się przed przyjazdem do Lubicza pod Chowańskim uwijał, starych zabijaków orszańskich, gotowych iść za nim choćby na kraj świata. Sama to była szlachta i bojarowie putni, ostatnie resztki potężnej niegdyś watahy, przez Butrymów wyciętej. Na czele ich stanął wachmistrz Soroka, dawny sługa Kmiciców, żołnierz stary i sprawny bardzo, chociaż liczne wyroki, za liczniejsze jeszcze swawole, nad nim ciążyły.

Po obiedzie dał hetman panu Andrzejowi listy i glejt do komendantów szwedzkich, z którymi młody poseł mógł się w znaczniejszych miastach spotykać; pożegnał go i wyprawił dość czule, prawie po ojcowsku, zalecając ostrożność i rozwagę.

Tymczasem, pod wieczór, niebo poczęło się wyjaśniać, mdłe słońce jesienne ukazało się nad Kiejdanami i zaszło za czerwone chmury, porozciągane długiemi pasmami na zachodzie.

Nic nie stawało na przeszkodzie do drogi. Kmicic popijał właśnie strzemiennego z Ganchofem, Charłampem i kilkoma innymi oficerami, gdy o zmroku już wszedł Soroka i spytał:

— Jedziemy, panie komendancie?

— Za godzinę! — odparł Kmicic.

— Konie i ludzie gotowi, już na dziedzińcu...

Wachmistrz wyszedł, a oni poczęli się tem bardziej trącać kielichami, lubo Kmicic więcej udawał, że pije, niż pił w rzeczywistości. Nie w smak mu było wino i nie szło mu do głowy, nie rozweselało humoru, a tymczasem tamtym kurzyło się już z czupryn.

— Mości pułkowniku! — mówił Ganchof. — Poleć mnie łasce księcia Bogusława... Wielki to kawaler, jakiego drugiego niemasz w całej Rzeczypospolitej. Jak tam przy-

jedziesz, to jakobyś do Francji przyjechał. Inna mowa, inny obyczaj, a każdy dworności tam się może nauczyć, snadniej jeszcze, niż na królewskim dworze.

— Pamiętam księcia Bogusława pod Beresteczkiem: — rzekł Charłamp — miał jeden regiment dragonów, całkiem na francuski ład wymusztrowany, którzy pieszą i konną służbę zarówno pełnili. Oficerowie sami byli Francuzi, prócz kilku Olendrów, a i między żołnierzami większa była część Francuzów. A wszystko franty. To tak od nich różnemi wonnościami pachniało, jakoby z apteki. W bitwie rapierami okrutnie bodli i powiadali o nich, że co który człeka przebódł, to mu mówił: „Pardonnez moi!“ — tak politykę nawet z hultajstwem obserwowali. A książę Bogusław z chustką na szpadzie między nimi jeździł, zawsze uśmiechnięty choćby w największym ukropie, gdyż taka jest francuska moda, aby się śmiać wśród krwi rozlewu. Twarz miał też barwiczką pomalowaną, a brwi węgielkiem wyczernione, na co krzywili się starzy żołnierze i przezywali go koczotką. I zaraz po bitwie kryzy nowe mu przynosili, żeby to był zawsze strojny, jakoby na ucztę i włosy mu żelazkami przypiekali, dziwne z nich czyniąc fircyfuszki. Ale mężny to pan i pierwszy i w największy ogień szedł. Pana Kalinowskiego też na rękę wyzwał, że mu tam coś przymówił, aż król jegomość musiał godzić.

— Niema co! — mówił Ganchof. — Ciekawych się waść rzeczy napatrzysz i samego króla szwedzkiego oblicze będziesz widział, który jest wojownik, po naszym księciu, w świecie największy.

— I pana Czarnieckiego — dodał Charłamp. — Coraz głośniej o nim mówią.

— Pan Czarniecki stoi po stronie Jana Kazimierza i przez to jest naszym nieprzyjacielem! — odrzekł surowo Ganchof.

— Dziwne się rzeczy na świecie dzieją — rzekł w zamyśleniu Charłamp. — Gdyby tak ktoś rok temu, albo dwa, powiedział, że Szwedzi tu przyjdą, tobyśmy wszyscy

myśleli, że będziem ich bić, a tymczasem patrzcie waszmościowie...

— Nie my jedni, ale cała Rzeczpospolita ich z otwartemi rękami przyjęła! — rzekł Ganchof.

— Tak jest! jako żywo! — wtrącił w zamyśleniu Kmicic.

— Prócz pana Sapiehy i pana Gosiewskiego i pana Czarnieckiego i hetmanów koronnych! — rzekł Charłamp.

— Lepiej o tem nie mówić — odpowiedział Ganchof. — No! mości pułkowniku, wracajże nam zdrowo... promocje cię tu czekają...

— I panna Billewiczówna — dodał Charłamp.

— Waćpanu nic do panny Billewiczówny! — odparł szorstko Kmicic.

— Pewnie, że nic, bom już i za stary. Ostatni raz... Czekajcie waszmościowie... kiedyż to było?... Aha! ostatni raz w czasie elekcji, dziś nam miłościwie panującego, Jana Kazimierza...

— Waszmość od tego język odzwyczaj! — przerwał Ganchof. — Dziś panuje nam miłościwie Karol Gustaw.

— Prawda... Consuetudo altera natura... Owóż ostatni raz, w czasie elekcji Jana Kazimierza, naszego eks-króla i w. księcia litewskiego, okrutniem się zakochał w jednej pannie z fraucymeru księżnej Jeremiowej. Wabna to była bestyjka... Ale com jej chciał w oczy bliżej spojrzeć, to mi pan Wołodyjowski szablę podstawiał. Miałem się z nim bić, tymczasem Bohun wszedł między nas, którego Wołodyjowski jak zająca wypatroszył. Żeby nie to, tylebyście mnie waszmościowie teraz żywego widzieli. Ale wonczas gotów byłem się bić, choćby z djabłem. Wołodyjowski zresztą, per amicitiam się o nią tylko zastawiał, bo ona była z innym zmówiona, jeszcze gorszym zabijaką... Ej, mówię waściom, myślałem, że uschnę... Ni mi było do jadła, ni do napitku... Dopiero, jak mnie książę nasz z Warszawy aż do Smoleńska posłał, tak i afekt wytrząsłem po drodze. Niemasz, jak podróż na takowe zgryzoty. W pierwszej mili już mi się

stało lżej, a nim do Wilna dojechałem, ani mi była w głowie i do tej pory w kawalerskim stanie wytrwałem. Ot, co! Niemasz jak droga na nieszczęśliwe afekta!

— Także to waść mówisz? — spytał Kmicic.

— Jako żywo! Niech tam czarni porwą wszystkie gładyszki z całej Litwy i Korony! Już mi one niepotrzebne.

— I bez pożegnania waść wyjechałeś?

— Bez pożegnania, jenom tasiemkę czerwoną za sobą rzucił, co mi jedna stara niewiastka, w rzeczach afektu bardzo doświadczona, doradziła.

— Zdrowie waszmości! — wtrącił Ganchof, zwracając się znów do pana Andrzeja.

— Zdrowie! — odrzekł Kmicic. — Dziękuję z serca!

— Do dna! do dna! Waszmości czas na koń, a i nas też służba potrzebuje. Niech waszą mość Bóg prowadzi i odprowadzi!

— Bywajcie zdrowi!

— Tasiemkę czerwoną rzuć za siebie, — rzekł Charłamp, — albo na pierwszym noclegu ognisko wiadrem wody samemu zalać. Pamiętaj waść... jeśli chcesz zapomnieć!

— Ostawaj waść z Bogiem!

— Nieprędko się obaczym!

— A może gdzie na polu bitwy — dorzucił Ganchof. — Daj Boże, obok siebie, nie przeciw sobie.

— Nie może inaczej być! — odrzekł Kmicic.

I oficerowie wyszli.

Zegar bił siódmą z wieży. Na dziedzińcu konie stukały kopytami o kamienne płyty, a przez okno widać było ludzi czekających w gotowości. Dziwny niepokój ogarnął pana Andrzeja. Powtarzał sobie: — Jadę! jadę! — Wyobraźnia przesuwała mu przed oczyma nieznane kraje i tłum nieznanych twarzy, które miał zobaczyć, a jednocześnie chwytało go także zdziwienie na myśl o tej drodze, jak gdyby przedtem nigdy o niej nie myślał.

— Trzeba siąść na koń i ruszyć, a co się zdarzy, to się zdarzy... Co będzie, to będzie! — myślał sobie.

Teraz jednak, gdy konie parskały już za oknem i godzina odjazdu biła, czuł, że tamto życie będzie obce, a wszystko, z czem się zżył, do czego się wezwyczaił, z czem zrósł mimowoli duszą i sercem, to pozostanie w tym kraju, w tej okolicy, w tem mieście. Dawny Kmicic także zostanie tu, a tam pojedzie jakoby inny człowiek, tak obcy wszystkim, jak i wszyscy mu tam obcy. Trzeba mu tam będzie zacząć zupełnie nowe życie, a Bóg jeden raczy wiedzieć, czy stanie na to ochoty.

Pan Andrzej był znużony na duszy śmiertelnie i dlatego w tej chwili czuł się wobec tych nowych widoków i nowych ludzi bezsilnym... Pomyślał, że tu mu było źle i tam będzie źle, a przynajmniej ciężko bardzo.

Ale czas! czas! Trzeba czapkę na głowę włożyć i jechać!

Zali jednak bez pożegnania?

Możnaż to być tak blisko, a potem tak daleko, by słowa nie rzec i odjechać? Ot, do czego doszło! Ale co jej rzec?... Czy pójść i powiedzieć: „Zepsowało się wszystko... Idź waćpanna swoją drogą, ja pójdę swoją!“ Poco, poco to i mówić, gdy bez mówienia tak się stało. Toż on nie jest już jej narzeczonym, jako i ona nie jest i nie będzie jego żoną. Przepadło, zerwało się, co było i nie wróci i nie zwiąże się na nowo. Szkoda czasu, słów i nowej męki.

— Nie pójdę! — myślał Kmicic.

Lecz z drugiej strony łączy ich jeszcze wola zmarłego. Trzeba wyraźnie i bez gniewu umówić się o wieczne rozstanie i powiedzieć jej: „Waćpanna mnie nie chcesz, więc wracam ci słowo. Uważajmy oboje, jakoby testamentu nie było... i niech każde szuka szczęścia, gdzie może“.

Lecz ona może odpowiedzieć: „Jam to już dawno waćpanu oznajmiła, czemu mi teraz to powtarzasz?

— Nie pójdę! Niech co chce będzie! — powtórzył sobie Kmicic.

I nacisnąwszy czapkę na głowę, wyszedł ze stancji na

korytarz. Chciał wprost zejść na koń i co prędzej znaleźć się za bramą.

Nagle, na korytarzu, jakoby go coś za włosy chwyciło...

Owładnęła go taka chęć widzenia jej, przemówienia do niej, że przestał rozmyślać: czy iść, czy nie iść, przestał rozumować i biegł, a raczej pędził z zamkniętemi oczyma, jakby się chciał w wodę rzucić.

Przed samemi drzwiami, przed któremi warta już była zdjęta, natknął się na pacholika pana miecznika rosieńskiego.

— Jest pan miecznik w stancji? — spytał.

— Pan miecznik jest pomiędzy oficerami w cekhauzie.

— A panna?

— Panna jest.

— Ruszaj powiedzieć, że pan Kmicic wyjeżdża w długą drogę i chce pannę widzieć.

Pachołek usłuchał rozkazu, lecz nim wrócił z odpowiedzią, Kmicic pocisnął klamkę i wszedł bez pytania.

— Przychodzę waćpannę pożegnać, — rzekł, — bo nie wiem, czy się w życiu jeszcze obaczym.

Naglę zwrócił się do pachołka:

— Czego tu jeszcze stoisz?

— Moja mościa panno! — mówił dalej Kmicic, gdy drzwi za sługą zamknęły się. — Chciałem jechać bez pożegnania, ale nie mogłem. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę i czy wrócę, bo i o przygodę nietrudno. Lepiej nie rozstawajmy się z gniewem w sercu i z urazą, aby kara boska na które z nas nie spadła. Ej! siłaby mówić, siłaby mówić, a tu język wszystkiego nie wypowie. No! szczęścia nie było, woli bożej widać nie było, a teraz, choć ty człeku i łbem w mur bij, niema już rady, nijakiej! Nie winujże mnie waćpanna, to i ja cię nie będę winował. Już na ów testament nie trzeba zważać, bo jako rzekłem: nanic ludzka wola przeciw boskiej. Daj ci Boże szczęście i spokojność. Grunt, żeby sobie winy odpuścić.

Nie wiem, co mnie tam spotka, gdzie jadę... Ale już mi dłużej nie wysiedzieć w męce, w kłótni, w żalu... Człek się o cztery ściany w izbie rozbija, bez rady, mościa panno, bez rady! Niemasz tu nic innego do roboty, jeno się ze zgryzotą w bary brać, jeno myśleć po całych dniach, aż głowa boli, o nieszczęsnych terminach i wkońcu nic nie wymyślić... Trzeba mi tego wyjazdu, jako rybie wody, jako ptakowi powietrza, bo inaczejbym oszalał!

— Daj Boże i waćpanu szczęście! — odrzekła panna Aleksandra.

I stała przed nim, jakoby ogłuszona wyjazdem, widokiem i słowami pana Kmicica. Na twarzy jej malowało się zmieszanie i zdziwienie i widocznem było, że walkę ze sobą toczy, aby przyjść do siebie; tymczasem zaś spoglądała szeroko otwartemi oczyma na młodego junaka.

— Ja do waćpana nie chowam urazy... — rzekła po chwili.

— Bodaj tego wszystkiego nie było! — odrzekł Kmicic. — Jakowyś zły duch wszedł między nas i niby morzem nas rozdzielił. Ani tej wody przepłynąć, ani jej przebrnąć... Człek nie czynił tego, co chciał, nie szedł, gdzie zamierzył, jeno jakby go coś popychało, aż i zaszliśmy oboje na bezdroże. Ale skoro się mamy z oczu stracić, toć lepiej choć z dalekości zakrzyknąć sobie: „Bóg prowadź!“ Trzeba też waćpannie wiedzieć, że uraza i gniew to co innego, a żal co innego. Gniewum się wyzbył, ale żal we mnie siedzi — może nie do waćpanny. Bo ja sam wiem do kogo i do czego?... Myśląc, nic nie wymyślę, ale tak mi się zdaje, że lżej będzie i mnie i waćpannie, gdy się rozmówim. Waćpanna masz mnie za zdrajcę... i to mnie najgorzej kole, bo jak zbawienia duszy mojej pragnę, tak nie byłem i nie będę zdrajcą!

— Już tego nie myślę!... — rzekła Oleńka.

— Oj! jakże to mogłaś myśleć choć godzinę... Toż mnie znałaś, że dawniej do swawoli byłem gotów: usiec, podpalić kogoś, zastrzelić, to co innego, ale zdradzić dla

zysku, dla promocji — nigdy!... Brońże mnie Boże i sądź!... Waćpanna jesteś niewiasta i nie możesz rozumieć, w czem zbawienie ojczyzny, więc ci się nie godzi potępiać, ani wyroków dawać. A czemu potępiłaś?... A czemu wyrok wydałaś?... Bóg z tobą!... Wiedzże o tem, że zbawienie w księciu Radziwille i w Szwedach, a kto inaczej myśli, a zwłaszcza czyni, ten właśnie ojczyznę gubi. Ale nie czas mi dyskursować, bo czas jechać. Wiedz tylko, żem nie zdrajca, nie przedawczyk. Bodajem zginął, jeżeli nim kiedy będę!... Wiedz, żeś niesłusznie mną pogardziła, niesłuszznieś na śmierć skazała... To ci mówię pod przysięgą i na wyjezdnem, a mówię dlatego, ażeby zarazem powiedzieć: odpuszczam z serca, ale zato i ty mnie odpuść!

Panna Aleksandra przyszła już zupełnie do siebie.

— Co waćpan mówisz, żem cię niesłusznie posądzała, to prawda i wina moja, którą wyznawam... i o przebaczenie proszę...

Tu głos jej zadrgał i oczy niebieskie zaszły łzami, a on począł wołać z uniesieniem:

— Odpuszczam! odpuszczam! jabym ci i śmierć moją odpuścił!...

— Niechże waćpana Bóg prowadzi i nawróci na prawdziwą drogę, abyś zszedł z tej, po której błądzisz.

— Daj już pokój! daj już pokój! — zawołał gorączkowo Kmicic — aby znów niezgoda między nami nie powstała. Błądzę, czy nie błądzę, nie mów o tem! Każdy niech wedle sumienia idzie, a Bóg intencje osądzi. Lepiej, żem tu przyszedł, żem nie wyjechał bez pożegnania. Dajże mi rękę na drogę... Tyle mojego, bo jutro już cię nie będę widział, ani pojutrze, ani za miesiąc, może nigdy... Ej, Oleńka!... i w głowie się mąci... Oleńka! Zali się my już nie obaczym?...

Obfite łzy, jak perły, poczęły spadać jej z rzęs na policzki.

— Panie Andrzeju!... odstąp zdrajców!... a wszystko może być...

— Cicho!... a cicho!... — odrzekł Kmicic przerywanym głosem. — Nie może być!... Nie mogę... Lepiej nic nie mów... Bodaj mnie zabito! mniejsza byłaby męka... Dłaboga! zaco nas to spotyka?!... Bądźże zdrowa!... ostatni raz... A potem niech mi tam śmierć gdzie oczy stuli... Czego płaczesz?... Nie płacz, bo oszaleję!...

I w największem uniesieniu porwał ją wpół przemocą i choć się opierała, począł całować jej oczy, usta, potem do nóg się rzucił — nakoniec zerwał się jak szalony i chwyciwszy za czuprynę, wybiegł z komnaty, krzycząc:

— Djabeł tu nie pomoże, nietylko czerwona nitka!...

Przez okno widziała go jeszcze Oleńka, jak na koń siadał pośpiesznie, potem siedmiu jeźdźców ruszyło. Szkoci, trzymający straż w bramie, uczynili chrzęst bronią, prezentując muszkiety; następnie brama zawarła się za jeźdźcami i już ich nie było widać na ciemnej drodze, między drzewami.

Noc też zapadła zupełna.

ROZDZIAŁ XI.

Kowno i cały kraj po lewym brzegu Wilji, oraz wszystkie drogi zajęte były przez nieprzyjaciela, więc pan Kmicic nie mogąc na Podlasie jechać wielkim gościńcem, idącym z Kowna do Grodna, a stamtąd do Białegostoku, puścił się bocznemi drogami z Kiejdan wprost wdół, z biegiem Niewiaży, aż do Niemna, który przebywszy w pobliżu Wilków, znalazł się w województwie trockiem.

Całą tę, niezbyt zresztą wielką część drogi, odbył spokojnie, okolica ta bowiem leżała jakoby pod ręką Radziwiłła. Miasteczka, a gdzie niegdzie i wsie, zajęte były przez nadworne chorągwie hetmańskie lub przez małe oddziałki rajtarów szwedzkich, które hetman umyślnie powysuwał tak daleko przeciw zastępom Zołtareńki, stojącym tuż za Wilją, aby do zaczepki i do wojny łatwiej znalazła się okazja.

Rad byłby też i Zołtareńko „pohałasować" — wedle słów hetmana — ze Szwedami, ale natomiast ci, których był pomocnikiem, nie chcieli z nimi wojny, a przynajmniej pragnęli ją odłożyć do najdalszego terminu; odebrał więc Zołtareńko najsurowsze rozkazy, by za rzekę nie przechodził, a w razie, gdyby sam Radziwiłł w spółce ze Szwedami na niego ruszył, aby się cofał najprędzej.

Z tych to powodów, kraj po prawej stronie Wilji był spokojny, ale że przez rzekę spoglądały na się z jednej strony straże kozackie, z drugiej szwedzkie i radziwiłłowskie, więc lada chwila jeden wystrzał z muszkietu mógł straszną wojnę rozpętać.

W przewidywaniu tego, wcześnie chronili się ludzie do miejsc bezpiecznych. Więc kraj był spokojny, ale i pusty, Wszędy widział pan Andrzej opustoszałe miasteczka, popodpierane drągami okiennice dworów i całe wsie wyludnione.

Pola również były puste, bo stert tego roku na nich nie stawiano. Prosty lud chronił się w niezgłębione lasy, do których zabierał i spędzał wszelki dobytek, szlachta zaś uciekała do sąsiednich Prus elektorskich, narazie całkiem od wojny zabezpieczonych. Więc jeno na drogach i puszczańskich szlakach ruch był niezwykły, bo liczbę zbiegów powiększali ci jeszcze, którzy mogli z lewego brzegu Wilji, z pod ucisku Zoltareńki, się przeprawić.

Tych liczba była ogromna, a mianowicie chłopów, gdyż szlachta, która nie zdołała dotąd z lewego brzegu uskoczyć, w jasyr poszła lub gardła na progach domów oddała.

Spotykał więc pan Andrzej co chwila całe gromady chłopstwa z żonami i dziećmi, pędzące przed sobą trzody owiec, koni i bydła. Ta część województwa trockiego, dotykająca Prus elektorskich, zamożna była i żyzna, więc lud bogaty miał co chronić i przechowywać. Zbliżająca się zima nie odstraszała zbiegów, którzy woleli czekać na lepsze dnie wśród mchów leśnych, w szałasach, przykrytych śniegami,

niż we wsiach rodzinnych wyglądać śmierci z rąk nieprzyjaciela.

Kmicic częstokroć zbliżał się do uciekających gromad lub do ognisk, nocami w gąszczach leśnych błyszczących. Wszędy, gdzie tylko trafił na ludzi z lewego brzegu Wilji, z pod Kowna albo z dalszych jeszcze okolic, słyszał straszne opowiadania o okrucieństwach Zołtareńki i jego sprzymierzonych, którzy wycinali w pień ludność bez uwagi na wiek i płeć, palili wsie, wycinali nawet drzewa w sadach, ziemię i wodę tylko zostawując. Nigdy zagony tatarskie nie zostawiały za sobą takich spustoszeń.

Nie samą śmierć tylko zadawano mieszkańcom, bo wprzód mękami najwymyślniejszemi ich morzono. Wielu z tych ludzi uciekało w obłąkaniu umysłowem. Ci nocami napełniały głębie leśne strasznemi krzykami; inni, choć już przeszli na tę stronę Niemna i Wilji, choć już lasy i gąszcze i bagna przedzieliły ich od watah Zołtareńki, byli ciągle jakby w gorączce i oczekiwaniu napadu. Wielu wyciągało ręce do Kmicica i jego orszańskich jeźdźców, błagając o ratunek i miłosierdzie, jak gdyby nieprzyjaciel stał tuż nad nimi.

Uciekały ku Prusom i kolaski szlacheckie, wiozące starców, niewiasty i dzieci; za niemi ciągnęły wozy ze służbą, dostatkami, zapasami żywności, dobytkiem i rzeczami. Wszystko w popłochu, przestrachu i żałości, że na tułaczkę idzie.

Pan Andrzej pocieszał czasem tych nieszczęśliwych, mówiąc im, że rychło już Szwedzi rzekę przejdą i tamtego nieprzyjaciela het, daleko, wyżeną. Wówczas zbiegowie wyciągali ręce ku niebu i mówili:

— Daj Bóg zdrowie, daj Bóg szczęście księciu wojewodzie za to, że polityczny naród na naszą obronę sprowadził. Gdy Szwedzi wejdą, wrócim do domów, do pogorzelisk naszych...

I błogosławiono księcia powszechnie. Z ust do ust podawano sobie wiadomości, że lada chwila przejdzie Wilję

na czele własnych i szwedzkich wojsk. Zgóry wychwalano „skromność“ szwedzką, karność i dobre obchodzenie się z mieszkańcami. Radziwiłła zwano Gedeonem litewskim, Samsonem, zbawcą. Ci ludzie z okolic dymiących świeżą krwią i pożarem, wyglądali go, jak zbawienia.

A Kmicic, słysząc te błogosławieństwa, życzenia, te niemal modły, umacniał się w wierze względem Radziwiłła i powtarzał sobie w duszy:

— Takiemu to panu służę! Zamknę oczy i pójdę ślepo za jego fortuną. Straszny on czasem i niezbadany, ale większy ma rozum od innych, lepiej wie, czego trzeba i w nim jednym zbawienie.

Lżej mu się zrobiło i pogodniej w sercu na tę myśl, więc jechał dalej z większą otuchą w sercu, rozdzielając duszę między tęsknotę po Kiejdanach, a rozmyślania o nieszczęsnym stanie ojczyzny.

Tęsknota wzmagała się coraz bardziej. Czerwonej tasiemki za siebie nie rzucił, pierwszego ogniska wiadrem wody nie zalał, bo raz czuł, że to nanic, po wtóre nie chciał.

— Ej, żeby ona tu była, żeby te płakania i jęki ludzkie słyszała, nie prosiłaby Boga, by mnie nawrócił, nie mówiłaby mi, że błądzę, jako owi heretycy, którzy prawdziwą wiarę porzucili. Ale nic to! Prędzej później ona się przekona, pozna, że jej to rozum szwankował... A wtedy będzie, co Bóg da. Może się jeszcze w życiu spotkamy.

I tęsknota wzmagała się w młodym kawalerze, ale zarazem przekonanie, że po prawdziwej, nie błędnej drodze stąpa, dało mu spokój oddawna nieznany. Targanina myśli, zgryzoty, wątpliwości, opuszczały go zwolna i jechał przed siebie, zanurzał się w bezbrzeżne lasy prawie wesoło. Od czasu, jak po sławnych z Chowańskim gonitwach do Lubicza przyjechał, nie czuł, aby mu tak raźno było na świecie.

W tem wąsaty Charłamp miał słuszność, że niemasz jak droga na duszne troski i niepokoje. Zdrowie miał pan Andrzej żelazne, a fantazja wracała mu z każdą chwilą

i chęć przygód. Widział je przed sobą i uśmiechał się do nich i gnał konwój bez wytchnienia, ledwie się na krótkie noclegi zatrzymując.

Przed oczyma duszy stała mu ustawicznie Oleńka, spłakana, drżąca w jego ramionach jak ptak i mówił sobie: — Wrócę.

Czasem przesuwała się przed nim postać hetmana, posępna, ogromna, groźna. Ale może właśnie dlatego, że się od niej oddalał coraz bardziej, ta postać stawała mu się prawie drogą. Dotychczas uginał się przed Radziwiłłem. teraz zaczynał go kochać. Dotychczas Radziwiłł porywał go, jak potężny wir wodny porywa i przyciąga wszystko, co się w jego kolisko dostanie; teraz Kmicic czuł, że chce płynąć z nim razem z całej duszy.

I z odległości rósł ten olbrzymi wojewoda coraz bardziej w oczach młodego rycerza i prawie nadludzkie przybierał rozmiary. Nieraz na noclegu, gdy pan Andrzej zamykał do snu oczy, widział hetmana siedzącego na tronie, wyższym nad szczyty sosen. Korona na głowie jego, twarz ta sama, posępna, ogromna, w rękach miecz i berło, a pod stopami cała Rzeczpospolita.

I bił czołem w duszy przed wielkością.

Trzeciego dnia podróży zostawili za sobą daleko Niemen i weszli w kraj jeszcze lesistszy. Zbiegów na drogach napotykali ciągle całe gromady, a szlachta, która nie mogła oręża dźwigać, uchodziła prawie bez wyjątku do Prus przed podjazdami nieprzyjacielskiemi, które nie utrzymywane tutaj na wodzy, jak nad brzegami Wilji przez szwedzkie i radziwiłłowskie pułki, zapuszczały się czasem daleko w głąb kraju, aż pod samą granicę Prus elektorskich. Łupież bywała ich głównym celem.

Nieraz były też to watahy, niby do wojsk Zołtareńki należące, a w rzeczy nie uznające nad sobą niczyjej buławy — poprostu oddziały zbójeckie, tak zwane „partje“, nad któremi czasem i miejscowi opryszkowie mieli komendę. Te, unikając spotkania w polu z wojskiem, a nawet z pa-

chołkami miejskimi, napadały pomniejsze wsie, dwory i podróżników.

Gromiła ich szlachta na własną rękę ze swymi dworskimi ludźmi i ubierała nimi sosny przydrożne, jednakże łatwo było w lasach natknąć się na spore ich oddziały i dlatego musiał pan Andrzej zachowywać teraz nadzwyczajną ostrożnćść.

Lecz nieco dalej, w Pilwiszkach nad Szeszupą, zastał już pan Kmicic ludność spokojnie na miejscu siedzącą. Mieszczanie opowiedzieli mu jednak, że nie dawniej, jak parę dni temu, napadł na starostwo potężny oddział Zołtareńki, do pięciuset ludzi liczący, który byłby wedle zwyczaju w pień wyciął ludzi, a miasto puścił z dymem, gdyby nie niespodziewana pomoc, która jakoby z nieba im spadła.

— Bogu śmy się już polecali, — mówił dzierżawca zajazdu, u którego pan Andrzej kwaterą stanął, — gdy wtem święci Pańscy zesłali jakowąś chorągiew. Myśleliśmy zrazu, że nowy nieprzyjaciel, a to byli swoi. Skoczyli tedy wraz na Zołtareńkowych hultajów i w godzinę mostem ich położyli, ile że i z naszej strony pomoc była.

— Cóż to była za chorągiew? — pytał pan Andrzej.

— Niech im Bóg da zdrowie!... Nie opowiadali się co za jedni, my też nie śmieli pytać. Popaśli koniom, wzięli co było siana i chlebów i pojechali.

— Ale skąd przyszli i dokąd poszli?

— Przyszli od Kozłowej Rudy, a poszli na południe. My też, cośmy już wprzód chcieli w lasy uciekać, tośmy, rozmyśliwszy się, zostali, bo nam pan podstarości powiedział, że po takiej nauce nieprędko nieprzyjaciel do nas zajrzy.

Kmicica mocno zainteresowała wiadomość o owej bitwie, więc pytał dalej:

— I nie wiecie, kto tej chorągwi pułkownikuje?

— Nie wiemy, aleśmy pułkownika widzieli, bo na rynku z nami rozmawiał. Młody on i misterny, jako igła. Nie wygląda na takiego wojownika, jakim jest...

— Wołodyjowski! — zakrzyknął pan Kmicic.

— Czy on Wołodyjowski, czy nie, niech mu się ręce święcą, niechaj mu Bóg hetmanem pozwoli zostać!

Pan Andrzej zadumał się głęboko. Widocznie szedł tąż samą drogą, którą kilka dni temu przeciągnął pan Wołodyjowski z laudańskimi ludźmi. Jakoż było to naturalne, bo obaj zdążali na Podlasie. Ale panu Andrzejowi przyszło na myśl, że przyśpieszając podróż, łatwo mógł natknąć się na małego rycerza i wpaść w jego ręce, a w takim razie wszystkie listy radziwiłłowskie dostałyby się z nim razem w moc konfederatów. Wypadek podobny mógł zwichnąć całą jego misję i Bóg wie jakie szkody przynieść radziwiłłowskiej sprawie. Z tego powodu postanowił pan Andrzej pozostać parę dni w Pilwiszkach, aby laudańska chorągiew miała czas odjechać jak najdalej.

Ludzie też i konie, idące jednym niemal tchem z Kiejdan (bo małe tylko popasy czynili dotąd przez drogę), potrzebowali odpoczynku, więc pan Andrzej kazał żołnierzom zdjąć juki z koni i roztasować się w karczmie na dobre.

Na drugi dzień przekonał się, że uczynił nietylko roztropnie, ale i mądrze, albowiem zaledwie rano zdołał szaty przywdziać, gdy oberżysta stanął przed nim.

— Nowinę przynoszę waszej miłości — rzekł.

— A dobrą?

— Ni złą, ni dobrą, jeno, że mamy gości. Okrutny dwór zjechał tu dziś rano i stanął w starościńskim domu. Jest regiment piechoty, a co jazdy, karet, co służby!... Ludzie myśleli, że to sam król przyjechał.

— Jaki król?

Karczmarz począł obracać czapkę w ręku.

— Prawda, że to mamy teraz dwóch królów, ale nie żaden z nich przyjechał, jeno książę koniuszy.

Kmicic zerwał się na równe nogi.

— Co za książę koniuszy? książę Bogusław?...

— Tak jest wasza miłość. Brat stryjeczny księcia wojewody wileńskiego.

Pan Andrzej aż w ręcu klasnął ze zdziwienia.

— Oto się spotykamy!

Karczmarz zrozumiawszy, że jego gość jest znajomym księcia Bogusława, skłonił się niżej niż poprzedniego dnia i wyszedł z izby, a Kmicic począł ubierać się pośpiesznie i w godzinę później był już przed domem starościńskim.

W całem miasteczku roiło się od żołnierzy. Piechota ustawiała w kozły muszkiety na rynku; jazda pozsiadała już z koni i zajęła domostwa poboczne. Żołnierze i dworzanie, w najrozmaitszych ubiorach, stali przed domami lub przechadzali się po ulicach. Z ust oficerów słychać było rozmowę francuską i niemiecką. Nigdzie polskiego żołnierza, nigdzie polskiego moderunku, muszkietnicy i dragonja przybrani byli dziwacznie, inaczej nawet od cudzoziemskich chorągwi, które pan Andrzej w Kiejdanach widywał, bo nie na niemiecki, ale na francuski ład. Żołnierz jednak piękny i tak okazały, że każdego szeregowca za oficera można było poczytać, zachwycał oczy pana Andrzeja. Oficerowie spoglądali też na niego z ciekawością, bo wystroił się odświętnie w aksamity i złotogłów, a sześciu ludzi, przybranych w nową barwę, szło dla asystencji za nim.

Na podwórzu starościńskiego dworu kręcili się dworzanie, wszyscy postrojeni na francuski sposób: więc paziowie w berecikach z piórami, rękodajni w aksamitnych kaftanach, masztalerze w szwedzkich wysokich butach z kolistemi cholewami.

Widocznie książę nie miał zamiaru zatrzymywać się dłużej w Pilwiszkach i wstąpił tylko na popas, gdyż karet nie pozataczano do wozowni, a konie karmili masztalerze napoczekaniu z blaszanych sit, które trzymali w ręku.

Kmicic oznajmił się oficerowi, trzymającemu straż przed domem, kto jest i z czem jedzie, ten zaś poszedł zdać sprawę księciu. Po chwili wrócił pośpiesznie z zawiadomieniem, iż książę pilno chce widzieć wysłannika hetmańskiego.

i wskazując Kmicicowi drogę, wszedł wraz z nim do domu.

Przeszedłszy sień, w pierwszej izbie stołowej zastali kilku dworzan, siedzących z powyciąganemi nogami na krzesłach i drzemiących smaczno, bo widać wczesnym rankiem musieli z ostatniego popasu wyjechać. Przed drzwiami następnej komnaty oficer zatrzymał się i skłoniwszy się panu Andrzejowi, rzekł po niemiecku:

— Tam jest książę.

Pan Andrzej wszedł i zatrzymał się w progu. Książę siedział przed lustrem, ustawionem w rogu komnaty i tak uważnie wpatrywał się w twarz swoją, świeżo widocznie powleczoną różem i bielidłem, że nie zwrócił uwagi na wchodzącego. Dwóch pokojowych, klęcząc przed nim, dopinało mu sprzączki na przegubach nóg u wysokich podróżnych butów, on zaś rozczesywał zwolna palcami bujną, równo uciętą nad czołem grzywkę jasnozłotej peruki lub też może własnych, obfitych włosów.

Był to młody jeszcze człowiek, lat trzydziestu pięciu, a wyglądający najwyżej na dwadzieścia pięć. Kmicic znał go, ale zawsze spoglądał nań z ciekawością, raz dla wielkiej sławy rycerskiej, jaka otaczała księcia Bogusława, a jaką zjednały mu głównie pojedynki z rozmaitymi zagranicznymi magnatami odbyte, po wtóre dla jego szczególnej postawy, którą gdy raz ktoś ujrzał, na zawsze musiał zapamiętać. Książę bowiem wysoki był i silnie zbudowany, ale nad szerokiemi jego ramionami wznosiła się głowa tak mała, jak gdyby z innego ciała zdjęta. Twarz miał również niezwykle drobną, prawie młodzieńczą, ale i w niej nie było proporcji, nos miał bowiem duży rzymski i ogromne oczy, niewypowiedzianej piękności i blasku, z orlą prawie śmiałością spojrzenia. Wobec tych oczu i nosa, reszta twarzy, okolonej w dodatku długiemi, obfitemi puklami włosów, nikła prawie zupełnie; usta miał niemal dziecinne, nad niemi mały wąsik, ledwie pokrywający górną wargę. Delikatność cery, podniesiona różem i bielidłem, czyniła go podobnym do panny, a jednocześnie zuchwałość, duma i pewność siebie, malujące się

w obliczu, nie pozwalały zapominać, iż jest to ów słynny *chercheur de noises*, jak go przezywano na dworze francuskim, człowiek, u którego ostre słowo łatwo wychodziło z ust, ale szpada jeszcze łatwiej z pochwy.

W Niemczech, w Holandji i we Francji opowiadano dziwy o jego czynach wojennych, kłótniach, zajściach i pojedynkach. On to w Holandji rzucał się w największy war bitwy, między niezrównane pułki piechoty hiszpańskiej i własną książęcą ręką zdobywał chorągwie i działa; on na czele regimentów księcia Oranji zdobywał baterje, przez starych wodzów uznane za niepodobne do zdobycia; on nad Renem, na czele muszkieterów francuskich, rozbijał ciężkie chorągwie niemieckie, w trzydziestoletniej wojnie wyćwiczone; on ranił w pojedynku, we Francji, najsłynniejszego między kawalerami francuskimi fechtmistrza, księcia de Fremouille; drugi słynny zabijaka, baron von Goetz, prosił go na klęczkach o darowanie życia; on ranił barona Grota, za co musiał od brata Janusza słuchać gorzkich wymówek, iż pospolituje godność swą książęcą, stawając do walki z nierównego stanu ludźmi, on wreszcie wobec całego dworu francuskiego, na balu w Luwrze, uderzył w twarz margrabiego de Rieux za to, iż mu „szpetnie“ przymówił.

Pojedynki odbywane incognito po mniejszych miastach, oberżach i zajazdach, nie wchodziły oczywiście w rachubę.

Była to mieszanina zniewieściałości i nieokiełznanej odwagi. W czasie odwiedzin rzadkich i krótkich ojczystego kraju, zabawiał się zatargami z rodziną Sapiehów i łowami. Ale wówczas leśniczowie musieli mu wyszukiwać niedźwiedzice z małemi, jako bardziej niebezpieczne i zaciekłe, na które szedł zbrojny tylko oszczepem. Zresztą nudził się w kraju i, jako się rzekło, zjeżdżał niechętnie, najczęściej czasu wojny; wielkiem zwycięstwem odznaczył się pod Beresteczkiem, Mohylowem, Smoleńskiem. Wojna była jego żywiołem, chociaż umysł bystry i giętki, zarówno się do intryg i do dyplomatycznych wybiegów nadawał.

W tych umiał być cierpliwy i wytrwały, daleko wy-

trwalszy, aniżeli w „amorach“, których długi szereg dopełniał historji jego życia. Książę, na dworach, na których przebywał, był postrachem mężów, mających piękne żony. Zapewne dlatego sam nie był dotąd żonaty, chociaż zarówno wysokie urodzenie, jak nieprzebrana niemal fortuna, czyniły z niego jedną z najbardziej pożądanych partyj w Europie. Swatali go sami królestwo francuscy, Marja Ludwika polska, książę Oranji i wuj elektor brandenburski, ale on wolał dotąd swoją swobodę.

— Wiana nie potrzebuję, — mawiał cynicznie, — a innych uciech i tak mi nie brak.

W ten sposób doszedł trzydziestu pięciu lat wieku.

Kmicic stojąc w progu, przypatrywał się tedy z ciekawością jego twarzy, którą odbijało zwierciadło, a on rozczesywał w zamyśleniu włosy grzywki nad czołem, nakoniec gdy pan Andrzej chrząknął raz i drugi, rzekł, nie odwracając głowy.

— A kto tam? Czy nie posłaniec od księcia wojewody?

— Nie posłaniec, ale od księcia wojewody! — odrzekł pan Andrzej.

Wówczas książę odwrócił głowę, a spostrzegłszy świetnego młodzieńca, poznał, że nie ze zwykłym sługą ma do czynienia.

— Wybaczaj waćpan, panie kawalerze, — rzekł uprzejmie, — bo widzę, żem się co do szarży osoby omylił. Ale wszakże twarz waćpana mi znana, choć sobie nazwiska nie mogę przypomnieć? Waść jesteś dworzaninem księcia hetmana?

— Nazywam się Kmicic, — odpowiedział pan Andrzej, — a dworzaninem nie jestem, jeno pułkownikiem, od czasu, jakem księciu hetmanowi własną chorągiew przyprowadził.

— Kmicic! — zawołał książę — ten sam Kmicic, sławny z ostatniej wojny, który Chowańskiego podchodził, a później na własną rękę niezgorzej sobie radził?... Toż ja siła o waćpanu słyszałem!

To rzekłszy książę, począł uważniej i z pewnem upodobaniem spoglądać na pana Andrzeja, bo z tego, co o nim słyszał, miał go za człeka własnego pokroju.

— Siadaj, panie kawalerze — rzekł, — rad cię bliżej poznam. A co tam słychać w Kiejdanach?

— Oto jest list księcia hetmana — odrzekł Kmicic.

Pokojowi, skończywszy zapinać książęce buty, wyszli, a książę złamał pieczęć i począł czytać. Po chwili na twarzy jego odbiła się nuda i zniechęcenie. Rzucił list pod lustro i rzekł:

— Nic nowego! Radzi mi książę wojewoda, abym się do Prus, do Tylcy albo do Taurogów przeniósł, co, jak waść widzisz, czynię właśnie. Ma foi! nie rozumiem pana brata... Donosi mi, że elektor w margrabstwie i że się do Prus przez Szwedów przebrać nie może, a pisze jednocześnie, że aż mu włosy na głowie powstają, iż się z nim do succursu, ani do receptu nie znoszę. A jakże to ja mam czynić? Jeżeli się kurfirst przez Szwedów nie może przebrać, to jakże się mój posłaniec przebierze? Na Podlasiu siedziałem, bom nie miał nic innego do roboty. Powiem ci, mój kawalerze, żem się nudził, jak djabeł na pokucie. Niedźwiedzie, co były blisko Tykocina, wykłułem; białogłowy tamtejsze kożuchami cuchną, którego zapachu nozdrza moje znieść nie mogą... Ale!... Rozumieszże ty, panie kawalerze, po francusku albo po niemiecku?

— Rozumiem po niemiecku — rzekł Kmicic.

— To chwała Bogu!... Będę mówił po niemiecku, bo mi od waszej mowy wargi pierzchną.

To rzekłszy książę, wysunął dolną wargę i począł dotykać jej zlekka palcami, jakby chcąc przekonać się, czy nie opierzchła lub nie popękała; następnie spojrzał w lustro i mówił dalej:

— Doszły mnie posłuchy, że koło Łukowa jakiś szlachcic Skrzetuski ma żonę cudnej urody. Daleko to!... Ale jednak posłałem ludzi, żeby mi porwali i przywieźli... Tym-

czasem, czy uwierzysz, panie Kmicic, nie znaleziono jej w domu!

— Szczęście to, — rzekł pan Andrzej, — bo to żona zacnego kawalera, sławnego zbarażczyka, który ze Zbaraża przez wszystką potęgę Chmielnickiego się przedarł.

— Męża oblegano w Zbarażu, a jabym żonę oblegał w Tykocinie... Czy myślisz waćpan, żeby się tak samo zacięcie broniła?

— W. ks. mość rady wojennej nie potrzebowałbyś przy takiem oblężeniu, niechże się i bez mojej opinji obejdzie! — odrzekł szorstko pan Andrzej.

— Prawda! szkoda o tem mówić — odrzekł książę. — Wracam do sprawy: czy waćpan masz jeszcze jakie listy?

— Do w. ks. mości co miałem, to oddałem, a oprócz tego mam do króla szwedzkiego. Czy w. ks. mości nie wiadomo, gdzie go mam szukać?

— Nic nie wiem. Co ja mam wiedzieć? W Tykocinie go niema, mogę ci za to zaręczyć, bo gdyby tam raz zajrzał, toby się panowania nad całą Rzecząpospolitą wyrzekł. Warszawa już w rękach szwedzkich, jak to wam pisałem, ale tam też jego królewskiej mości nie znajdziesz. Musi być pod Krakowem, albo w samym Krakowie, jeśli się dotąd do Prus Królewskich nie wybrał. W Warszawie dowiesz się o wszystkiem. Wedle mojego zdania, musi Karol Gustaw o miastach pruskich pomyśleć, bo ich za sobą nie może zostawiać. Ktoby się spodziewał, że gdy cała Rzeczpospolita odstępuje pana, gdy wszystka szlachta łączy się ze Szwedem, gdy województwa poddają się jedne za drugiemi — wówczas właśnie miasta pruskie, Niemcy i protestanci, nie chcą o Szwedach słyszeć i do oporu się gotują. Oni chcą wytrwać, oni Rzeczpospolitą ratować i Jana Kazimierza utrzymać! Zaczynając tę robotę, myśleliśmy, że będzie inaczej, że właśnie przedewszystkiem oni pomogą nam i Szwedom do pokrajania tego bochenka, który waszą Rzecząpospolitą nazywacie. A tu ani rusz! Całe szczęście, że książę elektor ma tam na nich oko. Ofiarował

już im pomoc przeciw Szwedom, ale Gdańszczanie mu nie ufają i mówią, że sami dość sił mają...

— Wiemy już o tem w Kiejdanach — rzekł Kmicic.

— Jeżeli nie mają dość sił, to w każdym razie mają dobry węch, — mówił dalej, śmiejąc się, książę, — bo wujowi elektorowi tyle, mniemam, chodzi o Rzeczpospolitą, ile i mnie, albo księciu wojewodzie wileńskiemu.

— Wasza książęca mość pozwoli, że zaneguję — rzekł porywczo Kmicic. — Księciu wojewodzie wileńskiemu tylko o Rzeczpospolitą chodzi, dla której w każdej chwili gotów wydać ostatnie tchnienie i ostatnią krew wylać.

Książę Bogusław począł się śmiać.

— Młody jesteś, kawalerze, młody! Ale mniejsza z tem! Owóż wujowi elektorowi chodzi o to, by mógł Prusy Królewskie zacapić i dlatego tylko ofiaruje im swą pomoc. Gdy je raz będzie miał w ręku, gdy do miast swoje załogi powprowadza, gotów nazajutrz zgodzić się ze Szwedami, ba, nawet z Turczynem i z djabłami. Niechby mu jeszcze Szwedzi kawał Wielkopolski dodali, gotów im pomagać ze wszystkich sił do zabrania reszty. W tem tylko bieda, że i Szwedzi ostrzą zęby na Prusy i stąd dyfidencje pomiędzy nimi i elektorem.

— Ze zdumieniem słucham słów w. ks. mości! — rzekł Kmicic.

— Djabli mnie brali na Podlasiu, — odpowiedział książę, — że musiałem tyle czasu bezczynnie siedzieć... Ale cóż miałem robić? Stanął układ między mną a księciem wojewodą, że póki w Prusach rzeczy się nie wyklarują, ja nie przejdę otwarcie na stronę szwedzką. I to słuszna, bo w ten sposób furtka zostaje otwarta. Posłałem nawet sekretnych gońców do Jana Kazimierza, oznajmiając, że gotówem zwołać pospolite ruszenie na Podlasiu, byle mi manifest przysłano. Król jak król, dałby się może wywieść w pole, ale królowa widocznie mi nie ufa i musiała odradzić. Żeby nie baby, to dziś stałbym na czele wszystkiej szlachty podlaskiej, a co większa, konfederaci owi, którzy teraz

pustoszą dobra księcia Janusza, nie mieliby innej rady, jak pójść pod moją komendę. Głosiłbym się stronnikiem Janą Kazimierza, a w rzeczy, mając w ręku siłę, targowałbym się ze Szwedami. Ale ta baba wie, jak trawa rośnie i najtajniejszą myśl odgadnie. Król to prawdziwy, nie królowa! Więcej ona ma dowcipu w jednym palcu niż Jan Kazimierz w całej głowie.

— Książę wojewoda... — zaczął Kmicic.

— Książę wojewoda — przerwał z niecierpliwością Bogusław — wiecznie spóźnia się ze swemi radami; pisze mi w każdym liście: ‚zrób to a to“, a ja właśnie już to dawno zrobiłem. Książę wojewoda głowę prócz tego traci... Bo, słuchaj kawalerze, czego jeszcze ode mnie wymaga...

Tu książę chwycił list i począł czytać głośno:

„Sam WXMć w drodze, bądź ostrożnym, a o tych frantach konfederatach, którzy się przeciw mnie zbuntowali i na Podlasiu grasują, dlaboga, pomyśl WXMć, żeby ich rozproszyć, żeby do króla nie szli. Gotują się na Zabłudów, a tam piwa mocne; jako się popiją, żeby ich wyrznęli, każdy gospodarz swego. Bo nie godzi się nic lepszego, ale capita uprzątnąwszy, poszłoby to w rozdrób“.

Tu Bogusław rzucił z niechęcią list na stół.

— Słuchajże, panie Kmicic, — rzekł — więc ja mam razem wyjeżdżać do Prus i razem urządzać rzeź w Zabłudowie? Razem udawać jeszcze stronnika Jana Kazimierza i patrjotę i razem wycinać tych ludzi, którzy króla i ojczyzny nie chcą zdradzić? Jestże to sens? Zali to się jedno drugiego trzyma? M a f o i ! książę hetman głowę traci. Toć ja i teraz właśnie spotkałem, ot, idąc już tu do Pilwiszek, po drodze, całą jąkąś zbuntowaną chorągiew, walącą na Podlasie. Byłbym im chętnie po brzuchach przejechał, choćby dlatego, ażeby mieć uciechę; ale póki nie jestem otwartym szwedzkim partyzantem, póki wuj elektor rzekomie jeszcze z miastami pruskiemi, a zatem z Janem Kazimierzem trzyma, nie mogę sobie takich uciech pozwalać, dalibóg, nie mogę... Co mogłem najwięcej zrobić, to politykować z tymi buntow-

nikami, jak i oni ze mną politykowali, podejrzywając mnie wprawdzie o praktyki z hetmanem, ale nie mając czarno na białem.

Tu książę rozparł się wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi i założywszy niedbale ręce pod głowę, począł powtarzać:

— Ej, galimatjas w tej waszej Rzeczypospolitej, galimatjas!... W świecie niczego podobnego niemasz!...

Poczem umilkł na chwilę; widocznie jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo się uderzył w perukę i spytał:

— A waćpan nie będziesz na Podlasiu?

— Jakże! — rzek Kmicic. — Muszę tam być, bo mam list z instrukcjami do Harasimowicza, podstarościego w Zabłudowie.

— Na Boga! — rzekł książę. — Harasimowicz tu jest ze mną. Jedzie z rzeczami hetmańskiemi do Prus, bo tam baliśmy się, żeby nie wpadły w ręce konfederackie. Czekaj waść, każę go zawołać.

Tu książę zakrzyknął na pokojowca i kazał mu wołać podstarościego. sam zaś rzekł:

— A to się dobrze składa! Oszczędzisz sobie waćpan drogi... Chociaż... może i szkoda, że na Podlasie nie pojedziesz. bo tam między głowami konfederacji jest i twój imiennik... Mógłbyś go skaptować.

— Nie miałbym na to czasu, — rzekł Kmicic, — gdyż mi do króla szwedzkiego i do pana Lubomirskiego pilno.

— A, to masz listy i do pana marszałka koronnego? Ej, odgaduję o co chodzi... Niegdyś pan marszałek myślał swatać synalka z córką Janusza... Czyby teraz hetman nie chciał delikatnie odnowić rokowań?...

— O to właśnie idzie.

— Dzieci to oboje zupełne... Hm! delikatna to misja, bo hetmanowi nie wypada pierwszemu się wpraszać. Przytem...

Tu książę zmarszczył brwi.

— Przytem nie będzie z tego nic... Nie dla Herakljusza córka księcia hetmana. Ja ci to mówię! Książę hetman po-

winien to rozumieć, że jego fortuna musi zostawać w ręku Radziwiłłów.

Kmicic spoglądał ze zdziwieniem na księcia. który chodził coraz śpieszniejszym krokiem po izbie. Nagle zatrzymał się przed panem Andrzejem i rzekł:

— Daj mi parol kawalerski, że odpowiesz prawdę na moje pytanie.

— Mości książę, — rzekł Kmicic, — łżą ci tylko, którzy się boją. a ja się nikogo nie boję.

— Czy książę wojewoda kazał zachować sekret przede mną o rokowaniach z Lubomirskim?

— Gdybym miał taki rozkaz, tobym o panu Lubomirskim wcale nie był wspomniał.

— Mogło ci się wymknąć. Daj parol!

— Daję — rzekł Kmicic, marszcząc brwi.

— Ciężar mi zdjąłeś z serca, bo myślałem, że książę wojewoda i ze mną podwójną grę prowadzi.

— Nie rozumiem w. ks. mości.

— Nie chciałem żenić się we Francji z Rohanówną, nie licząc z pół kopy innych księżniczek, które mi swatano... Czy wiesz dlaczego?

— Nie wiem.

— Bo jest układ pomiędzy mną a księciem wojewodą, że jego dziewka i jego fortuna dla mnie rosną. Jako wierny sługa Radziwiłłów, możesz wiedzieć o wszystkiem.

— Dziękuję za ufność... Ale w. ks. mość mylisz się... Nie jestem sługą Radziwiłłów.

— Kimże ty jesteś?

— Hetmańskim, nie dworskim jestem pułkownikiem, a w dodatku księcia wojewody krewnym.

— Krewnym?

— Bom z Kiszkami spowinowacony, a hetman rodzi się z Kiszczanki.

Książę Bogusław popatrzył przez chwilę na Kmicica, na którego twarz wystąpiły lekkie rumieńce. Nagle wyciągnął rękę i rzekł:

— Przepraszam cię, kuzynie, i winszuję parenteli...

Ostatnie słowa były powiedziane z jakąś niebdałą, lubo wytworną grzecznością, w której jednak było coś wprost dla pana Andrzeja bolesnego. Policzki jego zarumieniły się jeszcze bardziej i już otwierał usta, aby coś żywo powiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i gubernator Harasimowicz ukazał się w progu.

— Jest list do waści — rzekł książę Bogusław.

Harasimowicz skłonił się księciu, a następnie panu Andrzejowi, który podał mu list książęcy.

— Czytaj waść! — rzekł książę Bogusław.

Harasimowicz począł czytać:

„Panię Harasimowicz! Teraz czas pokazać życzliwość dobrego sługi ku panu. Cokolwiek pieniędzy zebrać możecie i wy w Zabłudowie i pan Przyński w Orlu...“

— Pana Przyńskiego konfederaci usiekli w Orlu, — przerwał książę, — dlatego pan Harasimowicz daje drapaka...

Podstarości skłonił się i czytał dalej:

„...i pan Przyński w Orlu, choć publicznych podatków, choć czynszów, arend...“

— Już je konfederaci wybrali — przerwał znów książę Bogusław.

„...przesyłajcie mi jak najprędzej (czytał dalej Harasimowicz). Możecie-li i wsie jakie sąsiadom lub mieszczanom zastawić, biorąc pieniądze co najwięcej na nie; i gdziekolwiek się jeno sposób poda, na dostanie onych, starajcie się i do mnie odsyłajcie. Konie i rzeczy wszystkie, cokolwiek tam jest, ba! i w Orlu lichtarz wielki i co inszego, obrazy i ochędóstwa, a najbardziej działa owe, co w ganku stoją, przy księciu jmci panu bracie, wyszlijcie, bo alias rozbojów bać się trzeba...“

— Znowu spóźniona rada, bo działa idą już ze mną! — rzekł książę.

„...Jeśliby z łożami ciężko było, to same tylko działa bez łożów i to okryć, żeby nie wiedziano, co wiozą. A te rzeczy

do Prus jak najprędzej wymknąć, strzegąc się najbardziej tych zdrajców, co w wojsku mojem bunt podniósłszy, starostwa moje tłoczą...“

— Oj! co tłoczą, to tłoczą! Wycisną je na twaróg! — przerwał znów książę.

„...starostwa moje tłoczą i na Zabłudów się gotują, idąc znadź do króla. Z którymi bić się trudno, bo przecie gromada, ale albo ich wpuściwszy, pięknie popoić, a w nocy śpiących wyrznąć (każdy gospodarz uczynić to może), albo ich w piwach mocnych potruć, albo, o co tam nietrudno, swawolną także kupą na nich zemknąć, coby się na nich obłowili...“

— No, nic nowego! — rzekł książę Bogusław. — Możesz, panie Harasimowicz, jechać dalej ze mną...

— Jest jeszcze suplement — odrzekł podstarości.

I począł czytać dalej:

„...Win, jeśli nie można wywieźć (bo tu już u nas nigdzie nie dostanie), tedy wskok za gotowe posprzedawać...“

Tu pan Harasimowicz sam przerwał i chwycił się za głowę.

— Dlaboga! wina idą o pół dnia drogi za nami i pewno wpadły w ręce tej chorągwi zbuntowanej, która koło nas przechodziła. Będzie szkody na jakie tysiąc czerwonych złotych. Niech w. ks. mość świadczy za mną, że sama mi kazała czekać, aż beczki na wozy wpakują.

Strach pana Harasimowicza byłby jeszcze większy, gdyby pan Harasimowicz znał pana Zagłobę i gdyby wiedział, że się właśnie w owej chorągwi znajduje. Tymczasem jednak książę Bogusław rozśmiał się i rzekł:

— Niech im będzie na zdrowie! Czytaj dalej!

„...jeśli się zaś kupiec nie znajdzie...“

Książę Bogusław wziął się aż pod boki ze śmiechu:

— Już się znalazł, — rzekł, — jeno trza mu będzie borgować.

„...jeśli się kupiec nie znajdzie (czytał żałosnym głosem

Harasimowicz), tedy w ziemię pozakopywać, byle nieznacznie, żeby nad dwóch o tem nie wiedziało. Beczkę jednak jaką jedną i drugą w Orlu i w Zabłudowie zostawić, a to z lepszych i słodszych, coby się ułakomili na nią, a podprawić mocno trucizną, żeby starszyzna przynajmniej powyzdychała, to się drużyna rozbieży. Dlaboga, życzliwie mi w tem posłużcie, a sekretnie, przez miłosierdzie Boże!... A palcie, co piszę i ktokolwiek o czem wiedzieć będzie odsyłajcie go do mnie. Albo sami najdą i wypiją, albo jednając, może im ten napój podarować...“

Podstarości skończył czytać i począł patrzeć na księcia Bogusława, jakby czekając instrukcyj, a książę rzekł:

— Widzę, że tęgo brat mój myśli o konfederatach, szkoda tylko, że jak zwykle, za późno!... Żeby się był dwa tygodnie, albo choć tydzień temu, na ów dowcip zdobył, możnaby było popróbować. A teraz ruszaj z Bogiem, panie Harasimowicz, bo już cię nie potrzebujem.

Harasimowicz skłonił się i wyszedł.

Książę Bogusław stanął przed zwierciadłem i począł się przyglądać starannie własnej postaci, przyczem poruszał zlekka głową w prawo i w lewo, to oddalał się od lustra, to zbliżał, to potrząsał puklami włosów, to strzygł oczyma zukosa, nie zważając wcale na Kmicica, który siedział w cieniu, odwrócony plecami do okna.

Gdyby jednak był rzucił chociaż jedno spojrzenie na twarz pana Andrzeja, poznałby, iż w młodym pośle dzieje się coś dziwnego, twarz bowiem Kmicica była blada, na czole osiadły mu gęste krople potu, a ręce drgały konwulsyjnie. Przez chwilę podniósł się z krzesła i znowu zaraz usiadł, jak człowiek, który walczy ze sobą i przełamuje w sobie wybuch gniewu lub rozpaczy. Nakoniec rysy jego ściągnęły się i zakrzepły; widocznie całą siłą potężnej woli i energji nakazał sobie spokój i zapanował nad sobą zupełnie.

— W. ks. mość, — rzekł, — z tego zaufania, jakiem mnie książę hetman obdarza, widzisz w. ks. mość, że tajem-

nicy nie chce z niczego przede mną robić. Należę duszą i mieniem do jego robót; przy jego i waszej ks. mości fortunie może i moja wyrosnąć. dlatego, gdzie wy idziecie, tam i ja pójdę... Na wszystkom gotów! Ale, choć w onych sprawach służę i w nich się obracam, przecie pewnie nie wszystko zgoła rozumiem, ani też wszystkich arkanów własnym. słabym dowcipem przeniknąć mogę.

— Czego tedy życzysz, panie kawalerze, a raczej piękny kuzynie? — spytał książę.

— O naukę w. ks. mości proszę, bo też wstydby mi było, gdybym się przy takich statystach niczego nie zdołał nauczyć. Nie wiem tylko, czy w. ks. mość raczysz mi szczerze odpowiedzieć?

— To będzie zależało od twego pytania i od mego humoru — odrzekł Bogusław, nie przestając patrzeć w lustro.

Oczy Kmicica błysnęły przez chwilę, lecz mówił dalej spokojnie:

— Owóż tak jest: książę wojewoda wileński wszystkie swe postępki dobrem i zbawieniem Rzeczypospolitej osłania. Już też ta Rzeczpospolita z ust mu nie schodzi. Raczże mi w. ks. mość szczerze powiedzieć: pozory-li to tylko konieczne, czyli naprawdę książę hetman ma tylko dobro Rzeczypospolitej na celu?...

Bogusław rzucił bystre, przelotne spojrzenie na pana Andrzeja.

— A jeżelibym ci powiedział, że to pozory, czylibyś pomagał dalej?

Kmicic ruszył niedbale ramionami.

— Ba! jako rzekłem. moja fortuna przy fortunie w. ks. mościów wyrośnie. Byle się to stało, wszystko mi zresztą jedno!

— Wyjdziesz na człowieka! Pamiętaj, że ci to przepowiadam. Ale czemu to brat nigdy z tobą szczerze nie mówił?

— Może dlatego, że skrupulat, a może, ot tak! nie zgadało się!

— Bystry masz dowcip kawalerze, bo to szczera prawda,

że on skrupulat i niechętnie prawdziwą skórą pokazuje. Jak mi Bóg miły, prawda! Taka już jego natura. Toż on i ze mną gadając, skoro się tylko zapomni, zaraz zaczyna mowę miłością dla ojczyzny koloryzować. Dopiero jak mu się w oczy rozśmieję, to się opatrzy. Prawda! prawda!

— Więc to tedy jeno pozory? — pytał Kmicic.

Książę przekręcił krzesło, siadł na niem jak na koniu i wsparłszy ręce na poręczy, milczał chwilę, jakby się namyślając, poczem rzekł:

— Słuchaj, panie Kmicic! Gdybyśmy, Radziwiłłowie, żyli w Hiszpanji, we Francji, albo w Szwecji, gdzie syn po ojcu następuje i gdzie prawo królewskie z Boga samego wypływa, tedy, pominąwszy jakieś wojny domowe, jakieś rodu królewskiego wygaśnięcie, jakieś nadzwyczajne zdarzenia, służylibyśmy pewnie królowi i ojczyźnie, kontentując się jeno najwyższemi urzędami, które nam się z rodu i fortuny przynależą. Ale tu, w tym kraju, gdzie król nie ma za sobą Bożego prawa, jeno go szlachta kreuje, gdzie wszystko in liberis suffragiis, słusznie czyniliśmy sobie pytanie: dlaczego to Waza, a nie Radziwiłł ma panować?... Nic to jeszcze Waza, boć oni z królów dziedzicznych ród wiodą, ale kto nam zaręczy, kto nas upewni, że po Wazach nie przyjdzie szlachcie fantazja do głowy posadzić na stolcu królewskim i wielkoksiążęcym choćby pana Harasimowicza albo jakiego pana Mieleszkę, albo jakiego pana Piegłasiewicza z Psiej Wólki. Tfu! czy ja wiem wreszcie kogo?... A my? Radziwiłłowie i książęta Rzeszy Niemieckiej, mamyże po staremu przystępować do całowania jego królewskiej-piegłasiewiczowskiej ręki... Tfu! do wszystkich rogatych djabłów, kawalerze, czas z tem skończyć!... Spojrz przytem na Niemcy, ilu tam książąt udzielnych mogłoby, z uwagi na fortunę, na podstarościch do nas się zgodzić. A przecie mają swoją udzielność, a przecie panują, a przecie korony na głowach noszą i miejsca przed nami biorą, choćby im słuszniej wypadało ogony u naszych płaszczów nosić. Czas

z tem skończyć, panie kawalerze, czas spełnić to, o czem ojciec mój już zamyślał!

Tu książę ożywił się, wstał z krzesła i począł chodzić po komnacie.

— Nie obejdzie się to bez trudności i impedimentów, — mówił dalej, — bo ołyccy i nieświescy Radziwiłłowie nie chcą nam pomagać. Wiem, że książę Michał pisał do brata, że nam raczej o włosiennicy, nie o płaszczu królewskim myśleć. Niechże sam o niej myśli, niech pokuty odprawia, niech na popiele siada, niech mu jezuici skórę dyscyplinami garbują; skoro kontentuje się krajczostwem, niechże przez całe cnotliwe życie, aż do cnotliwej śmierci, kapłony cnotliwie kraje! Obejdziem się bez niego i rąk nie opuścimy, bo teraz właśnie pora. Rzeczpospolitą djabli biorą, bo już tak bezsilna, na takie psy zeszła, że się nikomu nie może opędzić. Wszyscy lezą w jej granice, jak przez rozgrodzony płot. To, co tu się ze Szwedami stało, nie przytrafiło się dotąd nigdy na świecie. My, panie kawalerze, możem wprawdzie śpiewać: T e D e u m l a u d a m u s ! a swoją drogą to niesłychana i niebywała rzecz... Jakto, najezdnik uderza na kraj, najezdnik znany z drapieżności i nietylko nie znajduje oporu, ale kto żyw opuszcza dawnego pana i śpieszy do nowego: magnates, szlachta, wojsko, zamki, miasta, wszyscy!... bez czci, sławy, honoru, wstydu!... Historja drugiego takiego przykładu nie podaje! Tfu! tfu! panie kawalerze! kanalja w tym kraju żywie bez sumienia i ambicji!... I taki kraj nie ma zginąć? Na łaskawość się szwedzką oglądali! Będziecie mieć łaskawość! Już tam w Wielkopolsce Szwedzi szlachcie palce w kurki od muszkietów wkręcają!... I tak wszędy będzie — nie może być inaczej bo taki naród musi zginąć, musi pójść w pogardę i w służbę do sąsiadów!...

Kmicic coraz był bledszy i resztkami sił trzymał na wodzy wybuch szaleństwa; ale książę, cały zatopiony w swej mowie, upajał się własnemi słowami, własnym rozumem i nie zważając na słuchacza, tak dalej mówił:

— Jest, panie kawalerze, zwyczaj w tym kraju, iż gdy

kto kona, to mu krewni w ostatniej chwili poduszkę z pod głowy wyszarpują, ażeby się zaś dłużej nie męczył. Ja i książę wojewoda wileński postanowiliśmy tę właśnie przysługę oddać Rzeczypospolitej. Ale że siła drapieżników czyha na spadek i wszystkiego zagarnąć nie zdołamy, przeto chcemy, aby choć część i to nie ladajaka dla nas przypadła. Jako krewni, mamy do tego prawo. Jeśli zaś nie przemówiłem ci tem porównaniem do głowy i nie zdołałem w sedno utrafić, tedy powiem inaczej. Rzeczpospolita, to postaw czerwonego sukna, za które ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Hiperborejczykowie, Tatary, elektor i kto żyw naokoło. A my z księciem wojewodą wileńskim powiedzieliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w ręku, aby na płaszcz wystarczyło; dlatego nietylko nie przeszkadzamy ciągnąć, ale i sami ciągniemy. Niechaj Chmielnicki przy Ukrainie się ostaje, niech Szwedzi z Brandenburczykiem o Prusy i wielkopolskie kraje się rozprawiają, niech Małopolskę bierze Rakoczy, czy kto bliższy, Litwa musi być dla księcia Janusza, a z jego córką — dla mnie!

Kmicic wstał nagle.

— Dziękuję waszej ks. mości, to tylko chciałem wiedzieć!

— Odchodzisz, panie kawalerze?

— Tak jest.

Książę spojrzał uważniej na Kmicica i w tej chwili dopiero spostrzegł jego bladość i wzburzenie.

— Co ci jest, panie Kmicic? — spytał. — Wyglądasz jak Piotrowin?

— Fatygi z nóg mnie obaliły i w głowie mi się kręci. Żegnam w. ks. mość, przed odjazdem przyjdę się jeszcze pokłonić.

— To się spiesz, bo ja po południu ruszam także.

— Za godzinę najdalej przybędę.

To rzekłszy Kmicic, skłonił się i wyszedł.

W drugiej izbie pokojowcy podnieśli się na jego widok, ale on przeszedł jak pijany, nikogo nie widząc. Na progu

izby chwycił się obu rękoma za głowę i począł powtarzać z jękiem prawie:

— Jezusie Nazareński, królu żydowski! Jezus, Maria, Józef!

Chwiejnym krokiem przeszedł przez podwórzec około warty, złożonej z sześciu halabardników. Za kołowrotem stali jego ludzie, z wachmistrzem Soroką na czele.

— Za mną! — rzekł Kmicic.

I ruszył przez miasto ku oberży.

Soroka, dawny żołnierz Kmicica i znający go doskonale, zauważył natychmiast, że z młodym pułkownikiem dzieje się coś niezwykłego.

— Czuj duch! — rzekł zcicha do ludzi — gorze temu, na kogo gniew jego spadnie!

Żołnierze przyśpieszali w milczeniu kroku, a Kmicic nie szedł, ale biegł prawie naprzód, wymachując rękoma i powtarzając bezładne słowa.

Do uszu Soroki dochodziły jeno oderwane wyrazy:

— Truciciele, wiarołomcy, zdrajcy... Zbrodzień i zdrajca... Obaj tacy...

Potem począł pan Kmicic wspominać dawnych kompanjonów. Nazwiska: Kokosiński, Kulwiec, Ranicki, Rekuć i inne wypadały z jego ust jedno po drugiem. Kilka razy wspomniał także Wołodyjowskiego. Słuchał tego ze zdumieniem Soroka i trwożył się coraz bardziej, a w duszy myślał:

— Jakaś krew się tu poleje... Nie może być inaczej...

Tymczasem przyszli do zajazdu. Kmicic zamknął się natychmiast w izbie i z godzinę nie dawał znaku życia.

A żołnierze tymczasem bez rozkazu ładowali wjuki i siodłali konie.

Soroka mówił im:

— Nie zawadzi to, trzeba być na wszystko gotowym.

— My też gotowi! — odpowiadali starzy zabijakowie, ruszając wąsami.

Jakoż pokazało się wkrótce, że Soroka dobrze znał swego

pułkownika, bo nagle Kmicic ukazał się w sieni, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach.

— Konie siodłać! — krzyknął.

— Posiodłane.

— Wjuki ładować!

— Spakowane.

— Dukat na głowę! — krzyknął młody pułkownik, który pomimo całej gorączki i wzburzenia spostrzegł, że ci żołnierze wlot odgadują jego myśli.

— Dziękujemy, panie komendancie! — ozwali się wszyscy chórem.

— Dwóch ludzi weźmie konie wjuczne i wyjedzie natychmiast z miasta ku Dębowej. Przez miasto jechać wolno, za miastem puścić konie wskok i nie ustawać aż w lasach.

— Wedle rozkazu!

— Czterej inni nabić garłacze siekańcami. Dla mnie dwa konie osiodłać, żeby i drugi był w zupełnej gotowości.

— Wiedziałem ja, że coś będzie! — mruknął Soroka.

— A teraz wachmistrz za mną! — krzyknął Kmicic.

I jak był rozebrany, w hajdawerach tylko i rozchełstanej na piersiach koszuli, wyszedł z sieni, a Soroka szedł za nim, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia; tak doszli aż do studni żórawianej, w podwórzu zajazdu. Tu Kmicic zatrzymał się i ukazując na wiadro, wiszące przy żórawiu, rzekł:

— Lej mi wodę na łeb!

Wachmistrz wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie było pytać dwa razy o rozkaz; chwycił więc za drąg i zanurzył wiadro w wodzie, następnie wyciągnął je śpiesznie i porwawszy w dłonie, chlusnął zawartą w niem wodę na pana Andrzeja, a pan Andrzej począł parskać i prychać, jakoby wieloryb, dłońmi przyklepywał mokre włosy, poczem zakrzyknął:

— Jeszcze!

Soroka powtórzył czynność raz drugi i chlustał wodą ze wszystkich sił, jakoby chciał płomień zagasić.

— Dość! — rzekł nakoniec Kmicic. — Pójdź za mną, szaty mi pomożesz wdziać!

I poszli obaj do zajazdu.

W bramie spotkali swoich dwóch ludzi, wyjeżdżających z wjucznemi końmi.

— Wolno przez miasto, za miastem wskok! — powtórzył im na drogę Kmicic.

I wszedł do izby.

W pół godziny później ukazał się znowu całkiem przybrany już, jak do drogi: w wysokie jałowicze buty i łosiowy kaftan, obciśnięty pasem skórzanym, za który zatknięta była krócica.

Żołnierze zauważyli także, iż z pod kaftana wyglądał mu brzeg drucianej kolczugi, jak gdyby wybierał się na bitwę. Szablę też miał przypiętą wysoko, by łatwiej było chwycić za rękojeść; twarz miał dość spokojną, ale surową i groźną.

Rzuciwszy okiem na żołnierzy, czy gotowi i zbrojni należycie, siadł na koń i cisnąwszy dukata gospodarzowi, wyjechał z zajazdu.

Soroka jechał przy nim, trzej inni ztyłu, prowadząc zapasowego konia. Wkrótce znaleźli się na rynku, napełnionym przez wojska Bogusława. Ruch już był między niemi, bo widocznie przyszły rozkazy, aby się gotowano do drogi. Jazda dociągała popręgów u siodeł i kiełznała konie, piechota rozbierała muszkiety, stojące w kozłach przed domami, do wozów zakładano konie.

Kmicic obudził się jakoby z zamyślenia.

— Słuchaj stary, — rzekł do Soroki, — wszakże to od starościńskiego dworu gościniec idzie dalej, nie trzeba wracać przez rynek?

— A gdzie pojedziem, panie pułkowniku?

— Do Dębowej!

— To właśnie z rynku wedle dworu trzeba przejeżdżać. Rynek zostanie za nami.

— Dobrze! — rzekł Kmicic.

Po chwili mruknął sam do siebie półgłosem:

— Ej, żeby to tamci żyli teraz! Mało ludzi na taką imprezę, mało!

Tymczasem przejechali rynek i poczęli skręcać ku starościńskiemu domowi, który leżał o półtora stai dalej nad drogą.

— Stój! — rzekł nagle Kmicic.

Żołnierze stanęli, on zaś zwrócił się ku nim.

— Gotowiście na śmierć? — spytał krótko.

— Gotowi! — odpowiedzieli chórem orszańscy zabijakowie.

— Leźliśmy Chowańskiemu w gardło i nie zjadł nas... Pamiętacie?

— Pamiętamy!

— Trzeba się dziś ważyć na wielkie rzeczy... Uda się, to miłościwy król nasz panów z was poczyni... Ja w tem!... Nie uda się, pójdziecie na pal!

— Co się nie ma udać! — rzekł Soroka, którego oczy poczęły błyskać jak u starego wilka.

— Uda się! — powtórzyli trzej inni: Biłous, Zawratyński i Lubieniec.

— Musimy porwać księcia koniuszego! — rzekł Kmicic.

I umilkł, chcąc zbadać wrażenie, jakie szalona myśl uczyni na żołnierzy. A oni umilkli także i patrzyli w niego jak w tęczę, tylko wąsiska ruszały im się i tylko twarze stały się groźne i zbójeckie.

— Pal blisko, nagroda daleko! — rzekł Kmicic.

— Mało nas! — mruknął Zawratyński.

— To gorzej niż z Chowańskim! — dodał Lubieniec.

— Wojska wszystkie w rynku, a we dworze jeno straż i dworzan ze dwudziestu, — rzekł Kmicic, — którzy niczego się nie spodziewają, nawet i szabel przy bokach nie mają.

— Wasza miłość swoją głowę stawi, czemu my nie mamy naszych postawić? — odparł Soroka.

— Słuchać! — rzekł Kmicic. — Jeśli chytrością go nie weźmiem, to inaczej wcale nie weźmiem... Słuchać! Ja

wejdę do komnat i po chwili wyjdę z księciem... Jeśli książę siądzie na mego konia, tedy ja siądę na drugiego i pojedziem... Jak odjedziemy ze sto albo półtorasta kroków, tedy go we dwóch porwać pod pachy i wskok, co tchu w koniach!

— Wedle rozkazu! — rzekł Soroka.

— Jeśli nie wyjdziem, — mówił dalej Kmicic, — a usłyszycie strzał w komnacie, tedy mi gruchnąć z garłaczy po straży i konia mi podawać, jak tylko wypadnę za drzwi.

— Tak i będzie! — rzekł Soroka.

— Naprzód! — skomenderował Kmicic.

Ruszyli i w kwadrans później stanęli przed kołowrotem starościńskiego dworu. Przy kołowrocie, po staremu, stało sześciu halabardzistów, a czterech we drzwiach sieni. Po podwórzu kręciło się przy karecie kilku masztalerzy i forysiów, których doglądał zacny jakiś dworzanin, cudzoziemiec — jak można było poznać ze stroju i peruki.

Dalej wedle wozowni zakładano konie do dwóch jeszcze kolasek, olbrzymi pajukowie znosili do nich łuby i sepety. Nad temi czuwał człowiek, cały czarno ubrany, z twarzy wyglądający na medyka albo astrologa.

Kmicic oznajmił się, jak i poprzednio, przez dyżurnego oficera, który po chwili wrócił i wezwał go do księcia.

— Jak się masz kawalerze? — rzekł wesoło książę. — Takeś mnie nagle opuścił, żem myślał, iż skrupuły w tobie od moich słów rebelizowały i nie spodziewałem się widzieć cię więcej.

— Jakżebym to nie miał się przed drogą pokłonić! — rzekł Kmicic.

— No! przecie myślałem także, iż wiedział książę wojewoda, kogo z poufną misją wysłać. Skorzystam i ja z ciebie, bo ci dam kilka listów do różnych znacznych osób i do samego króla szwedzkiego. Ale cóżeś to taki zbrojny, jak do bitwy?

— Bo między konfederatów jadę, a właśnie i tu w mieście słyszałem i wasza ks. mość to potwierdził, że niedawno temu przechodziła tędy konfederacka chorągiew. Nawet tu

w Pilwiszkach okrutnie Zołtareńkowych ludzi przepłoszyli, bo to zawołany żołnierz prowadził ową chorągiew.

— Któż to taki?

— Pan Wołodyjowski, a jest z nim i pan Mirski i pan Oskierka i dwóch panów Skrzetuskich: jeden ów zbarażczyk, którego żonę chciałeś w. ks. mość w Tykocinie oblegać. Wszystko się to przeciw księciu wojewodzie pobuntowało, a szkoda, bo tędzy żołnierze. Cóż robić! Są jeszcze tacy głupi ludzie w tej Rzeczypospolitej, którzy nie chcą za czerwone sukno wraz z kozakami i Szwedami ciągnąć.

— Głupich nigdzie na świecie nie brak, a szczególnie w tym kraju! — rzekł książę. — Ot! masz listy, a oprócz tego, jak zobaczysz jego szwedzki majestat, tedy wyznaj mu niby poufnie, żem w duszy taki sam jego stronnik, jak i mój stryjeczny, jeno do czasu muszę symulować.

— Kto nie musi symulować! — odparł Kmicic. — Symuluje każdy, zwłaszcza, jeśli chce czegoś znacznego dokonać.

— Pewnie, że tak jest. Spraw się, panie kawalerze, dobrze, a będę ci wdzięczny i nie dam się w nagradzaniu księciu wojewodzie wileńskiemu prześcignąć.

— Jeśli taka łaska w. ks. mości, to zgóry o nagrodę poproszę.

— Masz tobie! Pewnie cię tam książę wojewoda niezbyt suto na drogę opatrzył. Wąż u niego w skrzyni siedzi.

— Niechże mnie Bóg zachowa, abym miał pieniędzy żądać, nie chciałem ich od księcia hetmana, nie wezmę i od w. ks. mości. Na własnym żołdzie jestem i na własnym pozostanę.

Książę Bogusław spojrzał ze zdziwieniem na młodego rycerza.

— E, to widzę Kmicicowie naprawdę nie z tych, co ludziom w ręce patrzą. O co tedy idzie, panie kawalerze?

— Rzecz jest taka, w. ks. mość! Nie rozmyśliwszy się dobrze w Kiejdanach, wziąłem ze sobą konia wielkiej krwi, żeby to się przed Szwedami pokazać. Nie przesadzę, jeśli

rzeknę, że lepszego w kiejdańskich stajniach niemasz. Teraz tedy mi go żal i strach mi, żeby się po drogach, karczmach albo od niewczasów nie sterał. A jako o przygodę nietrudno, może i w nieprzyjacielskie ręce wpaść, choćby tegoż pana Wołodyjowskiego, który personaliter okrutnie na mnie zawzięty. Umyśliłem tedy prosić w. ks. mość, abyś go raczył na przechowanie wziąć i zażywać, póki się sposobniejszą porą o niego nie upomnę.

— To mi go lepiej sprzedaj.

— Nie może być, bo to byłoby jakobym przyjaciela przedawał. Mało sto razy mnie ten koń z największego ukropu wyniósł, gdyż i tę ma cnotę, że w bitwie kąsa nieprzyjaciół okrutnie.

— Takiż to zacny koń? — pytał z żywem zajęciem książę Bogusław.

— Czy zacny? Gdybym był pewien, że się w. ks. mość nie rozgniewa, tedybym sto czerwonych złotych stawił, że nie przymierzając i w. ks. mość nie posiada takiego w swoich stajniach.

— Może i jabym stawił, gdyby nie to, że nie pora dziś konie w zawód puszczać. Chętnie go przechowam, chociaż, jeśli mi się uda, wolałbym kupić. Ale gdzież się owo dziwo znajduje?

— A ot, przed kołowrotem ludzie go trzymają! Ale że dziwo, to dziwo, bo nie koloryzując, sułtan może takiego konia pozazdrościć. Nie tutejszy on — natolski, jeno myślę, że i w Natolji jeden się taki utrafił.

— To pójdźmy obaczyć.

— Służę w. ks. mości.

Książę wziął kapelusz i wyszli.

Przed kołowrotem ludzie Kmicicowi trzymali dwa zapasowe, całkiem osiodłane konie, z których jeden istotnie bardzo rasowy, czarny jak kruk, ze strzałką na czole i białą pęciną u nogi włócznej, zarżał lekko na widok swego pana.

— To ten! zgaduję! — rzekł książę Bogusław. — Nie wiem, czy takie dziwo, jakeś mówił, ale istotnie zacny koń.

— A przeprowadzić-no go! — krzyknął Kmicic — Albo nie! czekaj, ja sam siądę!

Żołnierze podali konia i pan Andrzej siadłszy, począł go objeżdżać wedle kołowrotu. Pod biegłym jeźdźcem koń wydał się jeszcze dwakroć piękniejszy. Śledziona grała w nim, gdy szedł rysią, oczy wypukłe nabrały blasku i zdawało się, że chrapami wyrzuca ogień wewnętrzny, a grzywę wiatr mu rozwiał. Pan Kmicic zataczał koła, zmieniał chody, nakoniec najechał tuż na księcia, tak, że chrapy konia nie były dalej jak o krok od jego twarzy i krzyknął: — Alt!

Koń wsparł się czterema nogami i stanął jak wryty.

— A co? — rzekł Kmicic.

— Jak to powiadają: oczy i nogi jelenia, chód wilka, chrapy łosia, a pierś niewiasty! — rzekł książę Bogusław. — Jest wszystko co potrzeba. I komendę rozumie niemiecką?

— Bo go objeżdżał mój kawalkator, Zend, który był Kurlandczyk.

— A ścigła szkapa?

— Wiatr w. ks. mości na nim nie dogoni! Tatarzyn przed nim nie ujdzie!

— Grzeczny musiał być kawalkator, bo widzę, że i wyjeżdżony koń bardzo.

— Czy wyjeżdżony? W. ks. mość nie uwierzy! Tak on chodzi w szeregu, że gdy szereg idzie skokiem, możesz w. ks. mość cugle puścić, a on się o pół chrapów z szeregu nie wysunie. Jeśli w. ks. mość raczy spróbować i jeśli się na dwóch stajach choć o pół łba wysunie, to go darmo oddam.

— To byłoby największe dziwo, żeby się z puszczonemi cuglami nie wysunął.

— I dziwo i wygoda, bo obie ręce wolne. Nieraz tak było, żem w jednej ręce miał szablę, w drugiej pistolet, a koń szedł wolno.

— Ba, a jeśli szereg zawraca?

— Tedy zawróci i on, nie popsowawszy linji.

— Nie może być! — rzekł książę — tego żaden koń

nie uczyni. Widziałem we Francji konie muszkieterów królewskich, bardzo ćwiczone, umyślnie, aby ceremonij dworskich nie psowały, ale przecie trzeba je cuglami prowadzić.

— W tym koniu człowieczy dowcip... Niechże w. ks. mość popróbuje.

— Dawaj! — rzekł po chwili namysłu książę.

Sam Kmicic potrzymał konia do wsiadania, a książę skoczył lekko na kulbakę i począł klepać rumaka dłonią po lśniącym karku.

— Dziwna rzecz! — rzekł — najlepsze szkapy na jesień szerszenieją, ten zaś jakoby z wody wyszedł. A w którą stronę ruszymy?

— Ruszymy najprzód szeregiem i jeśli wasza ks. mość pozwoli, to w drugą stronę ku lasowi. Droga tam równa i szeroka, a ku miastu mogłyby nam jakowe wozy przeszkodzić.

— Niechże będzie ku lasowi!

— Ze dwie staje równo! Puść wasza ks. mość cugle z miejsca i skokiem... Dwóch ludzi z każdej strony, ja trochę ztyłu pojadę.

— Stawać! — rzekł książę.

Szereg stanął i zwrócił się głowami końskiemi ku drodze od miasta. Książę stał w środku.

— Ruszaj! — rzekł. — Z miejsca wskok!... Marsz!

Szereg pomknął i po pewnej chwili szedł jak wicher. Tuman kurzu zasłonił ich przed oczyma dworzan i masztalerzy, którzy zebrawszy się gromadką przed kołowrotem, przyglądali się z ciekawością biegowi. Ćwiczone konie w największym pędzie, chrapiąc z wysilenia, przebiegły już staję lub więcej i rumak książęcy, lubo nie trzymany cuglami, nie wysunął się istotnie ani na cal. Przebiegli i drugą staję, nagle Kmicic zwrócił się, a widząc za sobą jeno tumany kurzu, przez które zaledwie było widać dwór starościński, a wcale stojących przed nim ludzi, krzyknął straszliwym głosem:

— Bierz go!

W tej chwili Biłous i olbrzymi Zawratyński chwycili księcia za oba ramiona, aż kości zatrzeszczały mu w stawach i trzymając w żelaznych pięściach, poczęli bość ostrogami własne konie.

Książęcy w środku trzymał się ciągle w szeregu, nie zostając, ani wysuwając się na cal naprzód. Zdumienie, przerażenie, wicher bijący w twarz księcia Bogusława, odebrały mu w pierwszej chwili mowę. Szarpnął się jeno raz i drugi, lecz bez skutku, bo tylko ból od wykręconych ramion przeszył go nawylot.

— Co to jest? łotry!... Nie wiecie, ktom jest!... — krzyknął wreszcie.

Wtem Kmicic trącił go lufą od krócicy między łopatki.

— Nanic opór, bo kula w krzyż! — zakrzyknął.

— Zdrajco! — rzekł książę.

— A ty kto? — odparł Kmicic.

I mknęli dalej.

ROZDZIAŁ XII.

Biegli długo borem, pędząc tak, że sosny przydrożne zdawały się uciekać wtył w popłochu; mijali karczmy, chaty pobereżników, smolarnie, a czasem wozy ciągnące pojedyńczo lub po kilka ku Pilwiszkom. Od chwili do chwili książę Bogusław przechylał się w kulbace, jakby chcąc próbować oporu, ale wówczas ramiona jego wykręcały się jeno boleśnie w żelaznych rękach Kmicicowych żołnierzy, a pan Andrzej przykładał mu znów lufę między łopatki i biegli dalej, aż biała piana poczęła spadać płatami z koni.

Nakoniec trzeba było zwolnić, bo ludziom i koniom tchu zabrakło, a Pilwiszki pozostały tak daleko, że wszelka możliwość pogoni znikła. Jechali tedy czas jakiś stępa w milczeniu, przesłonięci tumanem pary, która buchała z rumaków.

Książę przez długi czas nie odzywał się wcale, widocznie

starał się uspokoić i odzyskać zimną krew, aż gdy tego dokazał, wówczas spytał:

— Dokąd mnie prowadzicie?

— Dowiesz się w. ks. mość na końcu drogi — rzekł Kmicic.

Bogusław zamilkł, a po chwili znowu rzekł:

— Każ mnie puścić tym chamom, kawalerze, bo mi ramiona wykręcą. Jeśli to im każesz uczynić, będą poprostu wisieć, inaczej na pal pójdą.

— To szlachta, nie chamy! — odrzekł Kmicic — a co do kary, jaką im w. ks. mość grozisz, to niewiadomo, kogo pierwiej śmierć dosięgnie.

— Wiecie wy na kogoście ręce podnieśli? — spytał książę, zwracając się do żołnierzy.

— Wiemy — odpowiedzieli.

— Do miljona djabłów rogatych! — zawołał z wybuchem Bogusław — każesz tym ludziom pofolgować mi, czy nie?

— Każę w. ks. mości związać wtył ręce, tak będzie wygodniej.

— Nie może być!... Doreszty mi ręce wykręcicie!

— Innego kazałbym uwolnić na parol, że nie ucieknie, ale wy umiecie słowo łamać! — odrzekł Kmicic.

— Jać inny parol daję, — odrzekł książę, — że nietylko przy pierwszej sposobności umknę z twoich rąk, ale że cię każę końmi rozerwać, gdy w moje wpadniesz.

— Co ma Bóg dać, to da! — odrzekł Kmicic — ale wolę szczerą groźbę, niż fałszywe obietnice. Puścić mu ręce, konia jeno za cugle powodować, a wasza ks. mość patrz tu! Oto mi jeno za cyngiel ruszyć, by ci kulę w krzyże wpędzić, a dalibóg nie chybię, bo nigdy nie chybiam. Siedźże spokojnie na koniu, umykać nie próbuj!

— Nie dbam, panie kawalerze, o ciebie i twoją krócicę...

To rzekłszy, książę wyciągnął zbolałe ręce, ażeby je

wyprostować i z odrętwienia otrząsnąć, żołnierze tymczasem chwycili z dwóch stron konia za cugle i wiedli dalej.

Bogusław po chwili rzekł:

— Nie śmiesz mi w oczy spojrzeć, panie Kmicic, ztyłu się kryjesz.

— Owszem! — odparł pan Andrzej i popędziwszy konia, odsunął Zawratyńskiego, a sam chwyciwszy za leic książęcego rumaka, spojrzał Bogusławowi prosto w twarz.

— A jak tam moja szkapa? Zalim jej dołgał choć jedną cnotę?

— Dobry koń! — odrzekł książę. — Chcesz, to go kupię.

— Bóg zapłać! Wart ten koń lepszego losu, niż zdrajcę do śmierci nosić.

— Głupiś, panie Kmicic!

— Bom w Radziwiłłów wierzył!

Znów nastała chwila milczenia, którą przerwał pierwszy książę:

— Powiedz mi, panie Kmicic, — rzekł, — czyś ty pewien, żeś przy zdrowych zmysłach i że ci się rozum nie pomieszał? Czyś zapytał samego siebie, coś ty, szalony człecze, uczynił? Czy ci nie przyszło do głowy, że lepiejby dla ciebie teraz było, żeby cię matka nie rodziła? I że na tak zuchwały postępek nie odważyłby się nikt, nietylko w Polsce, ale i w Europie całej?

— To widać niewielka fantazja w tej Europie, bo ja waszą książęcą mość porwałem, trzymam i nie puszczę.

— Nie może być inaczej, tylko z szalonym sprawa! — zawołał jakby do siebie książę.

— Mój mości książę! — odrzekł pan Andrzej. — Jesteś w moim ręku i z tem się zgódź, a słów próżno nie trać! Pogoń nie nadejdzie, bo tam twoi ludzie dotychczas myślą, żeś dobrowolnie z nami wyjechał. Kiedy cię moi ludzie pod łokcie brali, nikt tego nie widział, bo nas tuman przesłonił, a choćby nie tuman, to z dalekości ani masztalerze, ani strażby nie dojrzała. Przez dwie godziny czekać

cię będą, przez trzecią się niecierpliwić, przez czwartą i piątą niepokoić, a w szóstej wyszlą ludzi na zwiady, a my tymczasem będziem za Marjampolem.

— I co z tego?

— To z tego, że nie zgonią, a choćby i zaraz byli zaczęli gonić i takby nie zgonili, bo wasze konie prosto z drogi, a nasze wypoczęte. Gdyby zaś jakim cudem zgonili i to nanic, bo jak mnie tu wasza ks. mość widzisz, takbym jej łeb roztrzaskał... co i uczynię, jeśli inaczej nie będzie można. Ot, co jest! Radziwiłł ma dwór, wojsko, działa, dragonów, a Kmicic sześciu ludzi, i pomimo tego Kmicic Radziwiłła za kark trzyma.

— Co dalej? — rzekł książę.

— Nic dalej! Dalej pojedziem przed siebie tam, gdzie mi się spodoba. Dziękuj w. ks. mość Bogu, żeś żyw dotąd, bo gdyby nie to, żem ja sobie kazał z dziesięć wiader wody rano na łeb wychlustać, tobyś już był na tamtym świecie, alias w piekle, z dwóch racyj: jako zdrajca i jako kalwin.

— I ważyłbyś się na to?

— Nie chwaląc się, nie znajdziesz w. ks. mość łatwo takowej imprezy, na którąbym się nie ważył, a masz najlepszy dowód na sobie.

Książę spojrzał uważniej w oblicze junaka i rzekł:

— Djabeł ci to, kawalerze, na twarzy napisał, żeś na wszystko gotów i to też racja, że mam dowód na sobie... Powiem ci nawet, żeś potrafił mnie samego śmiałością zadziwić, a to niełatwa rzecz.

— Wszystko mi jedno. Podziękuj w. ks. mość Bogu, żeś dotąd żyw i kwita!

— Nie, panie kawalerze! Przedewszystkiem ty za to Bogu podziękuj... Bo gdyby jeden włos spadł z głowy mojej, to wiedz, że cię Radziwiłłowie znajdą choćby pod ziemią. Jeśli liczysz na to, że teraz niezgoda między nami i że cię nieświescy i ołyccy ścigać nie będą, to się mylisz. Krew radziwiłłowska musi zostać pomszczona, przykład straszliwy musi być dany, inaczej nie żyćby nam w tej Rzeczypospolitej.

Zagranicą także się nie schronisz! Cesarz niemiecki cię wyda, bom ja książę Rzeszy Niemieckiej, elektor brandenburski, mój wuj, książę Oranji jego szwagier, królestwo francuscy i ich ministrowie moi przyjaciele. Gdzie się schronisz?... Turcy i Tatarzy cię sprzedadzą, choćbyśmy mieli pół fortuny im oddać. Kąta na ziemi nie znajdziesz, ani takich puszcz, ani takich ludów...

— Dziwno mi to, — rzekł Kmicic, — że się wasza książęca mość o moje zdrowie zgóry tak troszczysz, wielka persona, Radziwiłł!... A przecie tylko mi cyngla ruszyć...

— Temu nie neguję. Nieraz się już zdarzyło w świecie, że wielki człowiek ginął z rąk prostaka. Toć i Pompejusza ciura zabił, toć królowie francuscy z rąk ludzi niskiego stanu ginęli, toć, nie dalej szukając i wielkiemu ojcu mojemu toż samo się przygodziło... Jeno, pytam się ciebie, co dalej?

— Et! co mi tam! Nie dbałem ja nigdy o to wielce, co jutro będzie. Przyjdzie ze wszystkimi Radziwiłłami się zahaczyć, to jeszcze Bóg to wie, kto komu lepiej przygrzeje. Już to dawno miecz mi ciągle wisiał nad głową, a dlatego niech jeno oczy zmrużę, to i śpię smaczno, jak suseł. W dodatku, mało mi będzie jednego Radziwiłła, to porwę drugiego i trzeciego...

— Jak mi Bóg miły, kawalerze, tak mi się podobasz!... Bo to ci powtarzam, że chyba ty jeden w Europie mogłeś się na coś podobnego ważyć. Ani się bestja zatroska, ani pomyśli, co jutro będzie! Lubię śmiałych ludzi, a coraz ich mniej na świecie... Ot, porwał sobie Radziwiłła i trzyma go jak swego. Gdzieżeś się taki uchował, kawalerze? Skąd jesteś?

— Chorąży orszański!

— Panie chorąży orszański, żal mi, że Radziwiłłowie tracą takiego człowieka, jak waćpan, bo z takimi ludźmi siła można dokazać. Gdyby nie o mnie chodziło... Hm! nie żałowałbym niczego, by cię skaptować...

— Za późno! — rzekł Kmicic.

— To się rozumie! — odpowiedział książę. — Wiele za późno! Ale to ci przyrzekam, że każę cię poprostu rozstrzelać, boś godzien żołnierską śmiercią zginąć... Co za djabeł wcielony! Z pośrodka moich ludzi mnie porwał!

Kmicic nie odrzekł nic; książę zaś zamyślił się przez chwilę, poczem zakrzyknął:

— Wreszcie pal cię sześć! Jeżeli puścisz mnie natychmiast, nie będę się mścił! Dasz mi tylko parol, że nikomu nie wspomnisz co zaszło i ludziom nakażesz milczenie.

— Nie może być! — rzekł Kmicic.

— Chcesz wykupu?

— Nie chcę.

— Pocóżeś, u djabła mnie porwał! Nie rozumiem!

— Siłaby gadać! Dowiesz się wasza ks. mość później.

— A co mamy robić przez drogę, jeśli nie gadać? Przyznaj się, kawalerze, do jednej rzeczy, żeś mnie porwał w chwili cholery i desperacji... i teraz sam dobrze nie wiesz, co ze mną czynić?

— To moja rzecz! — odpowiedział Kmicic — a czy nie wiem, co czynić, pokaże się niebawem.

Niecierpliwość odbiła się na twarzy księcia Bogusława.

— Niezbyt rozmownyś, panie chorąży orszański, — rzekł. — ale odpowiedz mi przynajmniej szczerze na jedno pytanie: zaliś już jechał do mnie na Podlasie z gotowym zamiarem targnięcia się na moją osobę, czyli też później, w ostatniej chwili, przyszło ci to do głowy.

— Na to mogę szczerze waszej ks. mości odpowiedzieć, bo i mnie samego w gębę pali, abym wam powiedział, dlaczego porzuciłem waszą stronę i pókim żyw, póki mi tchu w gardzieli stanie, więcej do niej nie wrócę. Książę wojewoda wileński mnie zwiódł i najprzód na to mnie wyciągnął, żem mu na krucyfiksie zaprzysiągł, jako go nie opuszczę do śmierci...

— A to pięknie dotrzymujesz... Niema co mówić!...

— Tak jest! — zawołał gwałtownie Kmicic. — Jeślim duszę stracił, jeśli muszę być potępiony, to przez was... Ale

miłosierdziu boskiemu się oddaję... i wolę duszę stracić, wolę gorzeć wiekuiście, niż dłużej grzeszyć świadomie i dobrowolnie, niż dłużej służyć, wiedząc, że grzechowi i zdradzie służę. Niech Bóg zmiłuje się nade mną... Wolę gorzeć! Wolę stokroć gorzeć... bo i takbym gorzał, gdybym przy was został. Nie mam nic do stracenia... Ale to przynajmniej na sądzie boskim powiem: „Nie wiedziałem, na com przysięgał, a gdym zmiarkował, że na zdradę ojczyźnie, na zgubę imieniowi polskiemu przysiągłem, tedym przysięgę złamał... Teraz mnie, Panie Boże, sądź!"

— Do rzeczy! do rzeczy! — rzekł spokojnie książę Bogusław.

Lecz pan Andrzej oddychał ciężko i jechał czas jakiś w milczeniu, z namarszczoną brwią i okiem wbitem w ziemię, jak człowiek nieszczęściem przygnieciony.

— Do rzeczy! — powtórzył książę Bogusław.

Kmicic zbudził się jakoby ze snu, potrząsnął głową i mówił:

— Wierzyłem księciu hetmanowi, jakbym ojcu rodzonemu nie wierzył. Pamiętam tę ucztę, gdy to nam pierwszy raz powiedział, że się ze Szwedem połączył. Com ja wtedy przecierpiał, com przeszedł, Bóg mi policzy! Inni, zacni ludzie ciskali mu buławy pod nogi, przy ojczyźnie się oponując, a jam stał, jak pień, z buławą, ze wstydem i z hańbą, w upokorzeniu, w męce... bo mi do oczu powiedziano: zdrajca!... I kto powiedział!... E!... lepiej nie wspominać, bym się zaś nie zapamiętał, bym nie oszalał i waszej ks. mości zaraz tu w łeb nie strzelił... Wyście to, wy, zdrajcy, sprzedawczyki, wyście mnie do tego doprowadzili!

Tu pan Kmicic począł patrzeć strasznym wzrokiem na księcia i nienawiść wybiła mu z dna duszy na twarz, nakształt smoka, który wypełznął z pieczary na światło dzienne, a książę Bogusław patrzył na junaka spokojnem, nieulękłem okiem, nakoniec rzekł:

— Owszem, panie Kmicic, to mnie zajmuje... Mów dalej...

Kmicic puścił cugle książęcego konia, zdjął czapkę, jakby chcąc gorejącą głowę ochłodzić.

— Tej samej nocy — mówił — poszedłem do księcia hetmana, bo i sam kazał mnie sprowadzić. Myślałem sobie: wypowiem mu służbę, złamię przysięgę, uduszę w tych oto rękach, prochami wysadzę Kiejdany, a potem niech się co chce dzieje! On też wiedział, żem na wszystko gotów — znał mnie! Widziałem to dobrze, iż palcami w puzdrze przebierał, w którem były pistolety. Nic to — myślę sobie — albo mnie chybi, albo zabije! Ale on począł mnie reflektować, począł mówić, takie perspektywy mnie, prostakowi, pokazować, za takiego zbawcę się podawać, że wiesz wasza ks. mość, co się stało?

— Przekonał młodzika! — rzekł Bogusław.

— Żem mu do nóg padł — zakrzyknął Kmicic — i ojca, jedynego zbawcę ojczyzny w nim widziałem, żem mu się oddał, jako djabłu, z duszą, z kadłubem, żem był gotów za niego, za jego uczciwość, z wieży kiejdańskiej na łeb się rzucić!

— Domyślałem się, że taki będzie koniec! — zauważył Bogusław.

— Com stracił w tej służbie, o tem nie będę gadał, ale oddałem mu ważne usługi: utrzymałem w posłuszeństwie moją chorągiew, która tam teraz została, bogdaj mu na pohybel! — inne, które się buntowały, znacznie wyciąłem... Zababrałem ręce w krwi bratniej, w tej myśli, iż sroga to dla ojczyzny necessitas! Często mnie dusza bolała, gdy dobrych żołnierzów rozstrzeliwać kazał; często natura szlachecka rebelizowała przeciw niemu, gdy raz i drugi przyrzekł mi coś, a potem nie dotrzymał. Alem to myślał: ja głupi, on mądry! — tak trzeba! Teraz dopiero, gdym się o onych truciach z listów dowiedział, aż mi szpik w kościach zdrętwiał! Jakżeto? Takaż to wojna? To truć chcecie żołnierzów? I to ma być po hetmańsku? To ma być po radziwiłłowsku? Ja to mam takie listy wozić?...

— Nie znasz się na polityce kawalerze — przerwał Bogusław.

— Niechże ją pioruny zatrzasną! Niechże ją podstępni Włochowie robią, nie szlachcic, którego Bóg zacniejszą od innych krwią przyozdobił, ale też i zobowiązał, aby szablą, nie apteką wojował i imienia nie hańbił!

— Te listy tedy tak cię zraniły, że postanowiłeś Radziwiłłów opuścić?

— Nie listy! Byłbym je katu oddał, albo w ogień cisnął, bo ja nie od takich funkcyj, ale nie listy! Wyrzekłbym się posłowania, ale sprawy nie odstąpił. Czy ja wiem! Poszedłbym choć w dragony, albo kupębym nową zebrał i znów Chowańskiego po staremu podchodził. Ale już mi zaraz przyszło podejrzenie: a nuż oni i ojczyznę chcą otruć, tak jak tych żołnierzów?... Bóg dał, żem nie wybuchnął, choć mi głowa, jako granat, gorzała, żem się opamiętał, żem miał tę moc powiedzieć sobie: ciągnijże go za język, a dowiesz się całej prawdy — nie zdradź, co masz w sercu, podaj się za zaprzańca, za gorszego od samych Radziwiłłów i ciągnij za język.

— Kogo? mnie?

— Tak jest! i Bóg mi pomógł, żem ja prostak, statystę w pole wywiódł, żeś wasza ks. mość, mając mnie za szelmę ostatniego, żadnego szelmostwa waszego nie ukrył, wszystko wyznał, wszystko wypowiedział, jakoby na dłoni wypisał! Włosy mi na łbie dębem stawały, alem słuchał i wysłuchał do końca!... O zdrajcy! O arcypiekielnicy! O parrycydowie!... Jakże to piorun was dotąd nie pobił? Jakże to ziemia was dotąd nie pożarła?... To z Chmielnickim, ze Szwedami, z elektorem, z Rakoczym i z samym djabłem na zgubę tej Rzeczypospolitej się zmawiacie? To płaszcz z niej chcecie wykroić? Zaprzedać? Rozdzielić? Rozerwać jako wilcy tę matkę waszą? Takaż wasza wdzięczność za wszystkie dobrodziejstwa, któremi was obsypała, za one urzędy, honory, godności, substancje, starostwa, za takie fortuny, których królowie zagraniczni wam zazdroszczą?... I gotowiście nie

zważać na onej łzy, na mękę. na ucisk? Gdzie w was sumienie? Gdzie wiara, gdzie uczciwość?! Co za monstra na świat was wydały?...

— Panie kawalerze, — przerwał zimno książę Bogusław, — masz mnie w ręku i możesz mnie zabić, ale o jedno cię proszę: nie nudź mnie!

Umilkli obaj.

Jednakże ze słów Kmicica ukazywało się jasno, że żołnierz zdołał wyciągnąć całą nagą prawdę z dyplomaty i że książę popełnił wielką nieostrożność, wielki błąd, zdradziwszy najtajniejsze zamysły własne i hetmańskie. Ubodło to jego miłość własną, więc też nie racząc ukrywać złego humoru, rzekł:

— Nie przypisuj tylko tego własnemu dowcipowi, panie Kmicic, jeżeliś ze mnie prawdę wydostał. Mówiłem otwarcie, bom myślał, że książę wojewoda lepiej zna się na ludziach i przyszle człowieka godnego ufności.

— Książę wojewoda przysłał człowieka godnego ufności, — odparł Kmicic, — aleście go już stracili. Odtąd tylko szelmy służyć wam będą!

— Jeżeli sposób, w jaki mnie porwałeś, nie był szelmowski, to niech mi w pierwszej bitwie szpada do ręki przyrośnie.

— To fortel! W twardej ja się szkole ich uczył. Chciałeś wasza ks. mość poznać Kmicica, masz go! Nie pojadę z próżnemi rękoma do naszego pana miłościwego.

— I myślisz, że mi włos z głowy z ręki Jana Kazimierza spadnie?

— To sędziów, nie moja sprawa!

Nagle Kmicic zatrzymał konia.

— Hej! — rzekł. A list księcia wojewody? Masz go wasza ks. mość przy sobie?

— Choćbym miał, tobym nie dał! — rzekł książę. — Listy zostały w Pilwiszkach.

— Obszukać go! — krzyknął Kmicic.

Żołnierze porwali znów księcia pod ramiona, Soroka

zaś począł szukać mu po kieszeniach. Po chwili znalazł list.

— Oto jeden dokument przeciw wam i waszym robotom — rzekł, biorąc go pan Andrzej. — Dowie się z niego król polski, co zamierzacie, dowie się i szwedzki, że chociaż teraz mu służycie, przecie już książę wojewoda zastrzega sobie wolność recedere, jeśliby się noga Szwedom miała powinąć. Wyjdą najaw wszystkie wasze zdrady, wszystkie machinacje. A mam przecie i inne listy do króla szwedzkiego, do Wittemberga, do Radziejowskiego... Wielcy jesteście i potężni, a przecie nie wiem, czyli wam ciasno nie będzie w tej ojczyźnie, gdy wam obaj królowie godną waszych zdrad rekompensę obmyślą.

Oczy księcia Bogusława zabłysły złowrogiem światłem, ale po chwili opanował gniew i rzekł:

— Dobrze, kawalerze! Na śmierć i życie między nami!... Spotkamy się!... Możesz przysporzyć nam trosk i sprawić wiele złego, ale to jeno powiem: nikt nie śmiał dotąd tego uczynić w tym kraju, coś ty uczynił i biada tobie i twoim!

— Ja sam mam szablę do obrony, a swoich mam czem wykupić! — rzekł Kmicic.

— Ach! masz mnie jako zakładnika! — rzekł książę.

I mimo całego gniewu, odetchnął spokojnie; zrozumiał jedno w tej chwili, że w żadnym wypadku życiu jego nic nie grozi, bo jego osoba zbyt jest Kmicicowi potrzebna. Postanowił z tego skorzystać.

Tymczasem puścili się znów rysią i po godzinie drogi ujrzeli dwóch jeźdźców, z których każdy prowadził po parze jucznych koni. Byli to ludzie Kmicicowi, wysłani naprzód z Pilwiszek.

— A co tam? — spytał ich Kmicic.

— Konie nam się zmachały okrutnie, wasza miłość, bośmy nie wypoczywali dotąd.

— Zaraz spoczniemy!...

— Widać tu chałupę na zakręcie, może to karczma.

— Niech wachmistrz ruszy naprzód obroki przygotować. Karczma, czy nie karczma, trzeba stanąć!...

— Wedle rozkazu, panie komendancie.

Soroka wypuścił konia, a oni podążali za nim zwolna. Kmicic jechał z jednej strony księcia, Lubieniec z drugiej. Książę uspokoił się zupełnie i nie wyciągał więcej na rozmowę pana Andrzeja. Zdawał się być zmęczony drogą, czy też położeniem, w jakiem się znajdował i głowę pochylił nieco na piersi, a oczy trzymał przymknięte. Jednakże od czasu do czasu rzucał ukośne spojrzenia to na Kmicica, to na Lubieńca, którzy trzymali cugle jego konia, jakby upatrując, którego łatwiej będzie obalić, aby się wyrwać na wolność.

Tymczasem zbliżyli się do budowli, leżącej przy drodze, na cyplu lasu. Nie była to karczma, ale kuźnia i kołodziejnia zarazem, w której jadący traktem zatrzymywali się dla przekuwania koni i reparacji wozów. Między samą kuźnią a drogą, rozciągał się niewielki majdan, nie ogrodzony płotem, zrzadka porosły wydeptaną trawą; szczątki wozów i popsowane koła leżały rozrzucone tu i owdzie na owym majdanie, ale z przejezdnych nie było nikogo, jeno koń Soroki stał przywiązany do słupa. Sam Soroka rozmawiał przed kuźnią z kowalem Tatarem i dwoma jego pomocnikami.

— Niezbyt obfity będziem mieć popas, — rzekł uśmiechając się książę, — niczego tu nie dostanie.

— Mamy żywność i gorzałkę ze sobą — rzekł Kmicic.

— To dobrze! Trzeba nam będzie sił nabrać.

Tymczasem stanęli. Kmicic zatknął za pas krócicę, zeskoczył z kulbaki i oddawszy bachmata w ręce Soroki, chwycił znów za cugle książęcego konia, którego zresztą Lubieniec nie popuszczał z ręki z drugiej strony.

— Wasza ks. mość zechce zejść z konia! — rzekł pan Andrzej.

— A to czemu? Będę jadł i pił z kulbaki — rzekł książę, pochylając się ku niemu.

— Proszę na ziemię! — zawołał groźnie Kmicic.

— A ty w ziemię! — krzyknął straszliwym głosem książę i wyrwawszy z szybkością błyskawicy krócicę z za pasa Kmicica, huknął mu w samą twarz.

— Jezus, Marja! — zakrzyknął Kmicic.

W tej chwili koń pod księciem, uderzony ostrogami wspiął się tak, iż wyprostował się prawie zupełnie, książę zaś przekręcił się jak wąż na kulbace ku Lubieńcowi i całą siłą potężnego ramienia pchnął go lufą między oczy.

Lubieniec wrzasnął przeraźliwie i spadł z konia.

Zanim inni mogli zrozumieć co się stało, zanim odetchnęli, zanim okrzyk zgrozy zamarł na ich wargach, Bogusław roztrącił ich jak burza, wypadł z majdanu na drogę i pomknął wichrem ku Pilwiszkom.

— Łapaj! Trzymaj! Bij! — rozległy się dzikie głosy.

Trzej żołnierze, którzy jeszcze siedzieli na koniach puścili się za nim; lecz Soroka chwycił muszkiet oparty o ścianę i począł mierzyć do uciekającego, a raczej do jego rumaka.

Rumak zaś wyciągnął się jak sarna i biegł z szybkością strzały wypuszczonej z cięciwy. Huknął strzał. Soroka rzucił się przez dym, aby skutek lepiej zobaczyć; oczy przysłonił ręką, patrzył przez chwilę i wreszcie wykrzyknął:

— Chybiony!

W tej chwili Bogusław zniknął na zakręcie a za nim zniknęli goniący.

Wówczas wachmistrz zwrócił się do kowala i jego pomocników, którzy patrzyli aż dotąd z niemem przerażeniem na to co się stało i zawołał:

— Wody!

Kowalczuki skoczyli ciągnąć żórawia, a Soroka klęknął przy leżącym nieruchomie, panu Andrzeju. Twarz Kmicica była pokryta sadzą wystrzału i soplami krwi — oczy miał przymknięte, lewą brew, powiekę i lewy wąs osmalony. Wachmistrz począł najprzód dotykać zlekka palcami jego czaszki. Dotykał długo i ostrożnie, poczem mruknął:

— Głowa cała...

Lecz Kmicic nie dawał znaku życia i krew wydobywała mu się z twarzy obficie. Tymczasem kowalczuki przynieśli wiadro wody i szmaty do obcierania. Soroka z równąż powolnością i uwagą zabrał się do obmywania twarzy Kmicica.

Nakoniec rana ukazała się z pod krwi i sadzy. Kula rozorała głęboko Kmicicowi lewy policzek i zniosła zupełnie koniec ucha. Soroka począł badać, czy kość policzkowa nie jest strzaskana.

Po chwili przekonał się, że nie i odsapnął głęboko. Równocześnie Kmicic pod wpływem zimnej wody i bólu jął dawać znak życia. Twarz poczęła mu drgać, piersi podnosiły się oddechem.

— Żyje!... Nic mu nie będzie! — zawołał radośnie Soroka.

I łza stoczyła się po zbójeckiej twarzy wachmistrza.

Tymczasem na zakręcie drogi ukazał się Biłous, jeden z trzech żołnierzy, którzy pognali za księciem.

— A co? — spytał Soroka.

Żołnierz kiwnął ręką.

— Nic!

— A tamci prędko wrócą?

— Tamci nie wrócą.

Wachmistrz złożył drżącemi rękoma głowę Kmicica na progu kuźni i zerwał się na równe nogi.

— Jakżeto?

— Panie wachmistrzu, to charakternik! Pierwszy dogonił go Zawratyński, bo miał najlepszego konia i dlatego, że mu się pozwolił dogonić. W naszych oczach wydarł mu szablę z ręki i sztychem przebił. Ledwie mieliśmy czas zakrzyknąć. Witkowski był bliżej i skoczył na ratunek... A ten ściął go w moich oczach... jakby go piorun zatrzasnął!... Ani zipnął... A jam nie czekał kolei... Panie wachmistrzu! on tu gotów jeszcze wrócić!

— Nic tu po nas! — krzyknął Soroka. — Do koni!

I w tejże samej chwili poczęli wiązać nosze między końmi dla Kmicica.

Dwóch ludzi z rozkazu Soroki stanęło z muszkietami na drodze, z obawy powrotu straszliwego męża.

Lecz książę Bogusław, w przekonaniu, że Kmicic nie żyje wracał spokojnie do Pilwiszek.

O zmroku już spotkał go cały oddział rajtarów, wysłany przez Patersona, który zaniepokoił się długą nieobecnością księcia.

Oficer, ujrzawszy księcia, skoczył ku niemu.

— Wasza ks. mość... Nie wiedzieliśmy...

— Nic to! — przerwał książę. — Przejeżdżałem konia w kompanji tego kawalera, od którego go kupiłem.

A po chwili dodał:

— I zapłaciłem dobrze.

KONIEC TOMU DRUGIEGO